Prof. Tim Spector: Liczenie kalorii nie działa ▸24

Glapiński w NBP walczy o coś więcej niż własne przetrwanie ▸8

WYSOKIE OBCASY

Spalone listy Jane Austen

FOT. GETTY IMAGES, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

KATARZYNA FIGURA

Po co się szarpać z legendą seksbomby

▸18

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 50

Byliśmy w ukraińskiej fabryce bomb

Czas apokalipsy zamknięty w butelce ▸4

„Psiecko", „Murzyn", „chirurżka".

Słowa, o które się kłócimy ▸21

Święty Mikołaj

mieszka u nas, czyli PR-owy majstersztyk ▸27

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 13-18 grudnia 2025 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 289.11086, 1
Nakład 74 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 4d6b712057

Po lekturze nowej strategii bezpieczeństwa narodowego USA

Mocno wierzę w to, że Donald Trump uczyni Europę znowu wielką

Tylko musimy mu w tym pomóc

Wieliński

Szok po pierwszej lekturze nowej strategii bezpieczeństwa narodowego USA minął. Włosy, które stanęły dęba, opadły. Jeśli czuję jakieś niedowierzanie, to dotyczy ono degrengolady obecnej amerykańskiej administracji.

Kiepska publicystyka, która stanowi większość tego dokumentu definiującego główne założenia amerykańskiej polityki zagranicznej pokazuje, jak wielkie klapki mają na oczach ideolodzy pracujący na dworze Donalda Trumpa i J.D. Vance'a. Jak bardzo przeceniają siłę swojego kraju i nie doceniają rywali. I co najsmutniejsze, jak upierają się, by z sojuszników zrobić wrogów.

Ten pełen tromtadracji i pogardy język znamy aż za dobrze. Przez osiem lat rządów PiS bił z propagandowych audycji TVP i z partyjnych portali. Polskę taka ślepa, antagonistyczna polityka doprowadziła właściwie do międzynarodowej izolacji, jedynym sojusznikiem rządu PiS był węgierski premier Viktor Orban. Orbana zaś wepchnęła na stałe w objęcia Władymira Putina, a Węgry pod jego rządami stały się najbiedniejszym państwem UE.

W otoczeniu Trumpa najwyraźniej wierzą, że nieliberalną kontrrewolucję przeprowadzą lepiej niż jej europejscy pomysłodawcy. Cóż, powodzenia.

•

Bo zaskoczenia antyeuropejską woltą Trumpa nie ma. Strategia bezpieczeństwa powtarza przecież tezy, które J.D. Vance wygłosił 10 miesięcy temu podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium.

Wówczas forum do rozmowy o stanie relacji transatlantyckich i globalnych wyzwaniach amerykański prezydent wykorzystał do ataku na Europę. Do ataku na wiernego sojusznika, który stanął po stronie USA, gdy po atakach terrorystycznych 11 września 2011 r. Waszyngton po raz pierwszy w historii NATO sięgnął po art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego.

Artykuł, który mówi, że atak na jedno z państw Sojuszu, jest atakiem na wszystkich jego członków, którzy przybędą z odsieczą. Poszliśmy potem za USA do Afganistanu i Iraku. Zginęło tam ponad 1,4 tys. europejskich żołnierzy, w tym 66 Polaków.

Najbliżsi współpracownicy Trumpa mieli później czelność wypominać Europie niewdzięczność. A Vance w Monachium wygłosił tyradę, z której przebijała się teza, że w Europie dławi się wolność słowa i demokrację. Że Europa jest słaba.

Obcowanie z Węgrami i Polską wiele nauczyło UE. Europa ma mechanizmy, by pełzający autorytaryzm zatrzymać

Buta tego człowieka przypominała sowieckich dygnitarzy, z czasów gdy Chruszczow wymachiwał w ONZ pięściami i walił w pulpit butem.

Wniosek ze strategii bezpieczeństwa: Ameryka Trumpa nie tylko chce z Europą wziąć rozwód. Chce ją rozbić.

Do amerykańskich mediów przeciekły wstępne wersje dokumentu, gdzie zapisano nawet, że Amerykanie za pośrednictwem powolnych sobie populistycznych polityków będą próbować wyciągać Polskę, Węgry czy Austrię z Unii Europejskiej. A w innych krajach będą wspierać prawicowych populistów, których uznają za prawdziwych europejskich patriotów, prześladowanych przez Unię Europejską. Czyli mieszać się do wyborów, tak jak to robili w Polsce przed wyborami prezydenckimi.

Trump zrobił sobie kilka zdjęć z Karolem Nawrockim w Gabinecie Owalnym, potem wysłał swoją współpracowniczkę Kristi Noem do Rzeszowa na kongres konserwatystów, która tuż przed wyborami obwieściła Polakom, że tylko wybór Nawrockiego zapewni im wsparcie ze strony USA.

Amerykanie strategicznie planują, by Europę sobie po kawałku podporządkować i ją doić, tak jak niegdyś imperia wykorzystywały swoje kolonie i dominia.

•

Plan jest mrzonką. Bo Europa nie jest słaba, jak to z typową dla Amerykanów pewnością siebie zapisano w amerykańskiej strategii. Skrajna prawica wszędzie rośnie w siłę, ale poszczególne kraje Unii Europejskiej dalekie są od węgierskiego – czy polskiego – scenariusza, w którym populiści przejmują pełnie władzy, dewastują i wyłączają demokratyczne instytucje, przeprowadzają autorytarną przebudowę systemu.

Obcowanie z Węgrami i Polską wiele nauczyło UE. Europa ma mechanizmy, by pełzający autorytaryzm zatrzymać, a przede wszystkim by odciąć go od kroplówki ze wspólnego budżetu.

Ogłoszony tak otwarcie i naiwnie wojenny plan Trumpa i Vance'a jest zresztą tym, co można przeciwko jego sojusznikom wykorzystać. Nie są już patriotami zatroskanymi o los zachodniej cywilizacji i bezpieczną przyszłość swoich dzieci. Są piątą kolumną, a europejskie służby specjalne będą musiały dokładnie sprawdzić, komu wierniej służą w dziele rozbijania Europy: Putinowi czy Trumpowi.

Bo o tym, że władcy USA i Rosji mają wspólny interes w zniszczeniu UE nie trzeba przekonywać. Wystarczy zresztą poczytać dialogi oligarchów Elona Muska z Kiryłem Dmitriewem. W kwestii zniszczenia Unii i wzięcia Europy na krótką smycz spijają sobie z dziubków.

•

Dobrze się stało, że Trump zagrał z nami w otwarte karty. Europa, by się zmienić, usprawnić, poprawić potrzebuje kryzysu. Działamy bowiem na zasadzie „co nas nie zabija, to nas wzmacnia".

W czasach spokoju nikt nie zawracałby sobie głowy europejską polityką zagraniczną czy obronną. To miały być kwestie zastrzeżone wyłącznie dla rządów krajowych, atrybuty ich suwerenności. Unia miała zajmować się zapewnianiem dobrobytu.

Tyle, że czasy spokoju skończyły się niespełna 20 lat temu. Wybuchł kryzys finansowy, potem w posadach zatrzęsła się strefa euro, w Europę uderzyła wielomilionowa fala migrantów z Afryki i Azji, oraz – niezależnie od tego – terroryści z Państwa Islamskiego.

A potem wybuchła pandemia korona wirusa. A potem wybuchła ukraińska wojna...

Każde z tych wydarzeń uzmysławiało decydentom, że nie są w stanie stawić czoła wyzwaniom w pojedynkę. Unia dostała nowe instrumenty zapewniające stabilność finansową, wzmocniła kontrolę nad migracją, zamówiła dla swoich członków szczepionki na Covid i po raz pierwszy jako wspólnota zadłużyła się, by sfinansować odbudowę gospodarki po pandemii.

A teraz inwestuje w obronność, kupuje sprzęt wojskowy, integruje przemysł zbrojeniowy. Mamy za sobą nie jeden „moment hamiltonowski", a wiele. Kryzys w relacjach z USA i potrzeba obrony przed presją ze strony Trumpa i Putina spowoduje kolejny europejski przełom. Integracja jeszcze bardziej się zacieśni, świadomość Europejczyków, że nie należy ulegać podszeptom obcych, bo możemy liczyć tylko na siebie, się ugruntuje.

•

Musimy jednak zacząć mówić o Europie innym językiem. Obecna retoryka prowadzi donikąd. Odkąd pamiętam, czołowi europejscy politycy mówili o wspólnocie, jako o czymś niedoskonałym i narażonym na ataki od wewnątrz i zewnątrz.

Pamiętam Jeana-Claude'a Junckera i Fransa Timmermansa (szefa Komisji Europejskiej i jego zastępcę sprzed prawie dekady), którzy twierdzili, że nigdy jeszcze nie było tak źle, a projekt nie był tak zagrożony. Ci, którzy brali ich słowa za dobrą monetę, zastanawiali się potem, jak to możliwe, że ta słaba Europa uchwala tak ambitne budżety i stawia sobie wygórowane cele jeśli chodzi np. o ochronę klimatu.

Ta retoryka zagrożonej ofiary miała mobilizować wyborców do obrony europejskiej idei. Działało to, gdy w świecie dominowali ludzie pamiętający, jak podzielony Żelazną Kurtyną kontynent podczas Zimnej Wojny stawał na krawędzi.

Są kraje, gdzie Europa jest ulubionym chłopcem do bicia nawet dla polityków, którym daleko do prawicowego populizmu spod znaku Fideszu, Zjednoczenia Narodowego czy AfD. Ile to razy słyszeliśmy opowieści o brukselskich atakach na suwerenność czy o przeroście unijnej biurokracji, choć liczba unijnych urzędników nie przekracza wielkością kadry administracyjnej małego państwa. Są kraje, takie jak Polska, gdzie Europę utożsamia się ze skarbonką, z której można brać garściami, ale nic nie trzeba dawać w zamian.

Dziś z taką retoryką daleko nie zajedziemy. Bo dziś trzeba pokazywać nie ofiary, a zwycięzców, mówić o sukcesach, a nie o zagrożeniach. Być dumnym, a nie się wstydzić. Nauczmy się tego od Trumpa i jego naśladowców. Ich komunikacja jest prosta, chcą osiągnąć wielkość.

A Europa ma przecież wielkość na wyciągnięcie ręki. Dlatego nasi politycy muszą – zamiast marudzić i utyskiwać, zamiast oskarżać i składać przed walką broń – nauczyć się mówić o europejskiej sile, wręcz potędze.

Bo to fakt: Europa jest potężna, prawie pół miliarda ludzi, gigantyczny cywilizacyjny potencjał – niech trumpiści nie bredzą o cywilizacyjnym unicestwieniu, wielka gospodarka. A do tego ponad milion żołnierzy pod bronią, nowoczesny przemysł zbrojeniowy i europejska broń jądrowa spoczywająca we francuskich arsenałach. Wielka Brytania, gdy za jakiś czas wróci do Unii, co dziś wcale już nie wydaje się mrzonką, ten potencjał Europy zwiększy.

Donald Trump dał właśnie impuls by wzmocnić nasza wspólnotę. By Europa znowu była wielka. Teraz czas pokazać mu, że Europa ma silne karty.

Najprościej to zrobić cywilizując na naszym podwórku amerykańskie bigtechy, które obsługują główne źródła dezinformacji atakującej nasze społeczeństwa. Należy wyegzekwować, by przestrzegały europejskie prawo. Symboliczna, 150 mln kara nałożona przez Komisję Europejską na należącą do Muska platformę X, wywołała wściekłą reakcję polityków Partii Republikańskiej, a Musk w odwecie zawiesił konta instytucji europejskich. To pokazuje, że Bruksela trafiła w czuły punkt. Czytam absurdalne posty z USA, że Amerykanie nie głosowali za Komisją Europejską, że ich europejskie prawo nie obowiązuje. OK, zobaczymy. ●

Bartosz T. Wieliński

1 RP

Andrzej rysuje

eprasa.pl 4d6b712057

Agnieszka Kublik

Misja umarła

Doktor Gizela Jagielska uratowała życie pani Anicie, kobiecie w ciąży, kobiecie, którą odepchnął system. A właściwie konkretni lekarze, którzy system wykorzystali, by pacjentce szkodzić. Oszukiwali ją, ukrywali przed nią wyniki, które były dla niej na wagę złota. Czy raczej życia. Posunęli się do tego, że zamknęli ją w psychiatryku.

Ci lekarze nie ponieśli za to odpowiedzialności. Doktor Jagielska – tak, i to w wielu wymiarach – ludzkim i formalnym. Dobrze chociaż, że nie prawnym, bo prokuratura właśnie uznała, że lekarka prawa nie złamała.

Pamiętacie tę historię? Paulina Nodzyńska, reporterka „Wyborczej" opisała historię, która nigdy nie powinna się wydarzyć. Pani Anicie ani nikomu innemu. Lekarze okazali się nie sojusznikami, lecz wrogami kobiety w ciąży. Ciąży wymagającej wiedzy, doświadczenia, uczciwości i empatii – wszystkiego lekarzom zabrakło. Ciąży wymagającej, bo chodziło o wrodzoną łamliwość kości płodu.

Anita pragnęła tego dziecka, nie chciała aborcji. Ale wszystko poszło nie tak. I to lekarze są temu winni. Temu, że pani Anita bardzo długo nie wiedziała, że nosi płód niezwykle chory, że dziecko może nie przeżyć porodu, a jeśli przeżyje, będzie potwornie chore, niesamodzielne. Będzie stale cierpieć.

To lekarze wtrącili Anitę do psychiatryka. Kobieta w ciąży, zrozpaczona, w ogromnym stresie, zostaje przez lekarzy zamknięta w pokoiku dwa metry na dwa, nie ma klamek, nie ma gniazdek, nie może sama zapalać i gasić światła. Są zaglądający do niej przez okienko pacjenci i kamera. Macha do niej, gdy musi siku. Anita powie potem, że ten „psychiatryk" odcisnął piętno na niej i na rodzinie.

Utrata kontraktu przez ginekolożkę, która ratowała życia kobiet, to fatalna wiadomość dla wszystkich, którzy wierzą w etos, w misję

Była w 37. tygodniu ciąży, gdy w końcu mogła sama zdecydować, że nie ma prawa urodzić tak chorego dziecka – bo narazi je na życie niewyobrażalnie ciężkie. Tylko doktor Jagielska pomogła Anicie. Tylko ona się nią zajęła w najtrudniejszym momencie jej życia. Anita mówi, że uratowała jej życie.

Za to na lekarkę napadli samozwańczy obrońcy życia, grozili jej nawet śmiercią (w tym ksiądz), rozkładali się pod szpitalem, by ją szkalować. Chciał ją „obywatelsko zatrzymać" Grzegorz Braun (ma sprawę w prokuraturze).

Teraz doktor Jagielska po 10 latach traci kontrakt – odchodzi z oleśnickiego szpitala. Tego w którym uratowała życie Anicie. A najgorsze – bo to byłoby oburzające, ale niezbyt zaskakujące w atmosferze bezwzględnej wojny kulturowej, jaką toczy prawica – że nie chodzi o politykę. Doktor Gizela domyśla się, że to jej zastępczyni wykorzystała okazję, by zająć jej miejsce, a dyrekcja placówki na to przystała.

Przygnębiające, że właśnie lekarka, która ma powołanie, odwagę i doświadczenie, tak została potraktowana przez świat. To fatalny znak dla kobiet w ciąży, tych, które w ciążę zajdą. Dla ich rodzin. I dla wszystkich, którzy wierzą w etos, w misję i w to, że w niektórych profesjach wartości są równie ważne, co kariera i pieniądze. ●

Kod dostępu do Wyborcza.pl

1 RP

W poniedziałek „Duży Format"

Rozgrzeszenie dla LGBT

W internecie znalazł grupę Wiara i Tęcza. Poszedł na spotkanie. Potem do spowiedzi. I w końcu dostał rozgrzeszenie. Opowiada: – Jest już przynajmniej kilkunastu księży, którzy są naszymi sojusznikami. Dodają nam otuchy. Ale tylko w zaciszu konfesjonału.

Reportaż Pauli Gustowskiej

REKLAMA Kraj/34410229

Dołącz do wyjątkowej podróży po Irlandii Północnej – krainie, w której dzika siła natury spotyka się z pulsującą energią miast.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Irlandii. Przejazd do Donegal i wizyta w Ulster American Folk Park. **Dz. 2** Malownicze wybrzeże Slieve League i Ardara. **Dz. 3** Park Narodowy Glenveagh. **Dz. 4** Derry - mury miejskie, historia i siła nadziei. **Dz. 5** Pasmo górskie Sperrin, rejs po Lough Neagh i przejazd do Belfastu. **Dz. 6** Belfast. Spacer po mieście i wizyta w destylarni McConnell's. **Dz. 7** Dublin – serce Irlandii. **Dz. 8** Powrót z Dublina do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 30/04 2026 | od 7.798,-

Albatros Travel otrzymał tytuł najlepszego organizatora wycieczek objazdowych w Danii

Stambuł – brama do Orientu

Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszwa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy 26/03, 28/05, 07/09, 18/09, 29/09, 11/10 2026 | od 4.298,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW37

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 4d6b712057

WAŻNY TEMAT

– Zobacz, tu jest pół kilograma ładunku wybuchowego. Tak, żeby urwało nogę. Bo zabitego możesz porzucić, a rannego inny żołnierz będzie starał się wynieść z frontu i przez to nie będzie strzelał – mówi „Tapir", pokazując kawałek drewna.

Czas apokalipsy w BUTELCE

Roman Imielski
Zdjęcia: **Jakub Włodek / Agencja Wyborcza.pl**

KORESPONDENCJA Z CHARKOWA

„Tapir" to rzecz jasna pseudonim, prawdziwego imienia nie poznamy. Służy w specjalnej jednostce Kraken z Charkowa, podlegającej Głównemu Zarządowi Wywiadu Wojskowego (HUR). A ów kawałek drewna drewnem jest tylko z pozoru, w rzeczywistości to zamaskowana – przy użyciu pianki montażowej, kleju i zwykłej ziemi – bomba.

Z „Tapirem" spotykamy się w dużym domu gdzieś pod Charkowem. To tam Kraken ma jedną ze swoich wytwórni bomb i min, które podczepia się pod drony i zrzuca na wroga. Mają różną moc i wagę w zależności od misji, jaka jest zaplanowana.

– Gdyby nie te bomby i drony, trudno byłoby utrzymać front, bo kacapy mają dużo więcej ludzi – tłumaczy Ihor, nasz przewodnik, też żołnierz Krakena, a w przeszłości pilot dronów bojowych.

Ihor (to nie jest prawdziwe imię) przed wielką inwazją rosyjską z lutego 2022 r. był nauczycielem i zagorzałym kibicem lokalnego klubu piłkarskiego Metalist Charków. Wielu członków Krakena, który pierwotnie powstał jako obrona terytorialna, a zimą i wiosną 2022 r. walnie przyczynił się do tego, że miasto nie wpadło w ręce wroga, rekrutowało się właśnie spośród zagorzałych ultrasów Metalista.

– Na początku walk miałem jako takie przeszkolenie wojskowe i 17 pocisków, a „Tapir" zaledwie trzy. Bo znamy się praktycznie od pierwszego dnia inwazji – opowiada Ihor.

„Tapir" – w luźnej bluzie i spodniach bojówkach, w drucianych okularach na nosie – zanim został żołnierzem, był projektantem graficznym. Stąd zamiłowanie do konstruowania zamaskowanych bomb i min. Choćby takiej, która wygląda jak kawałek drzewa z gałązkami. – Ale wystarczy, że staniesz na jedną z tych gałązek i „bum", ładunek wielkości granatu wybucha – podkreśla „Tapir".

Są i większe miny, też zamaskowane, przypominające kawałek gruntu. Te przeznaczone są do niszczenia pojazdów i czołgów. – Kiedyś mieliśmy taką akcję. Zauważyliśmy kilka „buchanek" [wielozadaniowe samochody UAZ], jadące jeden za drugim. I zrzuciliśmy kilka min, każda trochę dalej. Kiedy pierwsze auto wjechało na ładunek, kacapy były przekonane, że droga jest czysta. I tak „załatwiliśmy" pięć pojazdów – mówi Ihor.

Ale te czasy minęły. Rosjanie wiele się nauczyli, sami rozwinęli wojska dronowe i potrafią świetnie minować teren.

Wojna w Ukrainie. Jak w „Czasie apokalipsy"

W fabryce bomb rządzi nie „Tapir", a „Leszek". Pod czterdziestkę, z lekkim brzuszkiem, ubrany jakby szedł właśnie na zakupy do centrum handlowego. Przed 2022 r. nie miał styczności z wojskiem, zajmował się produkcją instrumentów muzycznych. Do armii zgłosił się na ochotnika i dopiero w trakcie rosyjskiej agresji stał się specjalistą od ładunków wybuchowych.

– Sami się uczyliśmy, z książek albo z internetu. Byłem też na przeszkoleniu w Polsce i tak zostałem szefem tej fabryki – opowiada, gdy chodzimy między skrzyniami wypełnionymi minami, granatami czy plastycznymi materiałami wybuchowymi. – O, ten mamy z Finlandii, to Kemix B – pokazuje coś, co przypomina gruby serdel wypełniony białą substancją. – Ale podstawa to zwykły trotyl. Wyciągamy go np. z dużych przeciwczołgowych min i mielimy na tej małej kruszarce, a potem mieszamy z innymi materiałami wybuchowymi.

Pytam, ile takich specjalnych bomb i min produkują. „Leszek" chwilę się zastanawia. – Będzie z 400 tygodniowo. O, zobaczcie, tu jest flipchart, a na nim rozpisane zamówienia pod konkretne akcje. Właśnie ma przyjechać chłopak o pseudonimie „Poliak" – śmieje się „Leszek". – Czasami robimy ładunki od początku, a czasami przerabiamy gotowe. Np. obniżamy ich wagę, by dron mógł dalej dolecieć.

„Tapir": – Najbardziej skuteczne są miny przeciwpiechotne. I wcale nie te, które zabijają. Zobacz, tu jest pół kilograma ładunku wybuchowego. Tak, żeby urwało nogę. Bo zabitego możesz porzucić, a rannego inny żołnierz będzie starał się wynieść z frontu i przez to nie będzie strzelał. A kacapy ludzi mają o wiele więcej niż my i w dodatku w ogóle nie przejmują się stratami.

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

◀ „Tapir", zanim został żołnierzem, był designerem. Teraz projektuje miny, które zrzucane są z dronów nad terytorium wroga. A które wyglądają jak np. kawałek drewna

▶ Charków. Warsztat produkujący i udoskonalający drony FPV. Właśnie trwa test nowych baterii do bezzałogowców

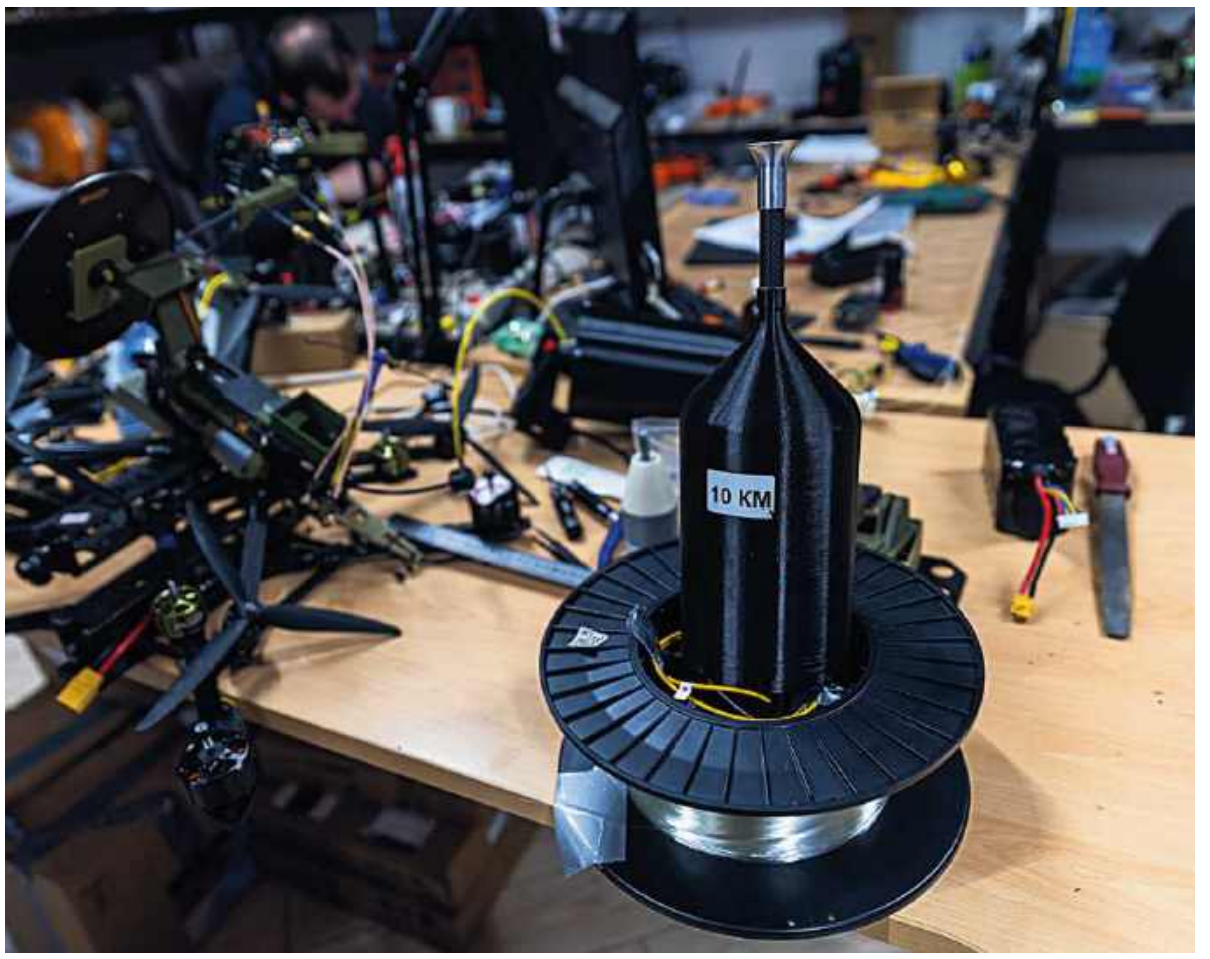

▶ Ten sam zakład w Charkowie. Tu widać szpulę do światłowodu zapewniającego łączność pilota z dronem

– Robimy różne bomby: odłamkowe, kumulacyjne do niszczenia czołgów, termobaryczne do niszczenia budynków itd. Mamy nawet bomby z napalmem. Tak, tym znanym choćby z „Czasu apokalipsy" [jeden z bohaterów filmu, grany przez Roberta Duvalla, wypowiada w nim zdanie: „Uwielbiam zapach napalmu o poranku"] – „Leszek" bierze do ręki półtoralitrową butelkę po coli, wypełnioną cieczą i z zamontowanym zapalnikiem. – One też są bardzo skuteczne do zwalczania piechoty, bo praktycznie nie da się zgasić płomienia.

– A podstawą w naszej pracy są zwykłe rury PCV, takie kanalizacyjne. Bo są lekkie i wytrzymałe, można łatwo zrobić z nich bombę. Niestety, taki dziś jest świat, że musimy zajmować się wymyślaniem rzeczy, które zabijają drugiego człowieka – mówi „Leszek".

Sami rzecz jasna też mogą stać się celem dla Rosjan, dlatego starają się nie zdradzać, że w otoczonym wysokim płotem domu coś się dzieje. Wszystkie okna są szczelnie zasłonięte, a samochody, którymi się przemieszczają, parkują z dala od posesji. Dywersanci i kolaboranci są wszędzie, wokół widać zresztą zniszczone budynki – efekt walk na Charkowszczyźnie z jesieni 2022 r. i udanej ofensywy Ukraińców. Wycofujący się Rosjanie systematycznie niszczyli szkoły, stacje benzynowe, sklepy.

„Leszek" pozuje z bombą

Pytam, kto jeszcze pracuje w fabryce bomb. – Ludzie z całego świata. Jest Białorusin, który mieszkał w Polsce i po inwazji z 2022 r. przyjechał nas wspomóc, jest inżynier po Uniwersytecie stanu Illinois – odpowiada „Leszek".

Ihor, nasz przewodnik, też mógł żyć spokojnie na zachodzie Europy. Przed 2014 r., aneksją Krymu i zajęciem części Donbasu przez wojska Putina pracował na budowach w Polsce, miał kontrakt na ponad dwa lata. – Ale jak kacapy zajęły część Ukrainy, wróciłem. Bo my tu, w Charkowie, wiedzieliśmy, że Putin się nie zatrzyma i wielka wojna jest tylko kwestią czasu. Dlatego w gronie kibiców Metalista zaczęliśmy sami się organizować – opowiada. – Do dziś rekrutujemy ludzi z własnego środowiska albo z polecenia zaufanych osób. Dzięki temu nie mamy problemu z dezercjami, bo członkowie Krakena są zmotywowani, by powstrzymać kacapów.

Dezercje są dziś ogromnym problemem ukraińskiej armii. Powstały gangi przerzucające ludzi przez granicę, głównie do Mołdawii i Rumunii. Cena – nawet 10 tys. dol. – Oczywiście, że mnie to wkurza, ale ludzie boją się, że po krótkim przeszkoleniu zostaną posłani na front i będą mięsem armatnim. Bo przy takich brakach w wielu oddziałach nie ma czasu na porządne przygotowanie żołnierza. A kacapy prą i prą, mają przecież nie tylko swoich, ale dziesiątki tysięcy Koreańczyków z Północy czy kontraktowych czarnych żołnierzy z Afryki.

Musimy się już pożegnać, ale na odchodnym prosimy „Leszka", by zgodził się na zdjęcie. Oczywiście bez twarzy i czegokolwiek, co mogłoby zidentyfikować miejsce. Zakłada czarny szczelny kombinezon, a na twarz pochłaniacz. – Inaczej pracować się nie da. Przecież te wszystkie materiały wybuchowe to chemia, człowiek mógłby się potruć – wyjaśnia.

Chce zapozować i bierze do ręki jedną z większych bomb, którą mają w fabryce. Ułamek sekundy, ładunek wyślizguje mu się i spada z hukiem na betonową podłogę. Przez sekundę musimy wyglądać jak trupy, bo choć wiemy, że bomba jest nieuzbrojona, bardziej surrealistycznej sceny w domu wypełnionym prochem nie moglibyśmy sobie wyobrazić. Kończy się spazmatycznym śmiechem.

– Chyba w tę sekundę cofnęły mi się hemoroidy – żartuje potem Krzysztof, jeden z towarzyszy naszej podróży. I już na poważnie: – Co za świat? Ci ludzie codziennie budzą się z myślą, co nowego wymyślić, by zabić innego człowieka, który napadł na ich kraj, morduje i grabi.

Drona kupisz, życia nie

Jedziemy do Charkowa, gdzie Kraken ma jedną ze swoich pracowni dronów. W wielkim gmaszysku, w kilku pomieszczeniach, siedzą inżynierowie, byli operatorzy bezpilotowców, wreszcie ci, którzy zaczynają podstawowe szkolenie.

Jeszcze w 2022 r. żołnierze Krakena wpadli na pomysł, by masowo zacząć wykorzystywać drony do walki z Rosjanami. – Uznałem, że skoro mamy rozpoznawcze maviki, to przecież można do nich podczepić ładunek i zrzucić na kacapa. A potem przyszedł czas na drony kamikadze FPV – opowiada „Brain", szef pracowni.

eprasa.pl 4d6b712057

FPV to od angielskiego First Person View (widok w pierwszej osobie). To rodzaj modelarstwa, w którym pilot steruje dronem mając podgląd na żywo z kamery na pokładzie. Obraz pokazywany jest na monitorze lub w specjalnych goglach – ma się wtedy wrażenie, jakby siedziało się w środku drona. W cywilu sprzęt FPV jest używany np. podczas zawodów dronowych.

Przed 2022 r., zanim został żołnierzem Krakena, „Brain" był nauczycielem historii. Potem został jednym z pierwszych operatorów dronów uderzeniowych w ukraińskiej armii. – Zobacz, tu masz nagrane trafienie przez „Braina" czołgu – Ihor pokazuje na komórce filmik. Dziś jest to dużo trudniejsze, sprzęt taki jak czołgi czy transportery opancerzone stoją daleko od linii frontu. Szara strefa ziemi niczyjej, w której szaleją małe drony, to obecnie średnio 10-15 km. Kto do niej wejdzie, ma małe szanse na przeżycie.

Ihor: – Codziennie na linii frontu fruwają tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy dronów – od dużych shahedów po małe FPV. Żeby uciec dronowi, trzeba pędzić autem co najmniej 110 km na godz. Dlatego nie wszystkie terenowe opony są dla nas odpowiednie. Bo są takie, że więcej niż 80 km na godz. nie wyciągniesz. I łatwo możesz zginąć, bo kacapy starają się namierzyć operatorów [przy dronach naprowadzanych na fale radiowe jest ich dwóch] i zabić. Drona możesz kupić, ludzkiego życia nie.

Zdarzają się też tragiczne wypadki. – „Brain" ma bardzo dobrego przyjaciela, któremu wybuchł w rękach ładunek podczepiany pod drony. Nie mieliśmy wtedy sprawdzonych zapalników i doszło do eksplozji. Ten kolega jest dziś inwalidą, ale też i wielkim wojownikiem i powoli wraca do stanu, że będzie np. mógł pomagać nam w pracowni. Ma też to szczęście, że troskliwie opiekuje się nim żona – opowiada Ihor.

Drukarze wojny

Wokół nas siedzą młodzi ludzie w bluzach z kapturami, ciągle coś lutują, łączą, dokręcają. W pomieszczeniu obok cicho pracują cztery drukarki 3D. – Bez nich nie dalibyśmy rady. Mamy ludzi, którzy przerabiają albo wymyślają drony, ale część elementów trzeba do nich wyprodukować. I to robią właśnie drukarki 3D – wyjaśnia „Brain".

– O, tu mamy nowy filament [materiał do drukarek 3D]. Zobacz, jaki twardy, nie da się złamać – „Brain" daje nam do ręki niewielką komorę na baterię drona. Rzeczywiście, ani drgnie, twarda jak kamień. – Taki materiał jest idealny do dronów rozpoznawczych i retransmiterów [drony, które w powietrzu służą jako baza do sterowania dla dronów bojowych], bo są wtedy bardzo wytrzymałe. Dla dronów kamikadze może być gorszy materiał, i tak się je traci.

Ukraina buduje już także własne drony i przede wszystkim baterie do nich. – Są naprawdę świetne, takie jak ta – „Brain" wskazuje na niewielka czarną paczuszkę. – Przy dronach retransmiterach są w stanie pracować w powietrzu ok. 60 minut, a dronom zwiadowczym umożliwiają zasięg nawet do 30 km. Drony kupujemy głównie na różnych aukcjach z publicznych zbiórek i przystosowujemy do własnych potrzeb albo tworzymy je po prostu od początku.

Publiczne zbiórki i wolontariusze wspomagający ukraińską armię to bardzo ważna gałąź zaopatrzenia. Dlatego niektórzy twierdzą, że mimo dostarczania ogromnej ilości uzbrojenia przez państwa NATO, jest to w dużej mierze armia składkowa.

– Dron najlepiej przetestować na poligonie, by poznać jego mocne i słabe strony. Wtedy dajemy znać operatorom, jak można go najlepiej wykorzystać albo go przerabiamy – mówi „Brain", oprowadzając nas po pracowni. W jednym z pomieszczeń piloci na sucho operują postawionymi na podłodze maszynami. – Chodzi o to, by obeznali się ze sprzętem. Jak już będą gotowi, przyjdzie czas na egzamin.

▲ „Leszek" odziany w ochronny kombinezon („te wszystkie materiały to chemia, człowiek mógłby się potruć") mieli trotyl na specjalnej kruszarce. „Leszek" przed wojną trudnił się produkcją instrumentów muzycznych

▲ A tu już efekt kruszarki – wiadro wypełnione trotylem pozyskanym z min przeciwpancernych

◀ „Brain", szef pracowni produkującej drony, jedna z legend ukraińskich wojsk dronowych. W cywilu nauczyciel historii

Operator wraz z zespołem musi wtedy przelecieć dronem według wcześniej podanych koordynatów aż 25 km i posadzić go w konkretnym miejscu – tłumaczy Ihor.

Podczas wojny nie kradną? Bylibyśmy naiwni

Dziś takich jednostek jak Kraken jest w ukraińskiej armii mnóstwo. I rozwijają nie tylko latające drony. Choćby brygada Chartija, również z Charkowa, znana choćby z tego, że służy w niej pisarz Serhij Żadan. I z doskonałej akcji promocyjnej – jej plakaty rozsiane są po mieście i przy dwupasmówce na Kijów.

– Chartija sama przedstawia się jako bardzo technologiczna jednostka. Rzeczywiście, w dronach naziemnych są świetni. Służą one np. do transportu amunicji i sprzętu na pozycje, a nierzadko trzeba przebyć te 10-15 km w szarej strefie, czy do przewożenia rannych – opowiada Ihor.

Kraken współpracuje z wieloma jednostkami dronowymi, ale nie jest tajemnicą, że oddziały często konkurują między sobą. – Czasami chodzi o sławę, czasami o ambicje. Dlatego, jeśli idzie o wymianę doświadczeń i różnych rozwiązań, bardzo wiele zależy od dowódców – podkreśla Ihor.

Mówimy, że widzieliśmy po drodze dużo billboardów 429. Samodzielnego Pułku Dronowego „Achilles". Jego twarzą jest Jurij Fedorenko, przystojny 34-latek, dowódca jednostki i członek kijowskiej Rady Miasta z frakcji Sługa Narodu Wołodymyra Zełenskiego, w cywilu prawnik. Hasło: „Walczymy o nasze niebo" plus QR kod, by wpłacić na brygadę.

Opowiadamy też, że poznaliśmy osobiście Fedorenkę jesienią 2022 r., gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się z nim w Kupiańsku, dopiero co wyzwolonym spod okupacji Rosjan. Potem jeszcze kilka razy u niego gościliśmy. – Naprawdę go znacie? – nie dowierza Ihor, więc pokazujemy zdjęcia. – Dla mnie to bardzo pozytywna postać. Polityk, który nie tylko od razu poszedł walczyć na froncie, ale i umiejący wykorzystać własną popularność dla dobra jednostki.

A skoro już zeszło na te tematy, dopytujemy o innych polityków, bohaterów wielkiej afery korupcyjnej w branży energetycznej, która wybuchła w listopadzie. Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) i Specjalna Prokuratura Antykorupcyjna (SAP) oceniają, że grupa, wśród której byli m.in. biznesowy partner Zełenskiego (uciekł przed aresztowaniem do Izraela) oraz były wicepremier i minister sprawiedliwości Herman Hałuszczenko, ukradła co najmniej 100 mln dol. W końcu posadę stracił nawet nietykalny dotychczas szef administracji prezydenta Andrij Jermak.

Ihor spokojnie odpowiada: – Wiecie, wy macie inne doświadczenia z korupcją. Bylibyśmy naiwni sądząc, że podczas wojny u nas nie kradną. Ale najlepsze w tej historii jest to, że nasze służby stanęły na wysokości zadania. Że państwo działa i na takie praktyki nie pozwala. ●

Pomóż z nami Ukrainie

• Jako dziennikarze „Wyborczej" od początku rosyjskiej inwazji z 2022 r. pomagamy Ukrainie i osobiście zawozimy daleko na wschód pomoc humanitarną. Byliśmy wiele razy w Chersoniu, Mikołajowie, Zaporożu, Słowiańsku, Izjum, Kupiańsku, Charkowie czy Sumach. I będziemy nadal pomagać i jeździć.

• Możesz wspomóc naszą akcję, wpłacając pieniądze w serwisie Zrzutka.pl, nasza zbiórka to: „Wyborcza" dla Ukrainy". Link do wpłat elektronicznych jest tutaj, numer konta do przelewów: **39 1750 1312 6883 8774 8180 4583**

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

Mają bzika na punkcie książek

Miejsca tworzone przez prawdziwych pasjonatów to nie tylko kameralne księgarnie, ale wręcz lokalne centra kultury, które budują tożsamość czytelniczą i tworzą bliską więź między księgarzem a kupującym.

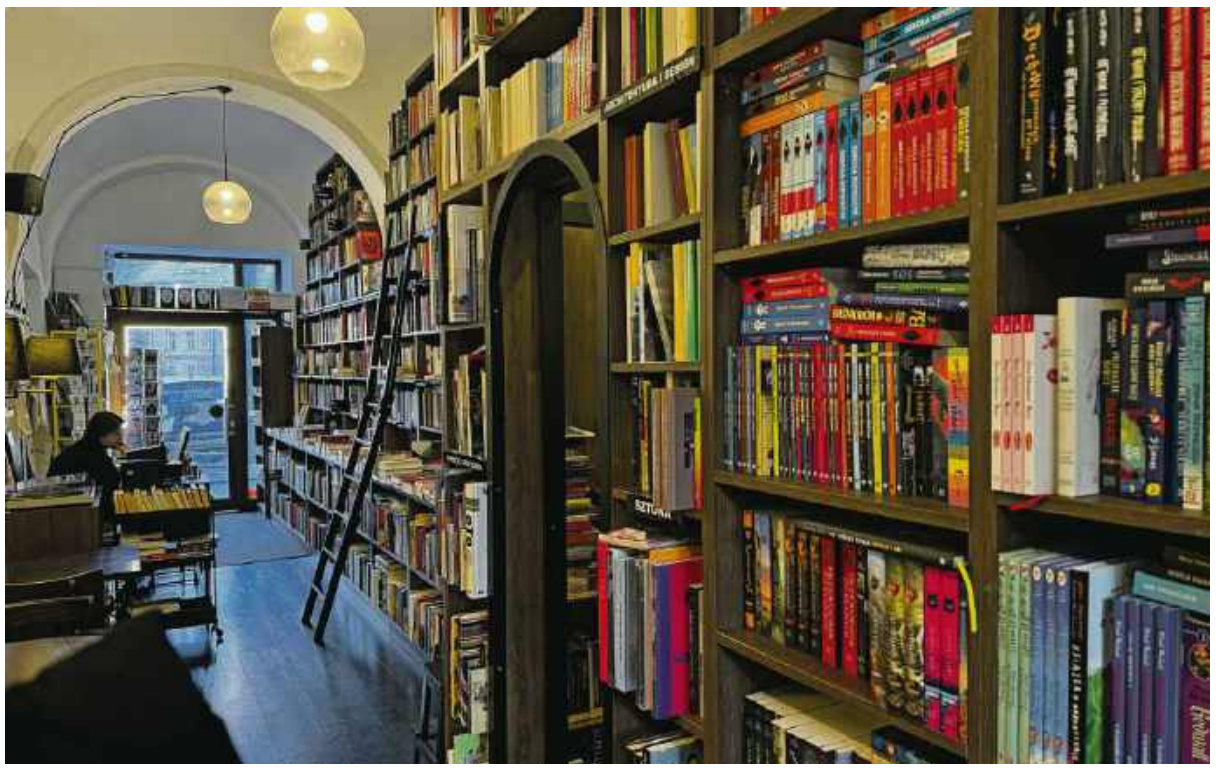

fot. Michał Żyła / księgarnia De Revolutionibus Books

– Znam swoich czytelników z imienia, wiem, kto przychodzi po science fiction, a kto będzie chciał kupić kolorowankę. Z każdym zamienię choćby parę słów – mówi Marzanna Adamowicz, właścicielka księgarni „A KUKU" w Sokółce. W czasach szybkich internetowych transakcji właśnie takie miejsca integrują społeczność. Dziś, 13 grudnia, świętujemy Międzynarodowy Dzień Księgarza.

Mała lokalna księgarnia to coś więcej niż półki z książkami, bo te można znaleźć niemal w każdym supermarkecie. To punkt spotkań sąsiadów, znajomych, często także ludzi samotnych, ale też miejsce, gdzie pobiera się pierwsze lekcje kształtowania czytelniczego smaku. To w takich księgarniach pracują ludzie z pasją i wiedzą. Eksperci, którzy od kilku, kilkunastu lat śledzą rynek książki i chcą się dzielić swoim doświadczeniem. Potrafią polecić odpowiedni tytuł, dopasować do indywidualnych potrzeb i gustów, ale też zachęcić do czytelniczych wyzwań. Żywy przewodnik jest czymś więcej niż internetowy algorytm.

– To, co nas, małe księgarnie, wyróżnia, to także czas. Nie spieszymy się, rozmawiamy z naszymi klientami, stajemy się kimś więcej niż tylko sprzedawcą książek – mówi Violetta Lizak z antykwariatu „Szperalnia" w Bydgoszczy. *– Nie jest łatwo, czasami nasza działalność zakrawa na szaleństwo. Przyznaję, mam bzika na punkcie książek, gromadzę je nadmiarowo. Przed księgarnią wystawiłam półeczkę pod zadaszeniem, na której leżą książki, które każdy może za darmo wziąć. I to działa. Dziś, by przetrwać, trzeba szukać nowych rozwiązań, patentów. Dlatego pakuję książki i jeżdżę z nimi na bydgoską giełdę przy Chemiku, gdzie też mam swoich stałych odbiorców. Nie każdemu by się chciało.*

Pasjonaci, którym się chce

Małe księgarnie działają dzięki pasji. Ich właściciele dobrze znają realia, wiedzą, że nie są w stanie konkurować z internetowymi gigantami ceną czy skalą sprzedaży. Wyróżniają się tym, czego w sieci nie uświadczymy: relacją z czytelnikiem i znajomością jego potrzeb. *– Wiem, co pani Ela czyta, mogę książkę dla niej zamówić, a potem zadzwonić z informacją, że już na nią czeka. Dla wielu osób wyprawa do galerii z różnych przyczyn jest trudna, tu mogą przyjść, usiąść przy kawie, porozmawiać i dostać to, czego potrzebują. Także te niszowe książki, których nie znajdą na półkach molochów sprzedażowych* – zaznacza Jacek Dargiewicz, właściciel księgarni Cafe NOWA na nowohuckim osiedlu Zgody.

fot. Michał Żyła / księgarnia De Revolutionibus Books

Księgarze z misją podpowiadają tytuły, pamiętają preferencje swoich czytelników, często promują niezależną literaturę i wydawnictwa, które są związane z ich miastem, regionem, a nawet dzielnicą. *– Wiem, że do Nowej Huty sprowadzają się młode rodziny z dziećmi, sam jestem rodzicem, dlatego też nasza księgarnia rozszerza ofertę dla najmłodszych* – mówi pan Jacek.

Nie kryje, że w czasach powszechnego e-commerce trudno jest istnieć, prowadząc tradycyjną sprzedaż.

– „Certyfikat dla małych księgarni" nieco wyrównuje warunki gry – podkreśla księgarz. *– Pozwala uregulować podstawowe opłaty oraz poprawić jakość pracy przez wymianę sprzętu czy oprogramowania.*

W Cafe NOWA, gdzie można przyjść i poczytać książkę przy pysznej kawie i cieście, oferta czytelnicza powstaje z myślą o konkretnych odbiorcach i ich gustach. Pan Jacek żartuje, że jego księgarnia działa niemal jak klub sportowy; ma swoich wiernych kibiców, na których wsparcie może liczyć.

To księgarze wychowują świadomego czytelnika

Dzięki „Certyfikatowi dla małych księgarni" księgarzom jest łatwiej. Celem programu jest wsparcie przedsiębiorstw, które są czymś więcej niż sklepami. Są to bowiem wyjątkowe miejsca, w których kształtują się gusta literackie, budzi ciekawość i pogłębia wiedza. Program wspiera księgarzy finansowo i organizacyjnie, umożliwia im realizację planów czytelniczych, modernizację lokali, zakup sprzętu, a także promocję działalności i pozyskanie doradztwa w prowadzeniu księgarni. Dzięki temu właściciele lokalnych księgarni mogą rozwijać swoje inicjatywy, organizować warsztaty, spotkania autorskie i wydarzenia literackie.

– Przyjść do nas można na warsztaty, zapraszamy też lokalnych twórców, pisarzy, poetów – wymienia Marzanna Adamowicz z księgarni „A KUKU". *– Tworzymy przyjazną przestrzeń, wychodzimy także na zewnątrz, adresujemy nasze inicjatywy do najmłodszych. Wychowujemy świadomego czytelnika, który nie kupuje kolorowanki czy bajki „w spożywczym".*

19 milionów złotych, by rozwijać skrzydła

Obecnie trwa piąta edycja programu „Certyfikat dla małych księgarni", w której dofinansowanie otrzymało sto niezależnych księgarni. Według statystyk do 2025 roku włącznie wsparcie uzyskały 504 takie miejsca w całej Polsce, a jego wysokość to 18 995 806,00 zł. Dzięki temu małe księgarnie nie tylko przetrwały w trudnym środowisku rynkowym, ale też mogły wzbogacić swoją ofertę i rozwinąć skrzydła.

– Książka nie jest towarem, lecz dobrem kultury, księgarnie nie są sklepami, tylko kameralnymi instytucjami kultury, w których rocznie odbywa się po kilkadziesiąt wydarzeń literackich: spotkań autorskich, dyskusji czy warsztatów. Od tego, jak postrzegamy książkę, zależy, jakim jesteśmy społeczeństwem. Księgarnie są nam bardzo potrzebne i dlatego Instytut Książki tak wytrwale je wspiera – podkreśla Grzegorz Jankowicz, dyrektor Instytutu Książki.

Wsparcie jest szczególnie ważne w mniejszych miastach i miejscowościach, gdzie nie ma tak rozbudowanej infrastruktury czytelniczej jak w dużych aglomeracjach. Dlatego w 2025 roku dofinansowanie trafiło między innymi do Zielonek, Kęt, Łęcznej, Buka i Paska. Do miejsc, gdzie dyskusje o książkach i życiu kształtują lokalną świadomość literacką.

Międzynarodowy Dzień Księgarza to dobry moment, by zacząć wspierać swoją najbliższą dzielnicową lub osiedlową księgarnię i człowieka, który za nią stoi.

Twórzmy razem wspólnotę dobrych praktyk czytelniczych. Wspierajmy ludzi, którzy mają bzika na punkcie książek i chcą swoją pasją dzielić się z nami. W każdej lokalnej księgarni spotykamy literackich przewodników, którzy wybierają dla nas książki, dają przestrzeń na rozmowę o nich i sprawiają, że mamy je na wyciągnięcie ręki.

Instytut Książki ©Poland

Certyfikat dla małych księgarni

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Sfinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 4d6b712057

KRAJ

SUKCESJA DUŻO KOSZTUJE

Adam Glapiński w NBP walczy o coś więcej niż własne przetrwanie

Dominika Wielowieyska

Walka buldogów PiS przeniosła się pod kolejne dywany – te w siedzibie NBP. Gra idzie o budżet reklamowy banku centralnego. Która frakcja w PiS będzie mogła dysponować tą skarbonką w czasie kampanii wyborczej w 2027 roku?

Prezes NBP Adam Glapiński przez lata traktował bank centralny jak prywatny folwark, faworyzowani urzędnicy mogli liczyć na bardzo wysokie pensje, a osoby, które prezesowi się naraziły, karano brakiem premii. Do legendy przeszły zarobki dwóch jego bliskich współpracowniczek, Kamili Sukiennik i Martyny Wojciechowskiej, wyższe niż dyrektorów tak zwanych departamentów merytorycznych. Jako pierwsza ujawniła te fakty „Wyborcza". Skutkiem naszej publikacji było uchwalenie przepisu, który wymuszał publikowanie danych o pensjach w NBP.

Sukiennik nadal jest przy Glapińskim i zarządza strukturą instytucji jako szefowa departamentu generalnego, decyduje, kto ma dostęp do „Glapy". Martyna Wojciechowska już dawno odeszła z funkcji szefowej departamentu komunikacji, jej miejsce zajął zaufany człowiek prezesa Piotr Turek.

Obok Sukiennik kluczową postacią jest zaufana Glapińskiego Marta Kightley, pierwsza wiceprezes NBP, która kieruje w praktyce bankiem centralnym, gdyż Glapiński rzadko przychodzi do biura. To ona w imieniu prezesa zatwierdza decyzje o nagrodach, delegacjach, fakturach. Dla Glapińskiego to wygodne, bo Kightley jest bardzo lojalna. Jego problem polega jednak na tym, że jej kadencja w zarządzie kończy się już w marcu. Glapiński chciałby ją zatrzymać, ale procedura powołania członka zarządu jest następująca: prezes NBP zgłasza kandydata, premier daje kontrasygnatę, czyli swój podpis pod wnioskiem, a prezydent tę osobę powołuje. Bez Donalda Tuska i Karola Nawrockiego nie da się tego przeprowadzić.

Glapiński więc – jak mówią w NBP – usiłuje się podlizać Tuskowi. Skończył z tasiemcowymi konferencjami prasowymi, na których atakował partie obecnej koalicji rządzącej, już nie prowadzi konfrontacyjnej wobec rządu polityki, łagodzi stanowisko wobec ustawy budżetowej.

Poza tym Glapiński liczy, że jeśli będzie przyjazny wobec Tuska, to nikt nie będzie chciał stawiać go przed Trybunałem Stanu. Dziś sejmowa komisja odpowiedzialności konstytucyjnej pracuje nad wnioskiem w tej sprawie, przesłuchuje długą listę świadków. Koalicja rządząca ma wystarczającą większość w Sejmie, by prezesa postawić przed Trybunałem, a wtedy będzie zawieszony w pełnieniu obowiązków. „Glapa" boi się tego jak ognia, a rządzący mają wszystkie karty. Wszyscy czekają, co też komisja wypracuje, jej członkowie z partyjnej góry nie dostali żadnych rekomendacji – a może pracować aż do końca kadencji i w ten sposób Glapiński jest pod kontrolą.

●

Spośród zarzutów formułowanych wobec prezesa NBP najważniejszy dotyczy przesyłania fałszywych prognoz zysku banku centralnego przekazywanego do budżetu W tej sprawie Joanna Tyrowicz i Ludwik Kotecki, niezwiązani z PiS członkowie Rady Polityki Pieniężnej, złożyli zawiadomienie do prokuratury w styczniu tego roku.

Chodzi o to, że we wrześniu 2023 roku Glapiński wiedział już z materiałów analitycznych, że strata NBP może wynieść nawet kilkadziesiąt miliardów złotych, a mimo to po kilku dniach wysłał informację do ministerstwa finansów, że zysk banku centralnego wpłacony do budżetu wyniesie od 4 do 6 miliarda – a chwilę potem nawet podbił, że na pewno to będzie całe 6 miliardów.

Po co to robił? Domniemanie jest następujące: szef Ministerstwa Obrony Narodowej w rządzie PiS Mariusz Błaszczak chciał wpisać pieniądze na dodatkowe czołgi, ale ówczesna minister finansów Magdalena Rzeczkowska, która nie była partyjnym urzędnikiem, powiedziała, że niestety nie da rady, bo excel budżetowy się nie zgadza, a budżet przed wyborami parlamentarnymi musi ładnie wyglądać. Wobec tego Błaszczak zadzwonił do Glapińskiego, ale znów Rzeczkowska narzekała: no nie da się, bo nawet jak zysk NBP to ma być 4-6 miliarda, to i tak nie ma pewności, czy wszystko się zbilansuje – więc Glapiński w następnym kroku na twardo zapisał 6 miliardów. No i Rzeczkowska czołgi Błaszczaka wpisała do budżetu. Takie zabawy umożliwiały potem Błaszczakowi krytykowanie swojego następcy, Władysława Kosiniaka-Kamysza, że za mało wydaje na sprzęt wojskowy, nie to, co za troszczącego się o obronność PiS.

Zarzut wprowadzania w błąd resortu finansów jest też we wniosku o postawienie Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Ostatecznie za 2023 roku bank centralny wykazał nie zysk, lecz stratę – ponad 20 miliardów złotych.

Glapiński ma więc się czego obawiać, dlatego chce z rządem Tuska dobrze żyć. Zapytałam jednego z przedstawicieli rządu, czy obecna ekipa rządząca ma już strategię, jak postępować z wnioskami o uzupełnienie zarządu NBP, bo nie tylko Kightley kończy kadencję – także inni nominaci PiS, na przykład były szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Piotr Pogonowski, a później Adam Lipiński, niegdyś ważny polityk PiS. – Nie ma decyzji w tej sprawie. Jednak teraz nie możemy na NBP narzekać, podobnie jak na Radę Polityki Pieniężnej. Działają rozsądnie. Jednocześnie mamy świadomość, że trzeba będzie nowych członków do zarządu powołać, bo inaczej bank centralny byłby sparaliżowany. Pytanie, czy będziemy mogli się w tej sprawie porozumieć z prezydentem – wyjaśnia mój rozmówca.

Dodajmy, że RPP, w której obniża stopy procentowe, co rządowi się podoba, bo wzmacnia wzrost gospodarczy, a decyzja ma solidne uzasadnienie: wszak inflacja maleje. Przy czym członkowie niezwiązani z PiS są w mniejszości, obok Tyrowicz i Koteckiego należy do nich Przemysław Litwiniuk. Reszta to nominaci Nowogrodzkiej, którzy głosują tak, jak partyjna centrala sobie zażyczy.

Takie jest tło walki pomiędzy nominatami PiS-u w banku centralnym. Są wzajemne oskarżenia o zdradę i wysługiwanie się Tuskowi – wojna jest już na noże.

●

I eskaluje. Kolejna faza rozpoczęła się z chwilą, gdy w poniedziałek portal wPolityce opublikował alarmujący tekst, że oto spiskowcy w zarządzie NBP chcą obalić wspaniałego fachowca i patriotę profesora Adama Glapińskiego.

„Trwa zamach polityczny na prof. Glapińskiego! Kilku członków zarządu NBP próbuje zmusić go do odejścia" – to tytuł depeszy, a potem jest jeszcze bardziej dramatycznie. „Koalicja pięciu członków zarządu, wywodzących się ze środowisk prawicowych, od kilku tygodni próbuje odebrać prezesowi NBP kluczowe kompetencje, proponując likwidację ważnych departamentów i dążąc do przejęcia kontroli nad wydatkami. Jeśli plan ten zostanie zrealizowany, prezes NBP nie będzie miał władzy w banku, i będzie musiał odejść – a tym samym oddać bank w ręce Koalicji 13 Grudnia, co z kolei otworzy drogę do przyjęcia euro i oddania polskich rezerw złota pod kontrolę Brukseli" – alarmuje portal, który Jacek Karnowski do niedawnego rozstania prowadził z bratem Michałem, tworząc mini-koncern medialny rywalizujący o prawicowego odbiorcę z imperium Tomasza „TV Republika" Sakiewicza. „W gronie członków zarządu, którzy realizują ten plan, jest Paweł Mucha, od dawna atakujący prezesa NBP, a także Marta Gajęcka, Rafał Sura, Piotr Pogonowski oraz Artur Soboń. Według naszych źródeł, motywacje tych osób mają charakter wąsko partykularny. Nie jest wykluczony także udział służb specjalnych w operacji, która – podkreślmy – ma doprowadzić do oddania władzy w NBP ekipie Tuska".

– To jest jakaś rozróba z małych intencji, małych motywacji. Oddawanie na tacy NBP ekipie Koalicji 13 Grudnia [to określenie ukuli na rząd Tuska pisowscy propagandyści, wykorzystując zbieżność dat powołania gabinetu oraz wprowadzenia stanu wojennego przez gen. Jaruzelskiego w 1981] to jest z perspektywy polskiej racji stanu po prostu zbrodnia, której historia nie zapomni – mówił Jacek Karnowski we własnej telewizji wPolsce24.

●

W tej depeszy jest kilka istotnych przekłamań – których portal Karnowskiego użył na wyraźne życzenie Glapińskiego, ale o tym za chwilę.

Znów konflikt ma podłoże w przeszłości – a zaczął się w momencie, gdy jeden ze spiskowców postanowił się postawić Glapińskiemu. Chodzi o Pawła Muchę, doradcę prezesa MBP, byłego prawnika Andrzeja Dudy. Mucha wojuje z „Glapą" już od jesieni 2023 roku; oskarżał prezesa o łamanie prawa, blokowanie dostępu do dokumentów, dziś jest ważnym świadkiem komisji odpowiedzialności konstytucyjnej. Zarząd banku, a w zasadzie Glapiński, wydał oświadczenie, uznając zachowanie Muchy za „nieakceptowalne". Oskarżył współpracownika, że wszczyna awantury, bo dostał za małe premie. Faktycznie Mucha z całego zarządu NBP zarobił najmniej. I złożył pozew przeciwko NBP o zaległe premie – około 140 tysięcy złotych – twierdząc, że obniżono mu wynagrodzenie bezpodstawnie. Napisał list do prezesa, oskarżając go o naruszanie dóbr osobistych i zniesławianie.

eprasa.pl 4d6b712057

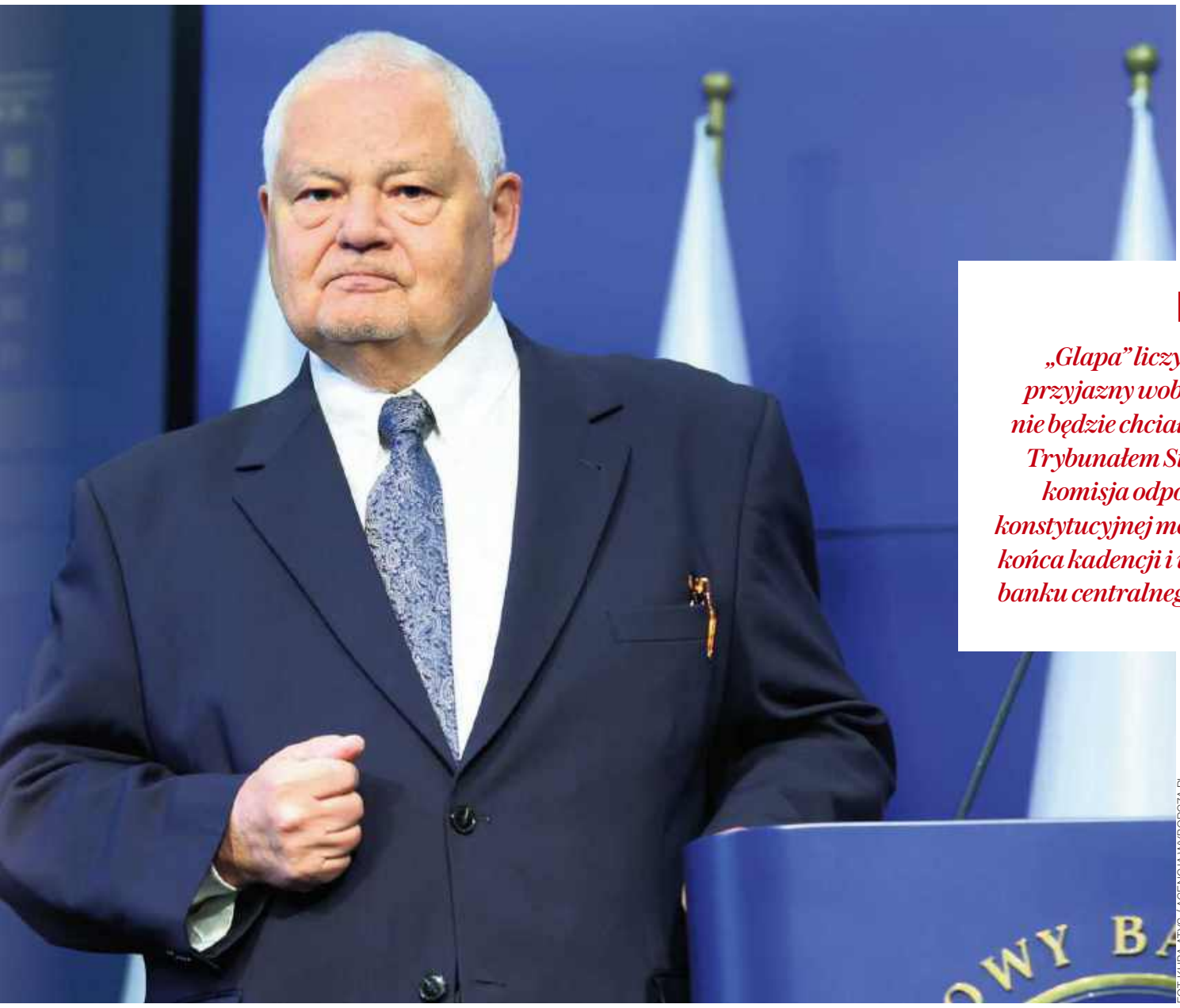

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Następna faza kłótni – którą relacjonował w połowie listopada portal Money.pl, lecz wtedy mało kto zwrócił na to uwagę – objęła większą część zarządu. A poszło o opinię NBP do projektu budżetu przygotowanego przez rząd Tuska. Glapiński chciał tę opinię łagodzić, a PiS-owscy nominaci w zarządzie na czele z byłym wiceministrem finansów Arturem Soboniem i eks- szefem ABW Piotrem Pogonowskim chcieli postawić na ostrzejszą retorykę. Ostateczna wersja stanowiska była efektem kilku zwrotów akcji i prób głosowania.

Oponenci „Glapy" chcieli piętnować rząd za wysoki deficyt budżetowy i dług publiczny, nieprzejrzyste wydatki, niezrealizowane dochody. Porównując kolejne wersje stanowiska, można zauważyć różnice w śródtytułach. W pierwszej wersji mają neutralny charakter – to na przykład „sytuacja sektora finansów publicznych", „polityka fiskalna w 2026 roku" czy „dług publiczny i finansowanie potrzeb pożyczkowych". W wersji drugiej brzmiały inaczej: „wyraźne pogorszenie sytuacji sektora finansów publicznych", „utrzymanie wysokiego deficytu sektora finansów publicznych w 2026 roku" oraz „szybkie narastanie długu publicznego". W finalnej wersji śródtytuły wróciły do pierwotnej, neutralnej wersji. Ale za to treść stanowiska została zaostrzona.

Glapiński chciał osiągnąć swój cel między innymi poprzez obiegowe szybkie procedowanie stanowiska. To również stanie się obiektem sporu – o to, w jaki sposób takie uchwały zarządu powstają.

Tymczasem Soboń z Pogonowskim i Muchą przygotowali pakiet zmian, który ograniczałby władzę Glapińskiego. To był impuls do kolejnej odsłony konfliktu.

Glapiński nadał sprawę swoim sojusznikom, pisowskim mediom w rodzaju Republiki i wPolsce24, a one rozkręciły opowieść o buntownikach spiskujących z Tuskiem. Sojusznikom „Glapy", obwiniającym jego przeciwników o grzech dla wiernego prawicowego wyborcy najcięższy, udało się odwrócić kota ogonem, bo przecież to „Glapa" zabiega o względy Tuska.

Stawka jest wysoka, bo prezes NBP jednoosobowo decyduje o wielu rzeczach, a wedle proponowanego regulaminu o nagrodach i premiach dla prezesa oraz jego dwójki głównych zastępców decydowałby każdorazowo zarząd banku. Kolejny punkt to zmniejszenie liczby dyrektorów, którzy na stałe uczestniczą w posiedzeniach zarządu – a tak się składa, że to głównie ludzie Glapińskiego.

Poza tym Soboń i jego sojusznicy chcą ograniczyć głosowanie w trybie obiegowym, co uniemożliwiłoby prezesowi korowody takie jak wokół stanowiska NBP wobec budżetu. Ponadto na wniosek co najmniej trzech członków zarządu przewodniczący wprowadzałby do porządku obrad dodatkowe kwestie. Ostatni punkt brzmi jak proceduralna formalność, ale też jest istotny – bo gdy buntownicy chcą dyskutować o zmianach w regulaminie, Glapiński odracza posiedzenie zarządu (obecnie do 20 stycznia) albo je przerywa, gdy oponenci obstają przy swoim i w ten sposób blokuje opozycję. A jeśli wiele decyzji będzie podejmowanych kolegialnie, nie przez samego prezesa, to Glapiński będzie głosowania przegrywał, bo frakcja mu przeciwna ma liczebną przewagę. Co oznacza ograniczenie jego zarobków i premii.

Ale nie tylko o osobiste dochody chodzi. Buntownicy chcą zlikwidować dwa departamenty: Edukacji i Wydawnictw oraz Komunikacji, których zadania miałby przejąć Departament Promocji – po tym, jak przejmą go oni. Bo dziś osobisty nadzór nad nim – podobnie jak nad departamentem komunikacji – sprawuje Glapiński.

Dlaczego walka o te departamenty jest tak zażarta? Chodzi o budżet reklamowy. Za dawnych czasów był wykorzystywany do finansowania analiz, teraz niemal całość idzie na promocję i reklamy w mediach. Oczywiście w dużej mierze PiS-owskich, w tym w tygodniku „Sieci". Dlatego Karnowski bez wahania opublikował konglomerat nieprawdziwych informacji pod dyktando Glapińskiego.

Narodowy Bank Polski od początku 2024 roku przeznaczył na reklamy w mediach ponad 50 milionów złotych – wynika z danych, które firma analityczna Kantar Media udostępniła „Presserwisowi". NBP najwięcej pieniędzy wydał w Republice Tomasza Sakiewicza, ale Karnowski też jest beneficjentem. I wygląda na to, że anonse NBP są dlań znacznie ważniejsze niż dla biznesowo-politycznego rywala. Dla Fratrii (wPolityce.pl, „Sieci" i telewizja wPolsce24) w pierwszym kwartale tego roku NBP był największym reklamodawcą. W zeszłym roku bank centralny znalazł się na czwartym miejscu największych reklamodawców „Sieci" obok trzech spółek skarbu państwa, które zakontraktowały reklamy jeszcze za rządu PiS. Teraz NBP urósł do rangi głównego żywiciela, bo źródełko ze spółek skarbu państwa wyschło. Spółka Jacka Karnowskiego wychodzi z założenia, że pozbawienie „Glapy" wpływu na budżet może oznaczać spore straty.

Ten finansowy kontekst wyjaśnia, dlaczego i ludzie Fratrii, i Republiki przymykają oczy na ewidentne dziury w opowieści „Glapy". Jego obrona Polski przed unijną walutą jest tylko werbalna i taka pozostanie, bo jest teoretyczna – aby wejść do strefy euro, trzeba najpierw zmienić konstytucję, do czego jest potrzebna większość kwalifikowana, a na to nie ma szans. Snucie opowieści, że Soboń się sprzymierzył ze służbami Tuska, też jest głupie, bo to właśnie on chciał uderzającego wizerunkowo w rząd zaostrzenia stanowiska NBP w sprawie budżetu. Ogólna teza, że buntownicy chcą oddać bank centralny Tuskowi, również nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością. Gdyż głównym rozgrywającym w sprawach personalnych dotyczących NBP pozostaje prezydent, a trudno zakładać, aby Karol Nawrocki chciał oddać władzę nad taką instytucją Koalicji 15 Października.

„Glapa" liczy, że jeśli będzie przyjazny wobec Tuska, to nikt nie będzie chciał stawiać go przed Trybunałem Stanu. A sejmowa komisja odpowiedzialności konstytucyjnej może pracować aż do końca kadencji i w ten sposób prezes banku centralnego jest pod kontrolą

Sytuacja stała się jeszcze bardziej groteskowa, gdy w tej sprawie podczas poniedziałkowej konferencji prasowej wypowiedział się sam Jarosław Kaczyński. Słysząc pytanie o konflikt w NBP, prezes PiS był trochę zdezorientowany, po czym też poszedł w narrację o obronie Polski przed euro – co może oznaczać, że nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

A dzieje się coraz więcej: własną batalię o NBP rozpoczęły pisowskie frakcje. Jest ona częścią ogólnej walki w PiS, gdzie „maślarze" (Jacek Sasin, Patryk Jaki, Tobiasz Bocheński i Przemysław Czarnek) zwalczają frakcję Mateusza Morawieckiego, który chce ponownie zostać premierem. Budżet reklamowy NBP to kawałek tortu, o który warto walczyć, bo zwycięzcy da fory w zbliżającej się kampanii wyborczej. Soboń jest kojarzony z Morawieckim, jeśli przejmie kontrolę nad budżetem reklamowym, to frakcja „technokratyczna" może liczyć na potężne wzmocnienie przed wyborami – bo każde PiS-owskie medium będzie musiało się liczyć z tak poważnym reklamodawcą, a więc ładnie opowiadać o współpracownikach byłego premiera. To oznacza promowanie ludzi Morawieckiego na listach i słabnięcie przedstawicieli innych frakcji.

PiS notuje spadek notowań, i to poważny, o 10 punktów procentowych w porównaniu z wynikiem wyborczym w 2023 roku. To oznacza, że spora grupa posłów znajdzie się za burtą, więc walka z kolegą na liście w danym okręgu będzie zażarta. Wygra ten, który będzie miał lepszą pozycję w prawicowych mediach. A wszyscy wiedzą, że Morawiecki, którego środowisko jest bardzo sprawne w prowadzeniu kampanii, zadba o swoich ludzi. W zeszłorocznych wyborach europejskich przeskakiwali kolegów na liście i weszli do Parlamentu Europejskiego z miejsc zawsze uważanych za „niebiorące". Dzięki ekstra pieniądzom – a budżet NBP na komunikację i reklamę w tym roku poszedł bardzo w górę – mogą powtórzyć ten sukces w 2027 roku. Wtedy Morawiecki będzie miał w klubie PiS mnóstwo szabel, którymi zaszachuje samego Kaczyńskiego, by zmarginalizować „maślarzy".

Glapiński z kolei częściej wspierał konkurentów Morawieckiego. I nie zamierza oddać skóry łatwo. Już namówił Radę Polityki Pieniężnej do wydania komunikatu, który nawołuje do spokoju. „Zwracamy się o wyciszenie emocji, rozwagę i niedokonywanie żadnych pochopnych działań" – czytamy w apelu, pod którym podpisał się między innymi sam „Glapa". Ale nie podpisali Joanna Tyrowicz, Ludwik Kotecki i Przemysław Litwiniuk, bo nie są nominatami PiS i nie zamierzają brać udziału w tej wewnątrzpartyjnej wojnie.

A Glapiński – człowiek, który organizował zaplecze finansowe Porozumienia Centrum, pierwszej partii Jarosława Kaczyńskiego, i przez lata był jego „consigliere" – nawet gdy się broni, to atakuje. We wtorek odebrał niektórym buntownikom zwierzchność nad poszczególnymi departamentami, bo - jak ogłosił - utracił do nich zaufanie. Jednak w tym gronie nie ma Artura Sobonia, co oznacza, że może Glapiński chce się jednak ułożyć z frakcją Morawieckiego i zawrzeć z nią jakąś ugodę, dopuścić do reklamowych fruktów, bo wie, że ma zbyt wielu przeciwników, aby wygrać tę batalię. Wojna w PiS przeniosła się na nowe pole i będzie eskalowała.

eprasa.pl 4d6b712057

Czas odczasowienia

Czas kolisty dawał zakorzenienie, ten linearny dawał sens i cel. Czas dzisiejszy nie daje ani jednego, ani drugiego.

Marcin Matczak

Mam wrażenie, że nasze życie zmienia się w serię krótkich błysków, jakby ktoś przestawił świat z trybu filmu na tryb robienia zdjęć. Skrolujemy nie tylko telefony, ale i rzeczywistość. Wszystko, co wczoraj wydawało się istotne, dziś nie tylko już nie jest, ale wręcz wydaje się, jakby tego nigdy nie było.

Merlin Donald, kanadyjski antropolog, opisał trzy etapy ludzkiej kultury:
• mimetyczny, kiedy ludzie komunikowali się gestami;
• mityczny, kiedy nauczyli się opowiadać historie;
• teoretyczny, kiedy wynaleźli pismo, a z nim instytucje, które wymagają dystansu i abstrakcji – od prawa, przez naukę, po biurokrację.

Pismo wprowadziło w ludzkie życie czas rozciągnięty: zdolność, by patrzeć dalej, planować, składać obietnice, budować instytucje, które będą działać, gdy ich twórców dawno już nie będzie.

Dziś – jak pisze Jacek Dukaj – żyjemy w świecie „po piśmie". Zastępują je obrazy, strumienie impulsów. Słowo prowadziło do refleksji, obraz prowadzi do lajku, gniewu, śmiechu. Jacques Ellul nazywa ten proces „upokorzeniem słowa": tekst wymaga skupienia, więc dziś coraz częściej jest jak przechodzień na ulicy – po prostu go mijamy. Zamiast czytać, przewijamy, zamiast myśleć – reagujemy. A zamiast planować, klikamy: „Zobacz więcej".

Ofiary detemporalizacji

Żyjemy w absolutnej teraźniejszości. Potwierdzają to internetowe fenomeny: wiadomości na Snapchacie, które kasują się po przeczytaniu, „tryb znikający" w Messengerze, gdzie rozmowa żyje tak długo jak ekran smartfona pozostaje odblokowany, czy wreszcie stories, czyli polskie „relacje", które znikają po 24 godzinach.

Każda treść ma żyć krótko, bo uczy się nas myśleć o pamięci jak o czymś kłopotliwym. Przecież pamięć trzeba pielęgnować, mierzyć się z nią i czasami tego, co było, żałować. Teraźniejszość jest o wiele łatwiejsza. Daje się lekceważąco przesunąć palcem, jakby ktoś machnął na nią ręką.

„Stories" niby po angielsku mają coś wspólnego z historiami, ale zgodnie z polską nazwą bardziej są raportami z chwil. To historie, które nie są historiami, i relacje, które nie budują relacji. A może stories są współczesną metaforą relacji: jest, a za chwilę już jej nie ma?

Snapchat z kolei jest metaforą argumentu: powiedziałem, ale nie odpowiadam za to, bo przecież wyparowało. Znikające wiadomości zwalniają z odpowiedzialności – za słowo i za konsekwencje.

To nie są tylko funkcje, ale język epoki, w której niczemu nie wypada pozostać na dłużej. Nie ma już narracyjnej sekwencji „kiedyś-teraz-potem" – jest tylko ciąg różnych „teraz", z których obecne po chwili są wypierane przez następne.

A przecież niektóre rzeczy nie powinny znikać: obietnica, zaufanie, dane słowo. Ale my cierpimy na nową chorobę: detemporalizację, albo – jeśli ktoś woli – odczasowienie.

Objawy detemporalizacji to utrata orientacji na przeszłość i przyszłość, życie bez osi czasu.

Człowiek epoki pisma potrafił żonglować trzema perspektywami – przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Człowiek obrazu, ofiara detemporalizacji, zna tylko jedną – tę aktualnie wyświetlaną na ekranie. Coraz trudniej podjąć mu zobowiązania długofalowe. Bo dlaczego mam obiecywać coś na za rok, skoro jutro mogę już nie pamiętać, co obiecałem? Dlaczego mam wierzyć w stabilną karierę, skoro jutro może pojawić się nowy trend? Dlaczego mam ufać instytucjom, skoro nic dzisiaj nie jest trwałe?

Efekty odczasowienia widać wszędzie. Kto w Polsce zniszczył praworządność? Kaczyński czy może jednak Tusk? Tak trudno sobie przypomnieć. Jak rozwiązać problem demograficzny czy klimatyczny? Po co, skoro zrealizuje się on w przyszłości, która jeszcze nie istnieje?

Odczasowienie widać u pracowników, którzy traktują firmę jak przystanek, a nie miejsce, do którego się przynależy, jak również w związkach, które rozpadają się o wiele szybciej niż kiedyś, w niezdolności do odraczania gratyfikacji.

Gdy wszystko krzyczy „teraz", mówienie „później" nie jest umiejętnością czekania, ale co najwyżej prokrastynacją.

Nadszedł etap trzeci

Czy w świecie odczasowionym będziemy umieli dotrzymywać umów? To przecież obietnice odroczone w czasie. Może zrozumienie dla decyzji Trumpa o wycofaniu się z konwencji międzynarodowych albo wzrost poparcia dla polexitu też mają swoje źródła w detemporalizacji? Gdy żyje się chwilą, każda długofalowa obietnica jest podejrzana.

Przez większą część historii ludzkości czas wydawał się kolisty – zgodny z rytmem natury, światła, pór roku. Dzień zaczynał się, kiedy wschodziło słońce, a kończył, kiedy zapadał zmrok. Praca była wpisana w cykl: sianie, żniwa, odpoczynek. Czas był jak koło – przynosił to samo w nowej odsłonie.

Potem pojawiło się chrześcijaństwo i zegar mechaniczny. Czas, zamiast płynąć, zaczął być odmierzany. Zaczęliśmy myśleć o nim jak o linii: narodziny, edukacja, praca, emerytura, koniec albo zbawienie. Rewolucja przemysłowa jeszcze to przyspieszyła: fabryki i kopalnie nie znały świtu ani zmierzchu, znały tylko kolejne zmiany i szychty. Człowiek przeszedł z czasu naturalnego na harmonogram. W tym sensie wynalazek zegara zmusił świat, by wyrównał krok.

Teraz wchodzimy w trzeci etap: zanik czasu. Czas nie jest już cyklem ani linią, ale strumieniem powiadomień, drobnymi porcjami teraźniejszości, rozsypanymi klockami. Praca zdalna zaciera granice między porą wysiłku a porą odpoczynku – wszystko dzieje się gdzieś między e-mailami. Aplikacje randkowe nie wymagają czasu, by się poznać. Nawet Netflix już nie dzieli seriali na publikowane co tydzień odcinki – wyrzuca wszystko naraz, jakby chciał skasować różnicę między „dziś" a „jutro".

Czas kolisty dawał zakorzenienie, ten linearny dawał sens i cel. Czas dzisiejszy nie daje ani jednego, ani drugiego. To nie nostalgiczny lament, ale diagnoza kultury, która przestawiła nas na tryb poklatkowy. W takim trybie każda długoterminowa struktura – od rodziny przez naukę po prawo – staje się podatna na znikanie, jak wiadomość na Snapchacie.

Co z tym zrobić? Może więcej czytać i mniej oglądać? Moje pokolenie, które więcej czytało, niż oglądało, oprócz „teraz" miało również przedtem i potem. Dzisiaj taki stan posiadania staje się luksusem. ●

Drażliwe słowo „kawalerka"

Może prezydent Nawrocki podświadomie tęskni za oddaną na cele charytatywne kawalerką, więc wkradła mu się ona do metaforyki przy okazji weta do tzw. ustawy łańcuchowej.

Michał Rusinek

W 1777 roku James Cook – angielski żeglarz, odkrywca i kartograf – wprowadził do języka angielskiego słowo „tabu". Pochodzi ono z języków polinezyjskich i oznacza w tamtej kulturze system świętych zakazów oraz ograniczeń dotyczących osób, miejsc, przedmiotów lub słów. Obecnie tabu oznacza sferę fundamentalnych zakazów kulturowych, których złamanie postrzegane jest jako zamach na integralność danej kultury. Używane też być może w odniesieniu do takich słów i zachowań, których należy unikać, żeby nie zaszkodzić sobie i reprezentowanej przez siebie instytucji. Na przykład prezydenta państwa.

●

Najbardziej dramatycznym momentem ostatniej kampanii prezydenckiej było ujawnienie przez dziennikarzy Onetu, Jacka Harłukowicza i Andrzeja Stankiewicza, że Karol Nawrocki mijał się z prawdą mówiąc, iż ma tylko jedno mieszkanie. Okazało się bowiem, że przejął również kawalerkę od samotnego seniora zwanego panem Jerzym, ponoć w zamian za opiekę nad nim. W maju zeszłego roku nieomal codziennie pojawiały się w mediach nowe fakty i konteksty tej nieco podejrzanej transakcji, a słowo „kawalerka" – zarezerwowane dotąd dla dyskursu deweloperskiego, a nawet patodeweloperskiego – zaczęło mieć wydźwięk czysto polityczny. Mało brakowało, a zmieniłoby ono wynik wyborów prezydenckich, wiele jednak wskazuje na to, że nadużywanie go – i afery z nim związanej – przez dziennikarzy i polityków spowodowało, że część wyborców zaczęła postrzegać Nawrockiego jako ofiarę kawalerkonagonki. I mimo wszystko zagłosowała na niego.

Tak czy owak, w kampanijnej narracji sztabu Nawrockiego „kawalerka" stała się słowem tabu, które mogło się pojawić tylko wtedy, kiedy trzeba było odpierać zarzuty przeciwników: lepiej było go pochopnie nie używać, żeby nie wywołać wilka z lasu. Wybory się odbyły, „kawalerka" nie wpłynęła jakoś szczególnie na ich wynik, a prokuratura rejonowa w Gdańsku umorzyła kilka wątków śledztwa w jej sprawie, na przykład wyłudzenia poświadczenia nieprawdy i złożenie fałszywego oświadczenia w aktach notarialnych uległy przedawnieniu, a niewywiązywanie się z obowiązku opieki nad panem Jerzym oraz wprowadzenie w błąd gminy nie zawierały ponoć znamion czynu zabronionego. Inkryminowana kawalerka została w końcu przekazana Chrześcijańskiemu Stowarzyszeniu Dobroczynnemu na cele charytatywne, ale – by tak rzec – niesmak pozostał. Może za jakiś czas zapomnimy o całej aferze, ale tylko pod warunkiem, że „kawalerka" pozostanie w sferze tabu. Chociaż może właśnie dlatego – nie zapomnimy.

●

Nie tak dawno, siedem miesięcy po wybuchu rzeczonej afery, prezydent Karol Nawrocki tłumacząc się z zawetowania tzw. ustawy łańcuchowej powiedział, że zamiast rozwiązywać problemy tworzyła ona nowe, które „mogły doprowadzić do pogorszenia, a nie polepszenia sytuacji zwierząt". Proponowane w niej – zamiast łańcuchów – „normy kojców dla psów były kompletnie nierealne. Kojce wielkości miejskich kawalerek to absurd, który uderzałby w rolników, hodowców i zwykłe wiejskie gospodarstwa". Porównanie proponowanej w ustawie powierzchni kojców dla psów do powierzchni kawalerek było nieco przesadzone, bo wielkość kojców miała być uzależniona od wagi psa i wynosić od 10 do 20 metrów kwadratowych. Tymczasem minimalna powierzchnia kawalerki, zgodnie z polskimi przepisami budowlanymi, powinna wynosić 25 metrów kwadratowych. Mniejsze lokale, zwane pieszczotliwie mikrokawalerkami, mogą być w Polsce sprzedawane wyłącznie jako lokale użytkowe, a nie mieszkalne.

No i dręczy nas teraz pytanie, czemu Karol Nawrocki posłużył się akurat ryzykowną figurą kawalerki. Czy był to ukryty sygnał dla deweloperów, że nie ma nic patologicznego w 10-metrowych mieszkaniach, wystarczających dla mniej rosłych obywatelek i obywateli? Czy może dowód na to, że pan prezydent podświadomie tęskni za oddaną na cele charytatywne kawalerką, więc niespodzianie dla niego samego wkrada mu się ona do metaforyki? A może próba detabuizacji słowa, które – za sprawą wścibskich dziennikarzy – stało się dla niego słowem zakazanym? Bo przecież siedem miesięcy to wystarczający czas, by uschły i odpadły od „kawalerki" ryzykowne konteksty. Owszem, trwa jeszcze dochodzenie, ale ile potrwa i czym się zakończy? Nie wiadomo, ale może Nawrocki chciał pokazać, że niczego się nie boi. A może wreszcie kierowała nim chęć stawienia czoła tabu, którym to słowo się stało? Przecież to władca powinien decydować co jest, a co nie jest zakazane!

●

Cóż, nawet jednak najbardziej autorytarny władca nie ma mocy wyznaczania kręgów społecznych skojarzeń. Ba, Freud i Girard w ogóle byli zdania, że tabu bierze się z czynów dokonanych właśnie przez dysponujących autorytarną władzą „ojców". Te czyny sprowadzają na nich gniew, a potem zostają uznane za święte i zakazane zarazem – i na to władcy już nie mają żadnego wpływu. Chyba że przestają być ludźmi i stają się bogami, ale do tego potrzebna jest ich odpowiednio dramatyczna śmierć – która nota bene spotkała wspomnianego Jamesa Cooka, uznanego w 1779 roku przez Hawajczyków za wcielenie boga Lono. Jego coraz silniejsza władza groziła naruszeniem równowagi metafizycznych sił, więc trzeba było się go pozbyć.

Zabrnęliśmy w niebezpieczne rewiry. Panu prezydentowi Nawrockiemu życzymy oczywiście długich lat życia w zdrowiu. Pragniemy tylko zauważyć, że tabu jest siłą niebezpieczną nawet – a może przede wszystkim – dla tych, którzy mają władzę. Bo tabu zapisuje się głęboko w zbiorowej pamięci i lepiej z nim nie igrać. ●

eprasa.pl 4d6b712057

Niezła Historia

POD CHOINKĘ!

GOŚCINI SPECJALNA BABKA OD HISTORII

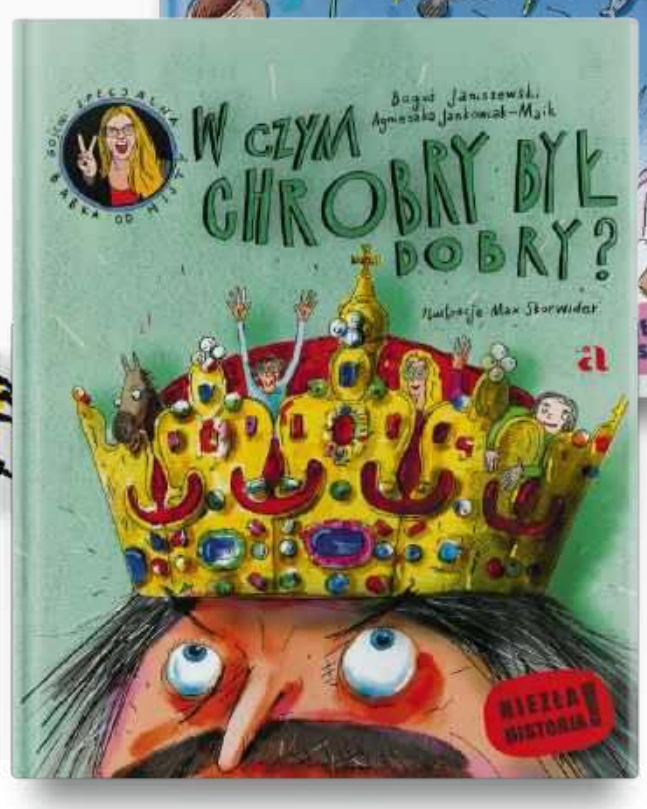

9-12 lat

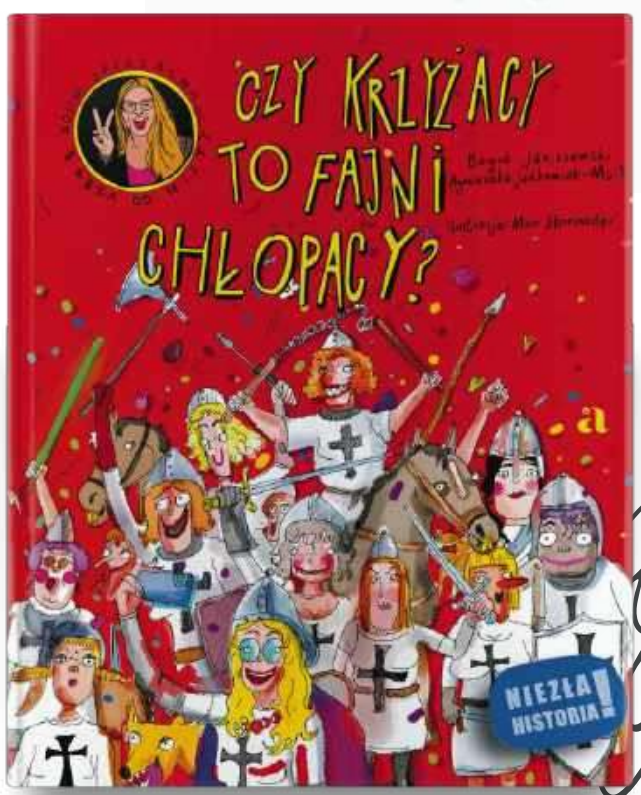

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.agoradladzieci.pl

Wydawnictwo Agora dla dzieci

Kraj/34410359

eprasa.pl 4d6b712057

PO CO SAME SZÓSTKI NA ŚWIADECTWIE

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wychowawca olimpijczyków

• 300 jego uczniów w latach 1999-2025 wzięło udział w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Informatycznej, a 22 zdobyło złote medale. Wychowankami prof. Ryszarda Szubartowskiego są: Jakub Pachocki, główny naukowiec OpenAI, odpowiadający za stworzenie Chata GPT oraz Filip Wolski, mistrz świata w programowaniu.
• Profesor do licznych honorów – w tym Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski i Medalu Komisji Edukacji Narodowej oraz nagród, m. in. Ministra Edukacji Narodowej, właśnie dołączył kolejną: Nagrodę Koliber.

Co roku przyznaje ją zaangażowana we wspieranie edukacji, przedsiębiorczości, promocję osiągnięć młodych polskich sportowców, przedsiębiorców naukowców za granicą oraz mecenat artystyczny, Fundacja Roberta Dobrzyckiego, jednego z najbogatszych Polaków, twórcy europejskiego koncernu logistycznego Panattoni. „Kolibrem" zostają wyróżnieni ludzie, których działania są spójne z misją Fundacji – tworzą projekty o istotnym wpływie, promują Polskę w kraju i za granicą, podnoszą jakość życia, inspirują swoim podejściem i konsekwencją.

Wychowawca współtwórcy ChataGPT: Gdyby cofnął się pan w czasie do liceum, sugerowałbym panu czytanie powieści, pisanie dłuższych form i spotkania z ludźmi.

Z **PROF. RYSZARDEM SZUBARTOWSKIM** WYBITNYM NAUCZYCIELEM INFORMANTYKI I MENTOREM ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Studiowanie informatyki w latach 70. w Polsce nie było częste?
– Na pewno takie studiowanie jak moje nie było częste. Uczęszczałem na Wydział Cybernetyki Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie uczyłem się automatyzacji urządzeń, sterowaniem ich przy pomocy komputerów. Najpierw więc trzeba było dostać się na WAT, a potem komisja wybierała sześciu studentów rocznie na cybernetykę. Po tych studiach mogłem pracować wyłącznie na jednej z kilku akademii wojskowych albo w sztabie generalnym.

A skąd w ogóle cybernetyka? Podobno interesował się pan nią już w liceum?
– Chodziłem do szkoły radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Mój ojciec umarł, kiedy byłem w zawodówce, miałem jeszcze brata i mama nie byłaby w stanie opłacić z jednej emerytury po tacie mojego wykształcenia, więc wybrałem szkołę radiotechniczną, którą finansowało wojsko. Miałem co jeść i gdzie spać, moja mama nie musiała się martwić o moją przyszłość.

Chciał pan zostać wojskowym?
– Nie, zależało mi na usamodzielnieniu. Jelenia Góra w latach 70. była całkiem przyjemnym miastem, wychodziliśmy z chłopakami na przepustki, bawiliśmy się, do naszej dyspozycji była hala sportowa.

To wtedy pomyślał pan: zostanę nauczycielem?
– Odpowiedź jest bardziej złożona. Po studiach przełożeni postanowili wysłać mnie do pracy w sztabie generalnym w Warszawie. Moja żona stwierdziła jednak, że chciałaby mieszkać w Gdyni.

Dlaczego właśnie tam?
– Nie wiem, może dlatego, że lubiła morze? Skontaktowałem się z kolegą, który strasznie chciał jechać do Warszawy, a do sztabu generalnego było trudno się dostać. Więc się zamieniliśmy: ja zacząłem pracować i wykładać na Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, a kolega przeniósł się do wymarzonej stolicy. Zostałem więc nauczycielem akademickim i pracownikiem naukowo-badawczym.

Zajmowałem się tam przeróżnymi sprawami. Prowadziłem rzecz jasna wykłady, w soboty – za zgodą dyrektora instytutu – zapraszałem młodzież do sali komputerowej, gdzie uczyłem ich podstaw programowania. Jako naukowiec opracowałem na przykład program komputerowy mierzący oblodzenie statków. Przez wiele lat zajmował się tym w Gdyni jeden człowiek, który – jak mi powiedział – robi to na nos, czyli na czuja. Wziąłem więc od niego jego pomiary, opracowałem program, który badał precyzyjniej poziom namagnetyzowania odpowiadający za poziom oblodzenia. „Coś ty zrobił?!" – zapytał ten człowiek. „Napisałem program na twój nos" – zaśmiałem się.

Opracowałem też sposób badania silników łodzi podwodnych. Za każdym razem mechanicy musieli rozcinać łódź, wyciągać silnik, wieszać go na potężnym haku i reperować, badać, sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Zacząłem się więc zastanawiać, jak usprawnić ich pracę. Ściągnąłem z Japonii czujniki, które zamontowałem w silniku, żeby gromadziły wszystkie dane o jego pracy. Po rejsie drukowałem – w kolorze! – wszystkie dane. Ludzie byli w szoku, a dzisiaj to podstawa diagnostyki każdego silnika, również w samochodach.

Wtedy też zaproponowano mi ciekawy eksperyment: miałem sprawdzić, czy wojsko jest w stanie stworzyć maszynę, która byłaby w stanie uczyć ludzi. Chcąc lepiej poznać materię, przez chwilę uczyłem w szkołach podstawowych i liceach informatyki. Musiałem zweryfikować, z czego dokładnie składa się dydaktyka, edukowanie dzieci.

Po jakimś czasie stwierdziłem, że takiej maszyny nie da się skonstruować. Wziąłem pod uwagę dane psycho-cybernetyki i innych nauk, wyszło mi, że najistotniejszym elementem systemu nauczania ludzi jest natura. Mówiąc inaczej: to człowiek musi dostosować naukę do siebie, nie da się narzucić schematów, szczególnie dzieciom.

W tamtym czasie zostałem odesłany do rezerwy, miałem 38 lat i emeryturę, postanowiłem więc poświęcić się szkole. Na samym początku dowiedziałem się, że moje doświadczenie akademickie i tytuł profesora uczelni nie mają większego znaczenia w systemie szkolnictwa, więc musiałem przejść całą ścieżkę awansu zawodowego. Czyli tak naprawdę rozpocząć wszystko od zera.

W szkole dzieci uczą się 20 przedmiotów naraz, są przeciążone, a pan proponuje rewolucję.
– Bez przesady, nie było żadnej rewolucji, po prostu zacząłem uczyć wedle swojego uznania i zasad. Oto one: tempo i tematy nadają dzieci, jako nauczyciel daję im tylko prace indywidualne, a potem je analizuję. Dzieci otrzymują kolejne wyzwania, dostosowane do ich umiejętności. Następnie dziecko tłumaczy innym, jak rozwiązał dane zadanie, cała grupa dyskutuje. Jeśli jakieś dziecko nie jest w stanie czegoś rozwiązać, to zlecam dokładnie to samo zadanie jego najlepszemu koledze. On je wykonuje i potem szybko uczy przyjaciela w trakcie mimowolnej dyskusji.

Niezwykle ważne jest środowisko, w którym dzieci czują się dobrze, zostaną docenione i to one będą decydowały o tempie nauki. Efekty są natychmiastowe: w liceum przygotowuje się uczniów do matury z informatyki i jednym z obszarów jest algorytmika. Kiedy zadania z tej dziedziny pojawiają się na egzaminie, to kilka procent dzieci z całej Polski je rozwiązuje. U mnie w szkole rozwiązują je gdzieś w okolicy stycznia w pierwszej klasie. A dlaczego? Bo nie wiedzą, że to trudne zadanie maturalne. Jakbym im o tym powiedział, to zaczęliby się stresować, obawiać się trudności.

W jaki sposób dzieci mogą trafić do pańskiej grupy?
– Uczniowie zapisują się do klasy politechnicznej i albo cała klasa od razu chodzi do mnie na lekcje, albo po drugim roku jest dzielona na pół i zostają ze mną ci, którzy chcą przygotowywać się do olimpiady informatycznej. Uczę

eprasa.pl 4d6b712057

ich przez 3 lata, choć wolałbym siedem, ponieważ dopiero w siódmym roku pracy osiąga się najwyższy poziom. Tak było w przypadku Filipa Wolskiego, czyli czterokrotnego złotego medalisty olimpiady informatycznej, który największe sukcesy zaczął osiągać na pierwszym roku studiów, po sześciu latach pracy ze mną.

Filip był niezwykle ambitny. Na jednej z pierwszych lekcji powiedział mi, że chce być najlepszym informatykiem w Polsce i pobić rekord innego olimpijczyka, który miał na koncie trzy medale. Siedział w szkole do godziny 19, ponieważ nie miał w domu komputera. I proszę: został najlepszym informatykiem w kraju.

I jak pan z nim pracował?
– Tak samo, jak z innymi: dostawał zadania, omawiał je z kolegami, rozmawiał ze mną o kolejnych i poprzednich krokach. Kiedy pojechał do USA na obóz organizowany przez międzynarodową olimpiadę informatyczną, łączył się z naszą anglistką, mówił jej po angielsku, ta nie za wiele rozumiała i przypuszczała, że nie zda matury, ponieważ nie przerobił ćwiczeń. Zdał najlepiej w szkole.

No a co z lekturami?
– Ano właśnie. Lektury są mankamentem polskiej edukacji. W czasach socjalistycznych zmuszano dzieci do czytania w całości polskiego kanonu i nauki historii Polski z jednego powodu: kiedy tak „szeroko" wykształcony człowiek wyjechałby za granicę, czułby się tam źle, ponieważ w Berlinie, Londynie czy Nowym Jorku nikt nie zna naszych pisarzy. Tam nikt nie zajmuje się polskimi sprawami. Mamy naprawdę świetnych pisarzy, ale zmuszanie dzieci do głębokiego studiowania literatury przez kilkanaście lat nie jest patriotyzmem, jak starali nam się wmówić rządzący w poprzednim systemie, tylko zamknięciem na inne dziedziny i doświadczenia.

Czyli wyrzuciłby pan ze szkoły język polski?
– Nie. Najważniejszy jest rozwój dzieci. Powinno więc wybierać trzy przedmioty, które je najbardziej interesują i uczyć się wyłącznie ich.

Młody człowiek musi mieć jednak ogólne pojęcie o literaturze, historii czy biologii, ponieważ ta wiedza przyda się w przyszłości, choćby żeby rozumieć różne konteksty czy problemy bez konieczności guglania.
– Proponuję inną perspektywę: zawód, który wykonuje w przyszłości dzisiejszy młody człowiek, jeszcze nie istnieje. Kiedyś ludzi jeździli furmankami i powozami, więc wszystkim zależało na kształceniu furmanów, masztalerzy i tak dalej. Ale po latach pojawiły się samochody i właściwie kształcenie furmanów oraz masztalerzy nie miało większego sensu. Dzisiaj jest podobnie: dzieci mają się w szkole rozwijać, a nie obciążać informacjami, które im się do niczego nie przydadzą. To tak, jakby furmana posadzić za kierownicą samochodu. Ten człowiek zacznie pytać: a gdzie koń? A gdzie bat?

Zadam to pytanie inaczej: jako nastolatek nie lubiłem lekcji biologii, ciągnęło mnie do historii, książek, polityki, dyskusji o społeczeństwie. W jaki sposób zaprojektowałby pan moją edukację w liceum?
– Dokładnie w taki sam sposób: sugerowałbym panu czytanie powieści, pisanie dłuższych form, spotkania z ludźmi i zajęcie się tym, co pana interesuje i poszerza horyzonty.

A gdyby mi się odmieniło?
– To szkoła powinna panu na to pozwolić. Bardzo łatwo się dostosować do nowych okoliczności, jeśli nie obciążyło się mózgu zbędnymi danymi.

O niektórych dzieciach mówi się, że nie mają zdolności do tych czy innych przedmiotów. Albo w ogóle do nauki.
– To są bzdury. Wielokrotnie przychodziły do mnie psycholożki, które mówiły, że jakieś dziecko się kompletnie do niczego nie nadaje. Bo przeszkadza na lekcjach, nie jest w stanie się skupić, rozwala klasę. Biorę je do siebie i po jakimś czasie wchodzi do finału olimpiady. Albo taki przykład: jedno z zadań dotyczy młodej pary, które pokłóciło się na weselu. Dzieci dostają za zadanie równy podział prezentów. A jedno pyta: ale dlaczego na dwie części? I wtedy spokojnie odpowiadam, że małżeństwo to związek dwóch osób, dlatego trzeba podzielić prezenty właśnie w ten sposób. W „zwyczajnej" klasie za takie pytanie dziecko zostałoby wyśmiane i inne dostałyby lekcję, żeby takich pytań nie zadawać, a u mnie każde pytanie ma sens, jeśli pozwoli uczniowi zrobić kolejny krok i potraktować je poważnie.

A czy ma pan dzieci, które chodzą na pańskie zajęcia wbrew rodzicom?
– Całkiem sporo, ponieważ rodzice przeważnie uważają, że metoda nauki ich dziadków nadal świetnie się sprawdza. Myślą, że najpierw trzeba mieć ze wszystkich przedmiotów szóstki, a dopiero potem się zobaczy, co ich interesuje.

Trochę mi się nie chce wierzyć, że może pan to wszystko robić w publicznej szkole. Kuratorium oświaty nie ma uwag?
– Nie, ponieważ realizuję własny program nauki. To zamyka dyskusję.

A jaką ma pan zdawalność matur z informatyki?
– 100 procent.

Serio?
– No tak. Ci, którzy są w trzecim etapie olimpiady informatycznej, mają z biegu 100 procent. Reszta podchodzi do matury i ją zdaje bez problemu.

Wróćmy do pańskich uczniów, którzy odnieśli międzynarodowe sukcesy. Dwóch z nich pracuje dla OpenAI, firmy, która stworzyła słynnego ChataGPT, czyli wdraża rozwiązania sztucznej inteligencji. Jacy to byli uczniowie?
– Bardzo dobrzy, choć Kubę Pachockiego próbowano wyrzucić z poprzedniej szkoły, ponieważ nudził się na lekcjach matematyki i czytał „Harry'ego Pottera" w oryginale, zamiast chodzić na angielski, który był na pierwszej lekcji. Anglistka wprowadziła dziwną zasadę: Pachocki dostaje szansę na odpowiedź, jeśli nie spóźni się pięć razy z rzędu. Pięć spóźnień skutkowało jedynką. No cóż, nigdy nie miał okazji pochwalić się swoimi zdolnościami językowymi. Zaskoczyło mnie jednak coś innego: w szkole co trzy miesiące organizowano testy ze wszystkich przedmiotów i Pachocki wypadał w nich wyśmienicie. A mimo to chcieli się go pozbyć ze szkoły.

Może chodziło o dyscyplinę?
– Tak musiało być. Dziecku można dać szansę, dopiero gdy zacznie działać zgodnie z zasadami. Przyszła do mnie matematyczka Pachockiego i przekazała mi, że grozi mu ocena niedostateczna na koniec semestru. Pokazałem jej zadanie, które tego samego dnia rozwiązał dla mnie nasz wspólny uczeń. „Nic z tego nie rozumiem, co to jest?". „Widzi pani, to panią odróżnia od Pachockiego: on potrafi rozwiązać to zadanie". „No to mogę dać mu trójkę". Filip Wolski był z kolei ostatni na liście przyjętych, a jego wychowawczyni stwierdziła, że był niezwykle słabym uczniem.

Czy miał pan ucznia, który sobie nie poradził?
– Takie dzieci zmieniają grupę.

Z jakich powodów?
– Bo koledzy im za bardzo dokuczali lub rodzicom nie spodobało się, że mają za dużo wolności w szkole.

Jeśli zostałby pan ministrem edukacji...
– Ale nim nie zostanę.

Ale na potrzeby tej rozmowy załóżmy, że nim pan zostaje. W jaki sposób zreformowałby polską szkołę?
– Na wzór mojej metody: uczeń wybierałby trzy przedmioty...

Ale wtedy góra 10 procent dzieci uczyłoby się matematyki, panie profesorze?!
– I co by się stało?

Kraj by upadł.
– Zwolennicy matematyki mi się bardzo podobają, ponieważ wprowadzają największe zamieszanie. Uważają, że jeśli ktoś nie zna „królowej nauk", to nie rozumie świata. Nie ma czegoś takiego jak „królowa nauk", są tylko wyzwania, jakie stawia przed dziećmi nauka.

Prof. Szubartowski: Rodzice przeważnie uważają, że metoda nauki ich dziadków nadal świetnie się sprawdza. Myślą, że najpierw trzeba mieć ze wszystkich przedmiotów szóstki, a dopiero potem się zobaczy, co ich interesuje

No ale przyzna pan, że datę bitwy pod Grunwaldem to trzeba znać.
– Wątpię. Zacznijmy od początku. Czy zna pan kogoś, kto nauczył inną osobę chodzić?

Zdania są podzielone.
– Wiem, są Chińczycy, którzy próbowali nauczyć chodzić inwalidów. Tak naprawdę nikt tego nie potrafi nauczyć. Dlaczego?

Bo jest związane z ciałem?
– Nie, ponieważ wymaga pracy twórczej. Niemowlak najpierw macha rączkami, potem coś mu podpowiada, że powinien stać na nogach. Pierwsze próby są nieudane, więc łazi na czworaka i wzmacnia kręgosłup. A kiedy ten stanie się mocny? Kto to stwierdzi? Samo dziecko, ponieważ w pewnym momencie odkryje, że już go nie boli, więc może chodzić.

I tak samo jest z nauką?
– Dokładnie tak. Praca twórcza ma więc dwa etapy: indywidualny i emocjonalny. Najpierw analizujemy, rozwiązujemy zadania, co nie może trwać dłużej niż 55 minut. Po tym czasie mózg przestaje przyswajać wiedzę. W tym momencie pojawia się miejsce dla pracy emocjonalnej, kiedy przełączamy mózg na podświadome emocje, nasz układ nerwowy „mieli" zdobytą wiedzę. W tym czasie moi uczniowie często doznają olśnienia, nagle w autobusie czy na spacerze wpadają na rozwiązanie jakiegoś problemu. I jeśli przez 21 dni działa się w ten sposób, to możemy mówić o pracy twórczej.

A dlaczego jest pan sam? Dlaczego nie szkoli pan innych nauczycieli?
– Proszę pana, mam 73 lata, zawsze traktowano mnie w szkołach z przymrużeniem oka. W jednym gimnazjum, w którym pracowałem, chcieli dla przykładu wyrzucić całą klasę, ponieważ miała fatalne wyniki, źle się zachowywała, były z nią same problemy. Zgłosiłem się i postanowiłem zostać ich wychowawcą. No i co się stało?

Uspokoili się?
– Na koniec szkoły klasa miała 21 finalistów olimpiad, a trzy dziewczyny po latach zostały lekarkami.

Ale mi chodzi o system.
– Który jest fatalny, zgadzam się. W polskiej szkole realizuje się program i dba głównie o to, żeby różnica między najsłabszym i najzdolniejszym uczniem była jak najmniejsza. I wszystko się uśrednia. Natomiast ja stawiam na to, żeby dziecko rozwijało się i pracowało we własnym tempie.

Pańscy uczniowie, jak już powiedzieliśmy, pracują dla OpenAI. Boi się pan technologii, którą oni wypuścili na szerokie wody?
– W ogóle.

Ale wiele osób straci pracę.
– Wróćmy do furmanki. Pojawienie się samochodów wystraszyło furmanów, bali się, że kierowcy zabiorą im pracę. I tak się faktycznie stało. Wiele wykonywanych dzisiaj przez nas czynności uda się zautomatyzować, a w wolnym czasie będziemy robić inne, ciekawsze rzeczy. I pojawią się nieistniejące dzisiaj zawody.

Powiedział mi pan, że nie uda się stworzyć maszyny uczącej ludzi. Ale właśnie to obserwujemy: aplikacje uczą języków, Chat GPT często pomaga pisać prace naukowe.
– Ale nigdy nie zastąpią ludzi, ponieważ maszyna nigdy nie dotrze do naszej podświadomości. Mam nadzieję, że rozwiązania AI zostaną szybko wprowadzone i edukacja dzięki temu będzie się rozwijała.

Czy jest pan na bieżąco z platformami społecznościowymi?
– Nie.

Jak to? Przecież to ważna część życia pańskich uczniów.
– Nie, ponieważ każda krótka forma, szczególnie TikTok, zaśmieca umysł. Nasza podświadomość ceni uporządkowane informacje, a nie niezweryfikowane plotki przekazywane za pomocą tych aplikacji.

Ale przecież to wspiera też rozwój AI.
– Cóż, pojawienie się samochodu też nie poprawiło bezpieczeństwo ludzi na ulicach, a nikt nie apeluje o powrót furmanek. Każdy etap postępu technologicznego oznacza jedno: musimy się do niego dostosować, a nie bezmyślnie wszystko przyjmować. Inaczej staniemy się jego ofiarami.

To jeszcze wrócę do systemu edukacji: skoro ponad 200 pańskich uczniów przez te wszystkie lata wzięło udział w olimpiadach, część z nich odnosi spore sukcesy międzynarodowe, opracował pan ciekawą metodę, to dlaczego politycy nie chcą – choćby na próbę – wprowadzić podobnych zasad przynajmniej w paru szkołach, nazwijmy je eksperymentalnymi?
– Były takie propozycje z mojej strony, ale zostały szybko odrzucone.

Przez kogo?
– Przez decydentów.

Może bali się, że nauczyciele będą musieli spędzać sporo czasu z uczniami?
– Nie wiem. Najczęściej wychodzę do szkoły rano i wracam około godziny 18. Jestem po lekcjach i pomiędzy nimi dostępny dla uczniów, mamy też zajęcia w soboty, na co się wszyscy zgadzają. Sobotnie koło naukowe ćwiczy pracę na czas, co potem świetnie sprawdza się na olimpiadach.

I gdzie czas na życie?
– Zawsze znajdowałem czas na spacery na plaży, choć teraz opiekuję się moją chorą żoną, więc ograniczyłem wizyty na brzegu morza. Spacer to przede wszystkim trening dla nerek, dotlenienie mózgu, to dobre samopoczucie, przyjemny zapach i spokój. ●

eprasa.pl 4d6b712057

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAKIET wyborcza.pl + tokfm

w ofercie benefitu dla Twojej firmy

Subskrypcja Wyborcza + TOK FM to narzędzie pracy, które

POMAGA PRACOWNIKOM PODEJMOWAĆ LEPSZE DECYZJE I ROZWIJAĆ KOMPETENCJE

dzięki rzetelnym informacjom, analizom ekspertów i dostępowi do wiarygodnych źródeł każdego dnia.

Skontaktuj się z nami:

pomoc@wyborcza.pl

tel. (+48) 22 555 54 55, (+48) 519 255 455

Podaj kod GW2025 i odbierz 30% rabatu

CZYTAJ LUB SŁUCHAJ. TAK, JAK LUBISZ.

APLIKACJA SERWIS AUDIO

eprasa.pl 4d6b712057

DZIEDZICTWO

Ja mam teraz 29 lat. Moja mama miała niewiele po czterdziestkce, gdy się zaczęło.

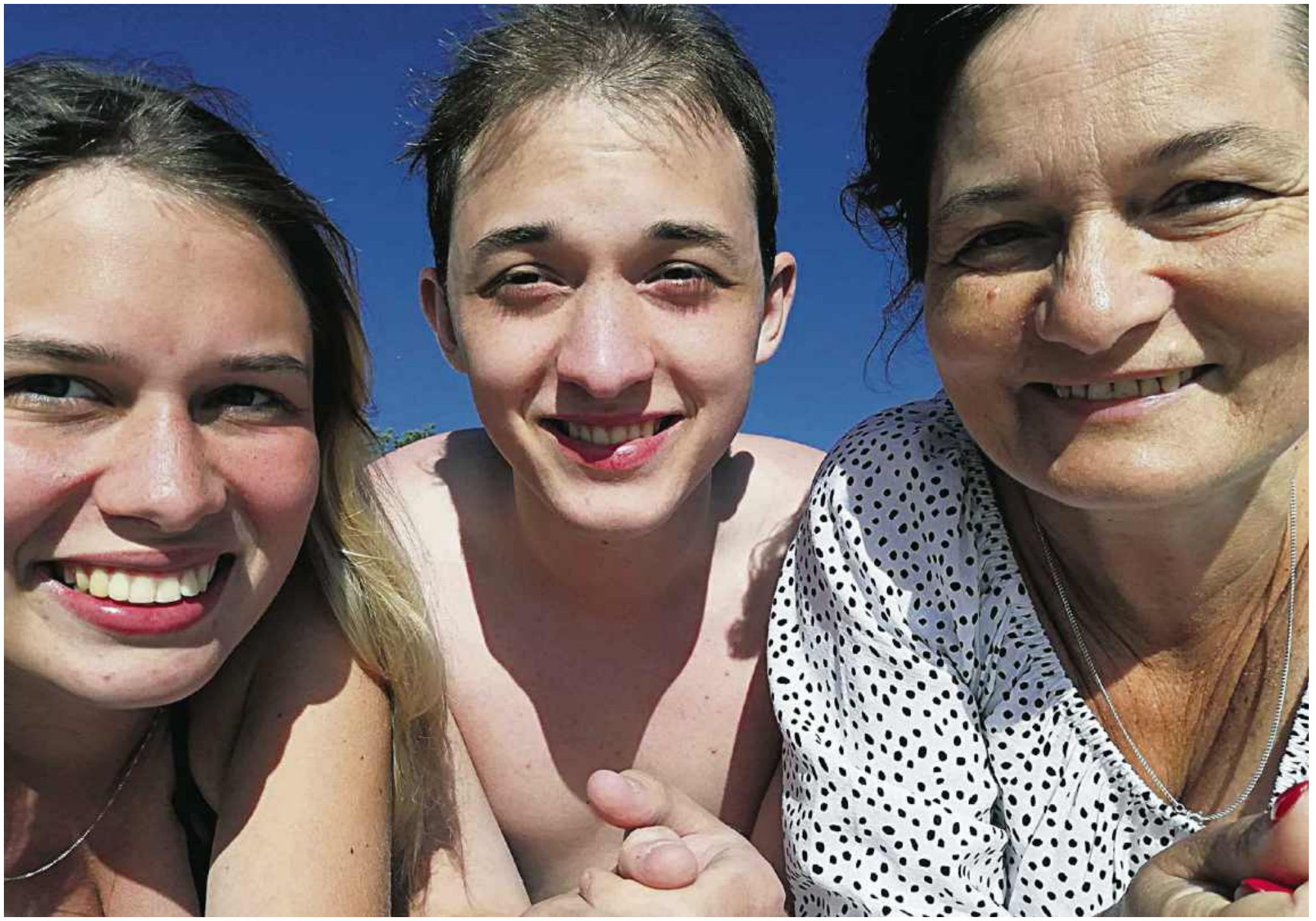

• **Jagoda Libera z mamą i bratem, 2018 rok** FOT. ARCHIWUM PRYWATNE(2)

Z **JAGODĄ LIBERĄ**
ROZMAWIA **IWONA GÖRKE**

Twój dziadek miał alzheimera. Twoja mama i ciocia mają alzheimera o wczesnym początku – ciocia pierwsze objawy miała jeszcze przed czterdziestką, mama niewiele po niej. Wujek również go miał. Ty i twój brat macie gen, który powoduje tę chorobę. Jak z tym żyć?
– Choroba nie definiuje mojego życia. Stała się w nim bardziej obecna, gdy zachorowała mama, choroby dziadka nie pamiętam dobrze, choć odwiedzaliśmy go i babcię, która się nim opiekowała.

Myślałaś, że mama też będzie chora?
– Mama powtarzała często, że chory był jej tata, więc i ona będzie. Mówiliśmy jej wtedy, że przecież to nie oznacza, że ona też zachoruje. Nie wiedzieliśmy o możliwości odziedziczenia tej choroby, lekarze nie mówili: macie w rodzinie alzheimera, powinniście być bardziej uważni, obserwujcie się i badajcie.

Nie pomyśleliśmy, że to, co dzieje się z mamą, to pierwsze objawy choroby.

Myśleliście, że co to jest?
– Zmęczenie i przepracowanie, przez które można zapomnieć na przykład, gdzie położyło się klucze. Ostatnio szukałam kluczy w całym mieszkaniu. Wtedy, jakby na żarty, zastanawiałam się, czy to już moje pierwsze objawy.

Chyba każdy z nas kiedyś zapomniał, gdzie położył klucze.
– Dlatego nie wpadliśmy na to, że to alzheimer. Nie pomyśleliśmy: mama musi iść do lekarza. Zresztą nawet wtedy, gdy poszliśmy, lekarz radził wyspanie się i zadbanie o siebie. Przez to byliśmy mniej uważni na to, co się z nią działo.

Załatwić, ogarnąć, nie pokazywać łez

Masz żal do lekarzy?
– Tak, o to, że mówili o rzeczach, na których się nie znali. Mogli powiedzieć: „Nie wiemy, nie znamy się na tej chorobie, szukajcie kogoś, kto będzie mógł wam pomóc”.

Pamiętasz moment, kiedy z rodzeństwem zaczęliście myśleć, że to nie jest zmęczenie, tylko coś poważniejszego?
– Mama bardzo dobrze zatajała przed nami dużo różnych rzeczy. Tak przedstawiała nam wydarzenia, byśmy się nie niepokoili.

Przykład: mama jest w domu, ma wolne, a nagle dzwoni telefon – każą jej przyjść do pracy, do szpitala, bo była pielęgniarką. Mówiła nam, że ktoś nie przyszedł na swoją zmianę, więc ona musi iść. Tymczasem to ona zapomniała o swojej.

O tym, że robi się poważnie, dowiedzieliśmy się od jej oddziałowej. Wezwała nas na rozmowę. Powiedziała nam, że mama ma objawy alzheimera, i trzeba zacząć ją leczyć.

To był szok?
– Oczywiście! Po pierwsze, dowiedzieliśmy się o tym od obcej osoby. Po drugie, alzheimer o wczesnym początku już zaatakował.

Mama, nie mówiąc wam prawdy, próbowała was chronić czy się raczej wstydziła?
– Sądzę, że chciała nas chronić, ale i jej samej było ciężko pogodzić się z chorobą. Nawet wtedy, gdy już nie pracowała i chodziliśmy po lekarzach, cały czas twierdziła, że nie jest chora. Miała momenty załamania, gdy uświadamiała sobie swój stan – płakała. Tym bardziej że widziała, jak chorował jej tata.

Jak wyglądała wasza rzeczywistość po tym, gdy dowiedzieliście się o alzheimerze mamy?
– Miałam wtedy 19 lat. Na samym początku mama funkcjonowała samodzielnie i nie musieliśmy ograniczać swojego życia do opieki nad nią. Ale były takie rzeczy, które musiałam zmienić.

Wróciłam z Katowic, gdzie studiowałam pedagogikę specjalną, do domu, do Rybnika. Dojeżdżałam na zajęcia, zatrudniłam się w przedszkolu integracyjnym, bo musiałam zacząć chodzić do pracy, żeby nam starczało na wszystkie opłaty. Staraliśmy się o rentę, ale

eprasa.pl 4d6b712057

to trwało, no i sama renta nie była wysoka. Mama miała dwie prace – jedną na umowę o pracę, drugą na zlecenie, więc to jej się do renty nie wliczało.

Mój brat był wtedy niepełnoletni, miałam poczucie, że mam go pod swoją opieką, że w sumie to muszę go wychować. Tata nie mieszkał z nami, rodzice się nie dogadywali.

Oddziałowa, która powiedziała nam o mamie, poradziła, żeby iść do pewnej konkretnej pani doktor. Ona pomogła nam z pierwszymi podstawowymi rzeczami – wypisała jakieś papiery do renty poświadczające o tym, że mama już nie może pracować, receptę na antydepresanty, bardzo nam pomogła, tak za darmo. Ale mamy nie leczyła.

Czułaś się zagubiona?
– Nie wiedziałam, co mam robić, do jakiego lekarza iść, co i jak mam załatwić. Szukałam w internecie – na próżno. A tu się okazało, że trzeba do neurologa, na badania, po leki na otępienie. Zaczął się rajd po lekarzach.

Trzeba było załatwić pełnomocnictwo dotyczące spraw medycznych.

Musiałaś wejść w tryb zadaniowy: trzeba się dowiedzieć, załatwić. Zastanawiam się nad tym, czy w ogóle miałaś przestrzeń w sobie na to, by przeżyć tę sytuację?
– Miałam w sobie dużo emocji, ale one pewnie nie były widoczne, bo przeżywałam je w ukryciu – w samochodzie, w łóżku. Było wiele łez. Nie okazywałam emocji przy mamie, ona to za bardzo przeżywała. Nie chciała rozmawiać, płakała. Na zewnątrz musiałam być silna – dla brata i mamy.

Domówka z mamą z alzheimerem

W wieku, gdy ty opiekowałaś się mamą, wiele osób doświadcza beztroski, wyjeżdża na studia, wyprowadza się od rodziców. Tobie to nie było dane.
– Nie mogę powiedzieć, że niczego nie doświadczyłam, bo na początku choroby mamy była na to przestrzeń. Ale ona szybko się skończyła. Pamiętam, jak moje koleżanki szukały ze swoimi partnerami wakacji last minute. Ja nie mogłam jechać, musiałam zająć się mamą. To były trudne momenty.

Tak samo jak to, że nie mogłam w pełni studiować, miałam indywidualną organizację studiów. Wiele osób nie rozumiało, dlaczego nie jestem obecna na wszystkich zajęciach, skoro moja mama jest osobą chodzącą. A ja przecież jeszcze pracowałam!

Gdy choruje bliska osoba, to nie tylko opieka nad nią jest codziennością, ale i ogarnianie lekarzy, dokumentów, opłaty. Wtedy nie wiedziałam nawet, jak się płaci rachunki!

A przyjaciele?
– Były i są wokół mnie osoby, które akceptują chorobę mojej mamy. Osoby, które chciały się spotkać ze mną i z moją mamą, w duecie. Albo takie, które chciały przyjechać do mnie na domówkę, pograć w planszówki.

Nie dla wszystkich przebywanie z osobą z alzheimerem jest komfortowe. Mama na przykład chodziła w pampersach albo załatwiała się o tak, jak siedziała, bo zapominała iść do toalety, brudziła się przy jedzeniu i piła z każdej szklanki stojącej na stole. Znaleźli się jednak ludzie, którzy to akceptowali. Zapraszali na swoje urodziny i mnie, i mamę.

Jak grałam w teatrze Kwestia Kultury Wojtka Wójcika i Klubostyka Moniki Reder, to mogłam wziąć ją na próbę. Grałam, a mama była obok, chodziła sobie po scenie albo ktoś ją zagadywał i coś z nią robił.

Gdy miałam jakieś 24 lata, zaczęłam doświadczać i myśleć, że z moją chorą mamą mogę mieć w miarę normalne życie. Dotarło to do mnie, gdy napisałam mojemu trenerowi Jarosławowi Szlachcie, że nie mogę przyjść na trening, bo muszę zostać z mamą. Opowiedział: „Weź mamę". Ja na to: „Poważnie? Mogę?".

Boję się, że będę samotna w czasie choroby, że dużo ludzi zniknie, tak jak znikali z życia mojej mamy

I pojechałaś z mamą na trening?
– Tak, ona ćwiczyła coś swojego i próbowała naśladować. Gdy już nie była w stanie trenować, nawet po swojemu, to po prostu zabierałam ją ze sobą. Przekonałam się, że nie muszę szukać dla niej opieki, by wyjść z domu.

Ale byli i tacy, dla których jej obecność była po prostu trudna.

Krąg znajomych ci się uszczuplił?
– Zdecydowanie.

Może nie powinnam o tym mówić, ale to nie jest jakaś wielka tragedia. Chociaż wtedy, gdy to się działo, była – w wielu momentach czułam się samotna.

Z perspektywy czasu widzę, że mam przy sobie ludzi, których mam mieć, takich, na których mogę liczyć, przyjaciół z krwi i kości. Nie żałuję, że tamci poznikali.

Nie można odpuszczać chorej mamie

Alzheimer kojarzy się z zapominaniem. Ale przecież to nie tylko to – chorzy mają problemy z mową, odczuwają dezorientację, ich zachowanie się zmienia, są apatyczni, niektórzy agresywni, wpadają w depresję. Co zrobiliście, by sprawność mamy zachować jak najdłużej, żeby opóźnić nasilenie się choroby?
– Na początku nie byliśmy świadomi, że można cokolwiek robić. Mniej więcej rok po rozmowie z oddziałową, gdy udało się załatwić dokumenty potwierdzające chorobę mamy i rentę, dowiedzieliśmy się od niej o dziennej terapii zajęciowej na oddziale psychiatrycznym.

Początkowo jej pobyt tam – od poniedziałku do piątku w godzinach od 9 do 13 – traktowaliśmy jak chwilę dla nas. Mieliśmy czas na załatwienie różnych spraw, pouczenie się czy nawet drzemkę. Szybko jednak okazało się, że mamie to pomaga, że lepiej funkcjonuje.

Jeszcze na studiach, na pedagogice specjalnej, uczyłam się pracować z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie.

Miałam 19 czy 20 lat, gdy pojechałam na obóz z takimi osobami. Zobaczyłam, że osoba niepełnosprawna intelektualnie może się załatwić podczas spania, mieć biegunkę i nieczystości mogą znaleźć się nawet w jej włosach, że trzeba ją umyć czy pomóc z higieną podczas miesiączki. Widziałam picie z każdej szklanki i lizanie wszystkich palców podczas robienia kanapek. Przez pierwsze dni wzbraniałam się przed jedzeniem ich, ale przełamałam się, doszłam do wniosku, że jesteśmy w namiotach, nie ma jak pójść do sklepu, a jeść trzeba. Pomyślałam: będzie, co ma być.

Na tym obozie i podczas praktyk widziałam, jak aktywność pomaga tym ludziom. Mamie to też służyło. Zaczęliśmy ćwiczyć w domu. Graliśmy w gry planszowe i karty nawet wtedy, gdy już trudno było jej ogarnąć zasady.

To co dawała taka gra?
– Poprawę motoryki i w ogóle taką świadomość, że ma karty w ręce.

Na filmiku w internecie widziałam, że tańczyłyście.
– Mama bardzo lubiła tańczyć, dawała wtedy upust emocjom. Taniec był sposobem na odzyskanie energii, radości i humoru, gdy miała słabszy dzień albo sobie z czymś nie radziła.

Udało nam się załatwić dziewczynę, która przychodziła do nas raz w tygodniu, by jej poczytać. Lubiła to.

Jak było to jeszcze możliwe – dużo rozmawialiśmy.

Co ważne, nie robiliśmy rzeczy za mamę. Mieliśmy dużo cierpliwości. Mówiliśmy: sama wybierz sobie bluzkę. To bardzo dobrze działa na mózg – myślenie, zastanawianie się i podejmowanie decyzji.

W tym samym czasie co u mojej mamy pojawiły się symptomy choroby u jej brata. On miał trochę inną opiekę, więcej robiono za niego. Myślę, że przez to, że my nie odpuszczaliśmy, mama była osobą chodzącą przez siedem lat, wujek – przez trzy.

Mam nadzieję, że mama nie jest świadoma

Teraz twoja mama jest osobą leżącą?
– Tak, od trzech lat.

Rozumie was?
– Nie, tego nie wiemy. I chyba nigdy się nie dowiemy.

Kiedy studiowałam, mój dziadek zachorował na alzheimera. Odwiedzałam go raz na jakiś czas, ale zawsze mnie rozpoznawał, a swojego syna, którego widział codziennie, nazywał kucharzem.
– Mama powiedziała kiedyś, że nie ma córki Jagody. To było trudne, bo byłam z nią cały czas.

Dziadek, gdy był w takim stanie, w jakim jest teraz mama, wykazywał jakieś reakcje. Czasami pojawiały się u niego łzy, czasami wydawał jakieś dźwięki, próbował rozmawiać.

U mamy tego nie ma. Nie ma z nią kontaktu wzrokowego. Uśmiecha się tylko wtedy, gdy jesteśmy u niej większą grupą i się śmiejemy, bo coś na przykład sobie opowiadamy. Mama też się uśmiechnie, ale trudno powiedzieć, by się z nami łączyła, nie wiemy, czy jest świadoma. Mam nadzieję, że nie jest. Życzę jej tego, bo ta choroba jest taka trudna.

Kiedy podjęłaś decyzję, że chcesz się zbadać, zobaczyć, czy masz gen, który sprawi, że zachorujesz?
– Podjęłam ją nie tyle dla siebie, ile dla mojej cioci Moniki, młodszej siostry mojej mamy. Miała 38 lat, gdy zaczęliśmy zauważać u niej te same rzeczy, które miała moja mama i wu-

eprasa.pl 4d6b712057

jek na samym początku choroby. Zdecydowaliśmy: czas iść do lekarza. Usłyszała to, co moja mama – proszę odpocząć, wyspać się. I jeszcze, bo ciocia ma pięcioro dzieci, by zrobiła sobie weekend bez nich.

Wkurzyło mnie to. No bo przecież tata cioci i dwoje rodzeństwa mają alzheimera, a oni powiedzieli jej, by się wyspała?!

Co było dalej?
– Okazało się, że można zrobić badania genetyczne. Powinniśmy sprawdzić cztery geny co najmniej u sześciu osób – cioci, mnie i mojego rodzeństwa oraz dzieci wujka, pomyśleliśmy, że i oni chcieliby się przebadać. A w przyszłości kolejne pięć osób, dzieci Moniki.

Zsumowaliśmy to. Wyszły ogromne pieniądze. Uznaliśmy, że wolimy je wydać na leczenie, jak się okaże, że jesteśmy chorzy.

Widzisz, gdy o tym mówię, to mnie teraz uderzyło, że my jakoś tak wewnętrznie wiedzieliśmy, że mamy ten gen. Gdy mama była jeszcze chodząca, to mówiliśmy o konieczności posiadania dobrze płatnej pracy, by nas było stać na leczenie nas samych.

Mieliśmy tę świadomość, ale przy mamie tyle się działo, tyle było pracy, że trudno było myśleć jeszcze o tym. Byłam wtedy okropnie zmęczona. Po pracy wracałam do domu, a tu opieka to ciężka praca, nie miałam możliwości odpoczynku, nie przesypiałam całych nocy, bo i mama nie spała – budziła nas.

A gdy zaczęłam pracować w domu, udzielałam korepetycji, byłam z nią całą dobę. W wolnej chwili drzemałam albo szłam na trening, żeby się wyżyć. Nie miałam przestrzeni na zastanawianie się nad tym, czy będę chora.

Marzenie o domu z basenem

Ale w pewnym momencie zaczęłaś o tym myśleć.
– Tak, jak mama już była w szpitalu – chciała do niego iść, gdy będzie z nią już naprawdę źle – a u cioci pojawiły się pierwsze objawy. Trafiliśmy wtedy na pewną dziewczynę, ona nam powiedziała o lekarce, która może nam pomóc. Ta odesłała nas dalej.

Jestem jej wdzięczna za to, że nie uspokajała nas, wysłała nas na badania genetyczne. Wszystkich. Mogliśmy te badania zrobić na NFZ. Po ich wykonaniu zostaliśmy zaproszeni na konsultację do lekarza. Dowiedzieliśmy się wtedy, że mamy gen PSEN1, który sprawi, że będziemy mieć objawy, że zachorujemy.

Dowiedzieliście się, co macie z tą informacją zrobić?
– Nie. Powiedziano nam, że teraz dla nas nic nie można zrobić. Pani doktor powiedziała jeszcze, abyśmy udali się do psychologa.

I już?
– W moim i brata przypadku – tak. Ciocia została bardziej zaopiekowana, bo miała już objawy choroby. Najpierw kazali jej przyjechać na testy poznawcze.

Czułaś złość?
– Złość, ale i smutek, pewną rezygnację. Miałam w sobie tyle emocji, że trudno mi powiedzieć, której było najwięcej. One się przeplatały.

Jak to sobie poukładałaś w głowie? Tę świadomość, że zachorujesz? To zmieniło twoje plany na przyszłość?
– Siedziałam w samochodzie. I nagle do mnie dotarło, że przede mną jedynie dziesięć wakacji. W sumie to dziewięć, bo wtedy nigdzie nie wyjeżdżałam. A ja tak bardzo chciałam poznawać świat!

Jazda do domu trwała tylko 15 minut, ale w tym czasie działo się we mnie dużo. Myślałam nie tylko o wakacjach, ale i o tym, że nigdy nie zostanę matką. Bo jak?

To marzenie, z którego musisz zrezygnować?
– Tego jeszcze nie wiem, bo to, co robimy, żeby opóźnić przyjście objawów, daje pewną nadzieję na dłuższą sprawność. A może za dwa czy trzy lata będę miała leczenie? Wtedy będę mogła podejmować decyzje. Wiem, że nie zdecydowałabym się na naturalne zapłodnienie, bo nie chcę, by moje dzieci były chore i musiały przechodzić przez to, co ja, zajmować się mną. Ale medycyna idzie do przodu, można zdecydować się na zapłodnienie in vitro, by przekonać się, czy moje dzieci też byłyby chore.

Ale tak sobie myślę też, że moją potrzebę bycia mamą mogę spełniać na różne sposoby. Na przykład, jeżeli będę miała leczenie, adoptując starsze dziecko czy po prostu być mamą wszystkich moich dzieciaczków, które wychowuję i wspieram rozwojowo w pracy.

Inne marzenia?
– Bardzo lubię wodę, więc kiedyś chciałam mieć dom z jacuzzi i basenem, w którym pływałabym latem. Teraz ten dom nie jest potrzebny. Mogę mieszkać w wynajmowanym mieszkaniu.

Kiedyś goniłam za rzeczami, teraz ich nie potrzebuję, wolę doświadczać, być tu i teraz, a nie myśleć o tym, co będę robiła za rok.

Gdy moja rodzina wybiera się w góry, a ja nie mam siły i najchętniej poszłabym spać, to ostatecznie idę z nimi. Wybieram życie, a nie nieustanne czekanie na koniec roboty, na piątek, na weekend.

Skok z klifu

Choroba zbliżyła rodzinę do siebie?
– Zbliżyła mnie i mojego brata, bo opiekowaliśmy się mamą we dwoje. Początki były bardzo trudne, nie zawsze się zgadzaliśmy – on był w wieku buntowniczym, ja wchodziłam w rolę jego rodzica. Ale zbliżyliśmy się do siebie i nauczyliśmy się rozmawiać.

Z kolei nasza choroba umocniła naszą więź i nauczyła nas wielu rzeczy: mówienia o swoich potrzebach, emocjach, o tym, co przeżywamy, ale także bycia dla siebie takim wsparciem, jakiego faktycznie potrzebuje druga osoba, a nie takim, jakim nam się wydaje, że powinniśmy być. Nauczyliśmy się również robienia wielu rzeczy razem, ale i dawania sobie przestrzeni.

Masz nie tylko gen wywołujący alzheimera, ale i reumatoidalne zapalenie stawów.
– Zdiagnozowano je u mnie, jak miałam kilka lat. Jeździłam po szpitalach, w nich spędzałam większość czasu. Uczyłam się w szpitalnej szkole, w domu. Miałam za to poczucie niesprawiedliwości, bo chciałam żyć jak inne dzieci.

Miałam może takie dwa czy trzy lata spokoju, gdy RZS przestało mi już tak bardzo dokuczać, po czym zachorowała mama. Czułam, że nie mogę sama decydować o moim życiu, bo robi to za mnie los.

A to decydowanie o własnym życiu jest bardzo ważne. Mama mówiła, że jak już będzie z nią naprawdę źle, to chciałaby być w szpitalu. Jest w nim, ale było to dla nas trudne, chociaż szpital jest blisko.

W 2022 roku, w czasie pandemii, nie można było jej odwiedzać. Nie widzieliśmy jej wtedy trzy miesiące. Gdy mogliśmy ją wreszcie zobaczyć, okazało się, że jest w dużo gorszym stanie. Choroba na etapie leżącym bardzo szybko się pogłębia. Najpierw jeszcze mówiła pojedyncze słowa, uśmiechała się, łapała wzrokiem. Taka była, gdy poszła do szpitala. Teraz nie ma z nią kontaktu.

Jak wam było bez mamy w domu?
– Dotychczas wszystko kręciło się wokół niej. Musieliśmy nauczyć się inaczej funkcjonować, wyjść do ludzi, zająć się sobą. Udało nam się wejść w ten tryb takiego normalnego życia, a wkrótce po tym dostaliśmy informację, że jesteśmy chorzy.

Złościłam się, bo znowu to nie ja byłam panią mojego życia. W pewnym momencie stwierdziłam, że przecież mogę decydować, jak je przeżyję.

Jakieś dwa tygodnie później wyjechałam z bratem i tatą do Chorwacji. Oni pracowali, ja im pomagałam, pływałam na łódkach, bo dlaczego nie?

Skakałam z klifów! Odważyłam się. Nie były bardzo wysokie, ale dla mnie były ogromne. Zastanawiałam się, czy skoczyć, gdy w głowie pojawiła się myśl: „Jagoda, możesz nigdy więcej tego nie spróbować".

Zaczęłam robić różne rzeczy, które wcześniej napawały mnie lękiem, albo te, które odkładałam na później. Po Chorwacji poleciałam z koleżankami na Teneryfę, a później z rodziną do Egiptu.

Boję się, że nam się nie uda

Świadomość krótkiego życia, jak mówisz, daje ci determinację i – może niespodziewanie – siłę?
– Tak i powiedziałabym nawet, co może dziwić, że od czasu diagnozy moje życie jest bogatsze i ciekawsze aniżeli wcześniej. Teraz po prostu żyję, a wtedy tak nie było.

Jest coś, czego się boisz?
– Wszystkiego, co jest związane z chorobą, tych momentów, w których będę na tyle zapominać, że nie będę świadoma, że zapominam. Boję się tego, że będę wzbudzała irytację w bliskich osobach, że powiem im coś przykrego, bo przemawiać przeze mnie będzie choroba, a nie ja sama.

Boję się, że będę samotna w czasie choroby, że dużo ludzi zniknie, tak jak znikali z życia mojej mamy. Boję się, że gdy będę leżąca, to będę świadoma. Bardzo bym tego nie chciała.

Ale boję się również, że mój brat zacznie zapominać w młodym wieku, że nie uda nam się tak zadziałać, żeby mógł normalnie żyć.

Czasami boję się, że nam się nie uda.

Wspominałaś o prewencji. Opowiedz o niej.
– Od jednego z lekarzy usłyszałam, że to „pójście na spacer z przyjacielem i książką". Prewencja to sport, kontakty towarzyskie i wysiłek intelektualny.

Z bratem uprawiamy dużo sportu. Kacper biega, niedawno kupił rower, tata też go sobie kupił, żeby jeździć z nim, by nie stracił motywacji.

Ja, gdy lekarz pozwolił mi trenować, stałam się sportową świruską.

Z kolei kontakty z człowiekiem dają możliwość wyrażania swojego zdania i poglądów, argumentowania, to ćwiczy funkcje poznawcze. Tak jak i czytanie książek, które dodatkowo rozwija słownictwo, przypomina słowa, wpływa na ich rozumienie.

Ważne jest wysypianie się, redukowanie napięć i stresu. On wpływa na utratę neuronów, a te po pewnym czasie przestają się odbudowywać.

A! Jeszcze nauka nowych rzeczy – gry na instrumencie, języka czy programowania. Chodzi o to, by nasz mózg był ciągle w trybie nauki. I dobrze jemy, to też ważne.

A leczenie?
– Kacper i ja nie mamy objawów, więc nie ma dla nas leczenia, a eksperymentalnego nie chcą włączyć. Monika jest leczona. Kilka dni temu byliśmy u lekarza, który powiedział nam, że jest w stanie sprowadzać dla niej leki z USA. Musi jeszcze przejść parę badań, ale jest nadzieja na powodzenie.

W dzieciństwie nie miałam łatwo, ale starałam się znajdować pozytywne strony sytuacji, w której się znalazłam – w szpitalach poznawałam nowych ludzi. Gdybym nie szukała pozytywów, tobym chyba oszalała. Ale myślę, że i wiara dała mi dużo. Nauczyła mnie akceptacji tego, co się dzieje, bez skupiania się na trudnościach.

Jestem po prostu optymistką. Nie mogę siedzieć i się zamartwiać.

Dystansu do tego, co się dzieje, nauczył nas także tata.

Mama robiła coś trudnego dla nas, a on zaczynał się z tego śmiać. Byliśmy źli, a on mówił: „To jest zabawna sytuacja", jeszcze ją podkręcał. I my faktycznie zaczynaliśmy się z tej sytuacji śmiać. Nauczyliśmy się nie brać wszystkich spraw na poważnie, nie złościć się, gdy coś się wydarzy, tylko na luzie na przykład posprzątać. To też pozytywnie wpływało na mamę. Nie załamywała się tak, nie myślała ciągle, że jest chora, że jest dla nas obciążeniem.

Do mojej choroby też mam dystans. Ostatnio na tańcach, gdy nie pamiętałam układu, to wypaliłam, że ja mam do tego prawo.

Zmęczenie silniejsze niż miłość

Wcześniej rozmawiałyśmy o znajomych, którzy odeszli, i tych, którzy zostali. Przez chorobę trudniej wchodzi ci się w relacje?
– Gdy dowiedziałam się o chorobie, to myślałam, że nikt nie będzie chciał się ze mną ożenić, nie będę mogła stworzyć rodziny, bo kto będzie chciał opiekować się chorą. Jednak czas pokazał, że wcale tak nie jest. Ludzie mnie dalej lubią, chcą, żebym była obok nich, nie myślą o tym, co będzie za 10 lat. Nie ma się co zamartwiać na zapas.

Często mówisz o tym, że zostało ci mniej więcej 9-10 lat świadomego życia w zdrowiu.
– To była moja pierwsza myśl, bo moja ciocia miała 38, gdy zauważyliśmy u niej pierwsze objawy. Ja mam teraz 29 lat.

Moja mama też miała około czterdziestki, gdy się zaczęło.

Ale wiem, że prowadzę inny tryb życia. Ciocia, nie wiedząc o konieczności zadbania o siebie, mało spała, nie jadła zdrowo, nie uprawiała sportu, żyła w stresie, była przemęczona. Wierzę, że wszystko to, co robię, pomoże mi odsunąć pojawienie się objawów. Może pojawią się nie wtedy, gdy będę miała 40 lat, ale 50? Albo może później, jeżeli dostaniemy leki? ●

> Okazało się, że można zrobić badania genetyczne. Powinniśmy sprawdzić cztery geny co najmniej u sześciu osób – cioci, mnie i mojego rodzeństwa oraz dzieci wujka

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

KULTURA OBYCZAJE

Ja nie mogę się roztrzaskać

eprasa.pl 4d6b712057

Moja natura od zawsze jest wywrotowa i buntownicza, szalona, chcę taka zostać i tak żyć.

Z AKTORKĄ **KATRZYNĄ FIGURĄ**
ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**
ZDJĘCIE **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

• **W „Prezencie" w Teatrze Komedia gra najbardziej żywotną postać spektaklu, choć jest przecież duchem**
FOT. MAREK ZIMAKIEWICZ/TEATR KOMEDIA

Ikona kina, seksbomba, aktorka totalna. Lubi pani swoją legendę?
– Zawsze ją akceptowałam, ale też rozgrywałam, mierzyłam się z nią, odkąd pamiętam. Kiedyś, dawno, bo chyba w latach 90., podczas Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, na przyjęciu, w którym uczestniczyli wszyscy najważniejsi filmowcy – jak się pani domyśla: głównie mężczyźni – od Anny Romantowskiej, wybitnej aktorki, usłyszałam: „Kaśka, to jest niesamowite, oni wszyscy myślą, że ty jesteś głupią blondynką z dużym biustem, nikt ciebie nie zna naprawdę, nikt nie rozpoznaje, a ty jesteś intelektualistką, to jakieś totalne nieporozumienie".

Ja nawet na początku chciałam walczyć z tą moją legendą, ale odpuściłam. No bo jak się z tym szarpać? I po co? Na początku mojej kariery w połowie lat 80. był film i serial „Pierścień i róża" Jerzego Gruzy...

Była tam pani dla mnie najpiękniejszą dziewczyną na świecie.
– Bo tak tę Różę zagrałam, z takim poczuciem, może intencją? Taką dziewczyną chciałam być. Nie było w tym minoderii. Potem był „Pociąg do Hollywood" Radosława Piwowarskiego i od razu „Kingsajz" Juliusza Machulskiego. Te filmy utrwaliły mój wizerunek pięknej dziewczyny, choć w każdym z nich byłam inna, ale zawsze interesująca.

Tomasz Raczek napisał wówczas, że być może to zbyt mocne dla „naszej zakompleksionej publiczności" i że zostanę wrzucona do szuflady z seksbombami. Nadał temu artykułowi dość przewrotny tytuł: „Odwaga zwyciężania". Myślę, że wtedy weszłam w to, choć chyba podświadomie.

Moimi ideałami kobiecości były Sophia Loren, Gina Lollobrigida, Claudia Cardinale, Brigitte Bardot. To były piękne, zmysłowe aktorki, którym nie odbierano jednocześnie talentu i intelektu. Przez całą moją karierę starałam się udowadniać, że pomimo mojej urody mam co ludziom dać, co przekazać – szłam za tą myślą. Poza filmami, które robimy od czasu do czasu, zawsze była dla mnie bardzo ważna scena teatralna.

Widziałam panią teraz w krótkim czasie w dwóch premierowych spektaklach warszawskich teatrów. W „Prezencie" w reżyserii Anety Groszyńskiej w Teatrze Komedia gra pani ducha matki, która ukazuje się znerwicowanej córce, pomaga jej rozwiązać rodzinne problemy, załatać trudną relację z ojcem. We „Wspaniałych horyzontach" Teatru 6. Piętro jest pani Carlą. Kobietą dojrzałą, na pierwszy rzut oka niezbyt mądrą, a jednak podsumowującą rzeczywistość niezwykle celnie.
– Przygotowywałam się do obu tych ról właściwie równocześnie. To było ekscytujące, ucieszyłam się z tych projektów, sprowadziły mnie do Warszawy, choć od lat żyję na Wybrzeżu. Dwie amerykańskie sztuki, teoretycznie komedie, ale z głębią i momentami bardziej dramatycznymi, nie farsy czy bulwar.

W pewnym momencie w tej jednoczesnej pracy nad dwoma rolami poczułam lęk, że moje bohaterki się do siebie upodobnią, i zrozumiałam, że muszę zagrać je zupełnie inaczej. W „Prezencie" gram kobietę martwą, ale spełnioną, we „Wspaniałych horyzontach" mam tylko jedną scenę, ale znaczącą. Carla jest po przejściach, nigdy nie była mężatką, mówi gorzko, że przestała być potrzebna, a zaczęła być dla świata niewidzialna, kiedy się zestarzała. Nie ma w tym goryczy, jedynie świadomość przemijania. I dystans pełen poczucia humoru.

Pani też czuje się niewidzialna dla świata? Trudno mi w to uwierzyć. Publiczność na obu tych spektaklach była panią zahipnotyzowana.
– Dziękuję. Mam świadomość smugi cienia, ale dzięki takim rolom nie jestem niewidzialna. Staram się grać inaczej, na przekór, nie dać się wcisnąć w stereotypy. Carla we „Wspaniałych horyzontach" już nie torpeduje siebie. Zestarzała się, inni przestali ją zauważać, ale ona wreszcie znalazła przestrzeń, żeby zauważyć siebie.

FOT. RENATA PAJCHEL / EAST NEWS, PAP/AFA PIXX/KRZYSZTOF WELLMAN, MAREK ZIMAKIEWICZ/TEATR KOMEDIA

Pytanie: czy są ciekawe role dla kobiet w moim wieku? Tylko proszę, niech pani nie pisze, że Figura czuje się odrzucona. Wszyscy już wiedzą, że jestem dobrą aktorką, nawet ja

Katarzyna Figura

• Laureatka Orła za rolę w „Żurku", dwóch gdyńskich Złotych Lwów za role w filmach „Ubu król" i „Ajlawju", trzech Złotych Kaczek, a za wybitne osiągnięcia teatralne uhonorowana Nagrodą im. Ireny Solskiej. Znana także z filmów: „Pierścień i róża", „Pociąg do Hollywood", „Kingsajz", „Kiler" i „Kiler-ów 2-óch", „Zemsta". W Hollywood wystąpiła m.in. u Roberta Altmana w filmach „Gracz" i „Prêt-à-porter", grała również główne role w kinie włoskim i hiszpańskim. Na koncie ma ponad 100 ról filmowych i blisko 50 teatralnych.

Ja chyba mam i podobnie, i niepodobnie. Na różnych etapach życie dało mi w kość, osłabiało mnie, pewnie chciałam być „normalniejsza". Ale moja natura od zawsze jest wywrotowa i buntownicza, szalona, chcę taka zostać i tak żyć. Być może niebawem znów wynajdę siebie na nowo? Kto wie? Moje dzieci są już dorosłe, mam czas na produktywną samotność, mogę być sama dla siebie. Zresztą człowiek zawsze jest sam, samotny, nawet kiedy otacza go tłum ludzi. Ja właściwie najlepiej czuję się w ciszy. To także dobra strategia życiowa.

Mam wrażenie, że pani od początku kariery wciąż wynajduje siebie na nowo. Kiedy w Polsce przyklejono pani łatkę seksbomby, wyjechała pani do Hollywood, po powrocie grała role nieoczywiste, jakby w ramach buntu, bawiła się pani swoim wizerunkiem w „Kilerach", zaskakiwała w „Summer Love" czy w „Żurku".
– Zawsze miałam taki cel. W spektaklu „Persona. Marilyn" Krystiana Lupy jako Paula Strasberg mówię do Marilyn wspaniale granej przez Sandrę Korzeniak: „Zdziwienie jest potrzebne". Chodzi o to, że rolą trzeba świat zadziwić.

Chciałabym nieustannie zaskakiwać publiczność, ale przede wszystkim siebie. To jest taka satysfakcja! I po 40 latach pracy scenicznej także i pewien wyczyn. W spektaklu „Alina na zachód" Pawła Miśkiewicza i w filmie „Summer Love" Piotra Uklańskiego miałam łysą czaszkę, te dwie propozycje trafiły do mnie w tym samym czasie. Zdecydowałam się na eksperyment, zadałam sobie pytanie, co się dzieje z kobietą, której goli się głowę brzytwą jak w „Summer Love", a co z taką, która budzi się w nocy jak moja bohaterka w „Alinie na zachód" już bez włosów, które wypadły pod wpływem stresu i leżą na poduszce.

Obie te role zostały zauważone i bardzo docenione, zarówno przez krytykę, jak i publiczność. Więc tak, zaskoczyłam samą siebie! Od początku byłam wpisana w komedię, ale zawsze dramat był mi bliski, właściwie komediodramat to taki mój ulubiony gatunek. Zarówno w filmie, jak i w teatrze. Przez ostatnich 12 lat mogłam realizować tę swoją pasję na scenie Teatru Wybrzeże w Gdańsku i Sopocie.

Ale zanim pani tam wyjechała, udzieliła pani wywiadu, w którym opowiedziała, że była ofiarą przemocy domowej. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, jak do tematu podejść. A tu wychodzi Katarzyna Figura, polski symbol seksu, i mówi głośno: „Tak, byłam ofiarą". Jak o tym rozmawiać? Jak zareagować?
– To było 13 lat temu. Spotkałam się z ostracyzmem ze strony środowiska. Nie rozumiałam, dlaczego tak się stało, ale proszę mi wierzyć, byłam w tej sytuacji sama i mogłam liczyć tylko na siebie. Wtedy wszystko najlepiej zamieść było pod dywan. Myślę, że to wynika z naszej kultury, wychowania, tradycji i religii. Wszyscy nabrali wody w usta, widziałam odwrócone do mnie plecy. I tylko Krystyna Janda i Jerzy Stuhr zaproponowali mi współpracę.

Teraz przy okazji „Domu dobrego" Wojtka Smarzowskiego dzwonią do mnie dziennikarze, żebym się wypowiedziała, bo to film o przemocy. To nie na miejscu. Film „Dom dobry" mówi sam za siebie.

Miała pani żal do tej części środowiska, która się odsunęła?
– Nie mam w sobie żalu. Jestem osobą bardzo pragmatyczną. Użalanie się nad sobą nie ma sensu, odbiera energię potrzebną, by być silnym. Wówczas byłam samotną matką trojga dzieci, nie miałam wyboru, praca była jedynym rozwiązaniem na ten kryzys. Tak powstał monodram „Kalina" Małgorzaty Głuchowskiej w Teatrze Polonia, spektakl, w którym mogłam wyrazić to, co czułam także w życiu prywatnym, prawdę o sobie w tej historii: o aktorce, talencie, odrzuceniu. Wcześniej na tej samej scenie Krystyna Janda zaproponowała mi „Badania terenowe nad ukraińskim seksem" w re-

eprasa.pl 4d6b712057

żyserii Małgorzaty Szumowskiej, na podstawie Oksany Zabużko, gdzie też mierzyłam się z moją seksualnością i wizerunkiem.

To był trudny czas. Zweryfikował wiele znajomości. Maski spadają. Po tym wywiadzie miałam nerwy na powierzchni skóry, wiedziałam, że w każdej chwili mogę się rozsypać, i zdawałam sobie sprawę, że nikt ostatecznie nie może mi w tym pomóc. Mogłam liczyć przede wszystkim na siebie. Odkryłam w sobie wewnętrzną siłę. Mam dzieci i dla nich muszę być silna, bo ponoszę tę miłosną odpowiedzialność płynącą z bezwarunkowego uczucia. Mówiłam sobie: „Nie mogę się roztrzaskać, są dzieci, jest moja mama, co będzie z nimi, jeśli ja się rozpadnę?". Jak Edith Piaf naprawdę niczego nie żałuję, żadnego momentu mojego życia.

Serio, nawet katastrof?
– Rzeczy się po prostu dzieją. Czasami katastrofa wydaje się katastrofą, ale za chwilę się okazuje, że znajdujemy w sobie siłę, by przez nią przejść, by ją przetrwać. I nagle dochodzi do nas, że nie było żadnej katastrofy. Życie toczy się dalej i czasem wbrew przewidywaniom może stać się lepsze. Japończycy mają podobno zawsze przy drzwiach wyjściowych spakowaną walizkę niezbędnik na wypadek trzęsienia ziemi, by móc się natychmiast ewakuować. Ziemia się zatrzęsie, ciach, łapiesz walizkę i spieprzasz. Tak staram się żyć, choć mimo moich usilnych starań nadal nie jestem minimalistką.

Mam 63 lata, przeżyłam wystarczająco wiele, by się nauczyć, jak się nie poddawać kolejom losu. Proszę pamiętać, że ja zdałam

Teraz przy okazji „Domu dobrego" Wojtka Smarzowskiego dzwonią do mnie dziennikarze, żebym się wypowiedziała, bo to film o przemocy. To nie na miejscu. Film „Dom dobry" mówi sam za siebie

maturę w 1981 roku, poszłam na studia i nagle 13 grudnia został ogłoszony stan wojenny. Miałam jechać do Anglii do rodziny, pakowałam walizkę, włączyłam telewizor, ekran śnieżył, pojawił się generał Jaruzelski, który powiedział, że to koniec. Czułam się, jakby zamknął przede mną świat.

Na protestach studenckich dostałam od zomowca pałką w głowę, wylądowałam w szpitalu z poważnym wstrząsem mózgu z zaburzeniami orientacji. Myślę, że wtedy pojawiło się marzenie, że chcę być gdzie indziej. W pewnym sensie zawsze tego pragnęłam. Oglądałam przecież tyle filmów, głównie włoskich i francuskich.

Moje życie wielokrotnie rzucało mną to tu, to tam. Zawsze jakoś się zbierałam. Nawet kiedy się okazywało, że bliscy są doskonałymi aktorami. A ja w prawdziwym życiu jestem...

Kiepską aktorką?
– Jestem autentyczna. Niczego nie udaję, serce mam na dłoni. Moje uczucia są widoczne. Może dlatego jestem prawdziwa na scenie czy ekranie? Ma pani taki dziecięcy głos, piękny, inaczej go sobie wyobrażałam, kiedy czytałam pani teksty.

Dlatego pracuję w gazecie, a nie w radiu. Pani głos jest za to wybitnie charakterystyczny.
– No tak, ta moja chrypa. Chętnie z niej korzystam. Kiedy byłam młoda, porównywano mój tembr do głosu Claudii Cardinale. Po „Historiach miłosnych" Jerzy Stuhr żartował, że Włosi mu powiedzieli, że co ze mnie za aktorka, z takim głosem. A Jerzy odparł: „A co z Claudią Cardinale?". Odpowiedzieli, że to wyjątek, który potwierdza regułę. Ja także jestem tym wyjątkiem.

Mam zresztą wrażenie, że przez 40 lat wciąż udowadniałam, że mogę więcej, że jestem więcej niż tylko atrakcyjną blondynką, którą we mnie wszyscy widzieli. Chętnie grałabym więcej w kinie, jakieś ciekawe, wymagające, ryzykowne role. Pytanie: czy są ciekawe role dla kobiet w moim wieku? Tylko proszę, niech pani nie pisze, że Figura czuje się odrzucona. Wszyscy już wiedzą, że jestem dobrą aktorką, nawet ja. Czuję się doceniana wciąż na nowo. Mój dorobek i moja nieustanna praca mówią same za siebie.

Dawno już postanowiłam, że nie będę taka, jak inni by chcieli mnie widzieć. Przestałam się przejmować cudzymi opiniami. Zrozumiałam, że nic nie powinno mnie ograniczać: jako aktorki, człowieka, kobiety. I żyłam na własnych zasadach, wbrew regułom. Pamiętam, przed wyjazdem na stypendium do Paryża w 1989 r., poprosiłam o zgodę Macieja Englerta, dyrektora Teatru Współczesnego w Warszawie, gdzie grałam. Powiedział mi: „Jeśli pani wyjedzie, proszę mieć świadomość, że nigdy nie wróci pani na polską scenę teatralną". Aż chciałoby się powiedzieć: „I kto się teraz śmieje ostatni?". Taki żarcik. Ha, ha. ●

• **„Pociąg do Hollywood" (1987) reż. Radosław Piwowarski. Jako Mariola „Merlin" Wafelek bufetowa w pociągu z Krystyną Feldman - pania Krysią, strażniczką fabryki snów**

• **„Kiler-ów 2-ów" (1999) reż. Juliusz Machulski. Jako Ryszarda „Gabrysia" Siarzewska, żona gangstera „Siary"**

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

O KTÓRE SŁOWA KŁÓCĄ SIĘ POLACY

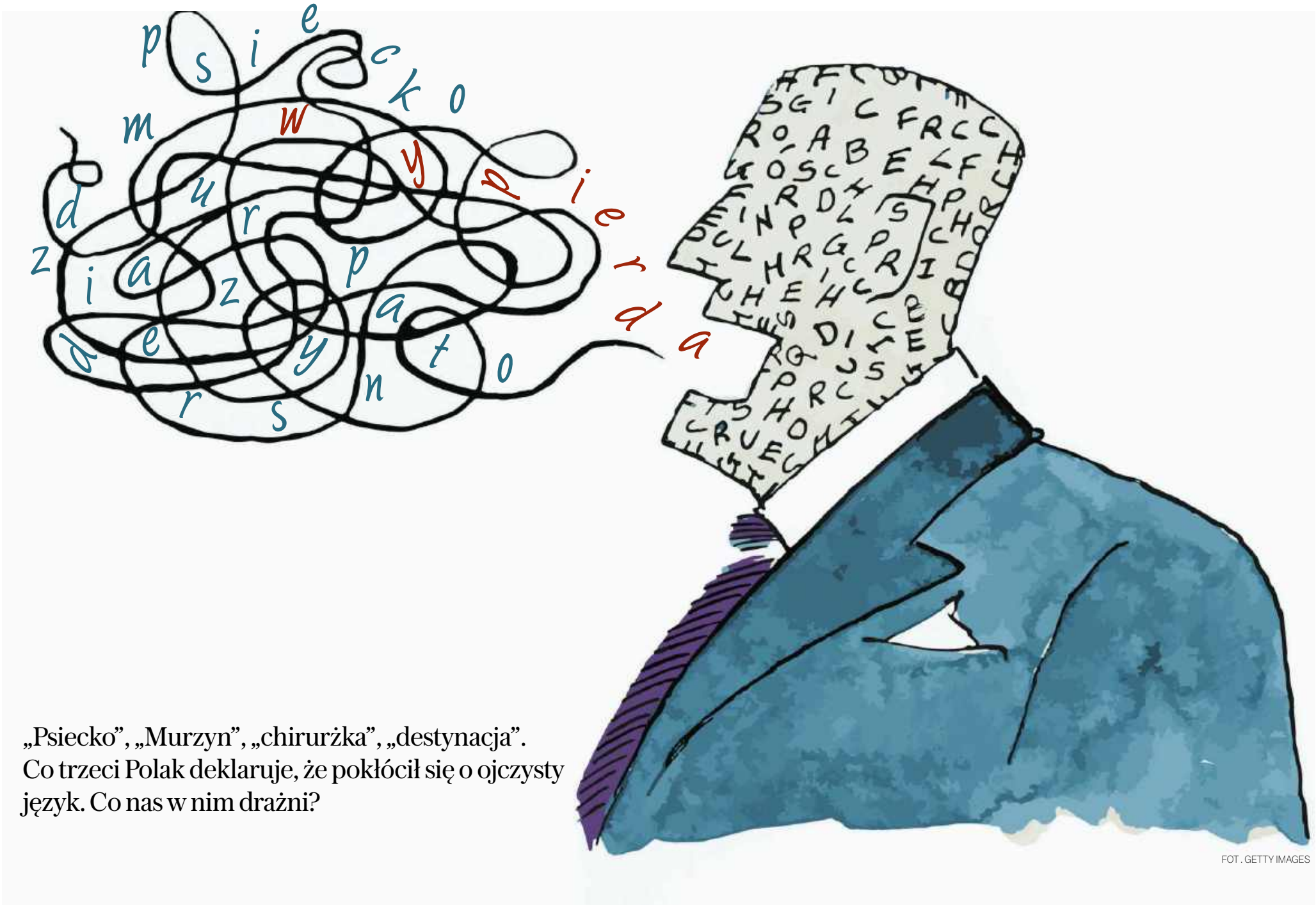

„Psiecko”, „Murzyn”, „chirurżka”, „destynacja”. Co trzeci Polak deklaruje, że pokłócił się o ojczysty język. Co nas w nim drażni?

FOT. GETTY IMAGES

Wojciech Szot

Język polski staje się gorącym tematem każdej jesieni przy okazji konkursu na Młodzieżowe Słowo Roku. Główne pytanie brzmi: Czy jeśli dorośli – a jury wybierające finałową dwudziestkę składa się z pełnoletnich – zaczynają rozpoznawać jakieś charakterystyczne dla młodych zjawisko językowe, to nadal jest ono młodzieżowe?

Pierwszym Młodzieżowym Słowem Roku (plebiscyt od 2016 roku organizuje Państwowe Wydawnictwo Naukowe) był „sztos”. Na podium stanęły „ogarnąć” i „beka” z „masakrą”. Dekadę później „sztos” wciąż ma się dobrze w polszczyźnie. Podobnie jak „XD”, zwycięzca z 2017 roku, nadal używany w komunikacji internetowej, choć – jak mówi mi 26-letni J. – „używają go już tylko boomerzy”.

„Jesieniary” (drugie miejsce w 2019 roku) zostały zawłaszczone przez marketing oferujący koce, herbaty i ubrania.

„Rel” – podobnie jak „XD” – niedługo stanie się symbolem ludzi, którzy z przerażeniem patrzą na swoje zakola. W 2025 roku zwyciężyło słowo „szponcić”, czyli „wygłupiać się”. Czy przetrwa?

Które słowa najbardziej polaryzują Polaków?

Na początku 2024 roku w przeprowadzonym na zlecenie Rady Języka Polskiego sondażu aż 38 procent osób zadeklarowało, że kłóciło się o kwestie językowe. Częściej kobiety (41 procent) niż mężczyźni (38 procent). Sprzeczają się o język raczej ludzie młodsi niż starsi. O język spierało się aż 57 procent osób w wieku studenckim.

„Temu pokoleniu zależy bardziej na feminatywach i wyrażeniach neutralnych, to pokolenie wnosi wraz ze swoim nowym postrzeganiem świata nowe słownictwo: chciałoby mieć i grzech ekologiczny, i pracownika seksualnego. I największej liczbie osób z tego pokolenia język polski kojarzy się z nowoczesnością” – komentował Jacek Wasilewski z Komisji Żywego Słowa Rady Języka Polskiego.

Kłócimy się więc o język towarzyszący zmianom społecznym, o anglicyzmy, napierające regionalizmy, wielkie litery, etykietę w mailach.

Częściej o język kłócą się mieszkańcy małych miast. Wasilewski: – To tam bije więc w internecie poprawnościowe serce Polski. Badacz zauważył również, że w miastach o „średniej wielkości” 29 procent akceptuje formę „marszałkini”, w wielkich – 46 procent.

A dyskusje nabierają rumieńców, odkąd w platformach społecznościowych głos może zabrać każdy, nie tylko specjaliści i specjalistki. O co kłócimy się wyjątkowo zaciekle?

Murzyn

„Mnie to słowo nie obraża”

Jak napisano w słowniku Lindego „Murzyn” to „nazwisko, które dajemy narodom czarnym, mieszkającym w Nigrycyi, Gwinei, Abisynii i innych pogranicznych krajach”. W 1881 roku Wiktor Gomulicki w „Ilustrowanym przewodniku po Warszawie” zachwalał zakład niejakiego Lipinka, u którego można doznać „ekscentrycznej przyjemności: zobaczenia prawdziwego afrykańskiego murzyna, o licach z hebanu i zębach z kości słoniowej”, który „oczyści twe ubranie, poda ci paltot i kapelusz i otworzy drzwi, kłaniając się po europejsku”.

Dziś, gdy patrzymy na świat nie tylko z białej, europejskiej perspektywy, „Murzyn” trafił na półkę słów niechcianych. Nie jest może tak poniżające jak amerykański, kojarzący się z niewolnictwem „n...er”, ale wiele osób odbiera je jako określenie odczłowieczające.

Dziennikarka Oliwia Bosomtwe w książce „Jak biały człowiek” zauważa, że „bycie nazwanym »Murzynem« pozbawia ludzi biografii. Redukuje indywidualność, zabiera to, kim jesteś naprawdę, i stawia cię do kąta z ludźmi, z którymi nie masz nic wspólnego. Nic poza kolorem skóry, kształtem włosów i narzuconą wspólnotą doświadczania rasizmu”.

Obrońcy słowa „murzyn” najczęściej – jak przytacza w swoich badaniach Margaret Ohia-Nowak – wskazują na swoje własne intencje. Mówią: „Nie mam złych intencji, mówiąc »Murzyn«”, „Nie chcę nikogo stygmatyzować”, „Mnie to słowo nie obraża”, „Dla mnie nazwa »Murzyn« nie ma w sobie nic obraźliwego”, „Murzyn to nie niewolnik, więc mogę tak mówić”. Zdaniem badaczki takie postrzeganie komunikacji „wynika z przywiązania do jej klasycznego schematu, w którym to

eprasa.pl 4d6b712057

intencja nadawcy decyduje o fortunności wypowiedzi”.

Niezależnie od indywidualnych intencji, oficjalnie tego słowa się już nie używa.

Wypierdalać

Ma nie być miło

Tu nie ma wątpliwości, słowo „wypierdalaj” kojarzy się negatywnie wszystkim, przecież nikt z nas nie chce być jego adresatem. Po to sformułowanie sięgnęły osoby protestujące przeciwko zmianom w prawie aborcyjnym w ramach Strajku Kobiet. Miało nie być miło.

W tym kontekście – jak pisała w „Wyborczej” Eliza Michalik – słowo to „nie jest niczym niestosownym, przeciwnie – jest emanacją wszystkiego, co w tej sytuacji każdy przytomny, choć skazany na tortury obywatel, mógłby chcieć powiedzieć władzy”.

„»Wypierdalaj!« to emocjonalny wentyl bezpieczeństwa”, pisała na naszych łamach Olga Woźniak.

Podobnie można potraktować równie popularne w pewnym momencie sformułowanie: „Jebać PiS”, które – trochę dla żartu, a trochę dla uniknięcia filtrów „brzydkich wyrazów” w platformach społecznościowych – zapisywano jako „***** ***”. Hasło wraca co jakiś czas, niedawno jego celem był PSL.

Chirurżka

Nieustająca kłótnia o feminatywy

W naszym rządzie są już ministry: ministra Cienkowska, ministra Nowacka. Zwycięstwo feminatywów? Bo ten temat to przecież wielka batalia.

W 2012 roku Joanna Mucha, ówcześnie szefowa resortu sportu i turystyki, zażyczyła sobie, by mówić o niej per „ministra”. Przyklasnęły feministki. Sprzeciw był jednak powszechny. Nawet profesor Bralczyk oponował: „Nie odmieniając słowa »minister«, dajemy dostateczny sygnał o tym, że mamy do czynienia z kobietą”.

Specjalne oświadczenie wydała też Rada Języka Polskiego, w którym przypomniano, że „językowi nie da się jednak niczego narzucić, przyjęcie żadnej regulacji prawnej w tym zakresie nie spowoduje, że Polki i Polacy zaczną masowo używać form inżyniera bądź inżynierka (...)”.

Żeńskie formy gramatyczne nazw zawodów i funkcji nie są dla polszczyzny nowością. Pojawiały się już w XIX wieku. Używano ich powszechnie? Wcale nie.

W 1932 roku Julia Dicksteinowa-Wieleżyńska, wybitna intelektualistka, pisała na łamach „Poradnika Językowego”, że „te formy, dopóki ucho nasze z niemi się nie zżyje, znajdują – i to nie tylko wśród mężczyzn – całe zastępy przeciwników”. Także w 1932 roku do redakcji „Poradnika...” nadszedł list z pytaniem o poprawność formy „posłanka”. Skoro czytelnicy i czytelniczki pytali o to 14 lat po wybraniu pierwszych posełek, jak ówcześnie niekiedy mówiono, sprawa nie była oczywista. W odpowiedzi redakcja zwróciła uwagę, na to, że „posłanka” to forma żeńska od „posłańca”, a nie „posła”.

Chciałxbyś

Skąd się wzięły osoby studenckie

Współczesna dyskusja o języku jest fascynująca choćby z tego powodu, że jedni walczą o to, by nazwa ich zawodu odzwierciedlała płeć, a inni o to, by język, którym się do nich zwracają, nie zawierał sformułowań płeć ujawniających.

Nie ma w tym jednak żadnej sprzeczności. Jedna kobieta może chcieć być „ministrą”, a druga „ministrem” i obie te potrzeby warto uszanować. Jednak dużo trudniej przychodzi nam akceptować, gdy ktoś chce, by nazywano go w sposób neutratywny. „Osoba ministerska” jeszcze się nie przyjęła.

Neutratywy to – jak wyjaśniają osoby tworzące internetowy Słownik Neutratywów Języka Polskiego – „słowa ukute na neutralne wersje słów nacechowanych płciowo, analogicznie do feminatywów”. Na stronie Słownika poznać można także iksatywy: „chciałxbyś”, „przyszłxś” czy formy nazwane „osobatywami”, gdy zamiast pisać „dziennikarze i dziennikarki”, decydujemy się napisać „osoby dziennikarskie”.

Powstały już pierwsze polskie książki pisane z użyciem neutratywów, a niektóre uczelnie, jak choćby Uniwersytet SWPS, rekomendują stosowanie określenia „osoby studenckie”. Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu zaprasza na szkolenie dla pracowników zatytułowane: „Jak wspierać osoby studenckie w kryzysie zdrowia psychicznego”.

Są już osoby autorskie, osoby aktywistyczne.

– Wydaje się, że stoimy na progu nieuchronnej (r)ewolucji społecznej – mówiła Aleksandra Walkiewicz, filolożka z Instytutu Językoznawstwa UMK, w rozmowie opublikowanej na uczelnianym portalu.

38

PROC.

- **Polaków kłóciło się o kwestie językowe. W tym 41 proc. kobiet i 38 proc. mężczyzn.**
- **Raczej ludzie młodsi niż starsi. Aż 57 proc. osób w wieku studenckim.**

Walkiewicz: – Osoby niemieszczące się w tradycyjnych „kratkach” podziału binarnego typu „on/ona” coraz wyraźniej artykułują swoje potrzeby językowe. Niewątpliwie potrzeba zmian – ale ich zakres i kierunek naprawdę niełatwo w tej chwili przewidzieć.

Czy społeczeństwo rozumie potrzebę tych zmian? W badaniu zleconym przez Radę Języka Polskiego aż 65 procent osób uznało, że nie użyłoby formy neutralnej płciowo nawet wtedy, gdyby zostały o to poproszone. W grupie osób powyżej 55. roku życia to już aż 78 procent osób.

Destynacja

Bo angielski jest taki „zachodni”

„Przedstawiciele branży turystycznej wszystkich szczebli posługują się ochoczo określeniem »destynacja«, w sensie cel podróży”, pisał w „Wyborczej” Michał Rusinek.

Rusinek: „Kasjerki w sklepach wolnocłowych na lotniskach pytają: »Jaka jest pana finalna destynacja?«. Mam wówczas ochotę odpowiedzieć, że najprawdopodobniej Cmentarz Rakowicki”.

Jak podkreśla Rusinek, nie każde angielskie słowo daje się „łatwo wchłonąć i używać”. Mimo to w języku polskim anglicyzmy i kalki z języka angielskiego stają się powszechne. Szczególnie wśród młodego pokolenia, które na co dzień obcuje z filmami, muzyką czy literaturą w języku angielskim.

Pomaga w tym marketing, dla którego korzystanie z angielskich sformułowań upraszcza komunikację (nie trzeba tworzyć polskich odpowiedników), a przede wszystkim sugeruje, że promowany produkt jest lepszy, bo „zachodni”. W efekcie mówimy o literaturze „young adult”, a nawet niektóre książki młodzieżowe napisane po polsku mają angielskie tytuły.

Niektóre z anglicyzmów, jak choćby słowo „hejt”, silnie przeniknęły do języka polskiego i są stosowane powszechnie.

Tomasz Stawiszyński pisze w „Tygodniku Powszechnym”, że profesor Bralczyk stał się „obiektem najdzikszego hejtu”, a Alicja Witalisz w „Przewodniku po anglicyzmach w języku polskim” już osiem lat temu dawała przykład zdania wypełnionego anglicyzmami, a jednocześnie wciąż zrozumiałego: „Politycznie niepoprawne jest hejtowanie wychodzących z szafy outsiderów, bo coming out jest cool”.

Pato

Fenomen wcale nie z angielskiego

„My to! My to!/ Patointeligencja”, rapował Mata. Obok patointeligencji mamy już też patopracę, patogastronomię, patoturystów, patocelebrytów i patodeweloperkę. Rzecznik praw obywatelskich pisał, że „na zjawisko patotreści należy spojrzeć z perspektywy ofiar tego zjawiska”.

Agnieszka Cierpich-Kozieł z Akademii Ignatianum w Krakowie zauważa, że sformułowania utworzone za pomocą członu „pato” są silnie nacechowane emocjonalnie, „określają zjawiska i osoby budzące powszechne oburzenie”. Jedni – jak choćby deweloperzy – protestują przeciwko takim sformułowaniom.

Konrad Płochocki, wiceprezes Polskiego Związku Firm Deweloperskich, mówił, że nazwa „patodeweloper” jest niesprawiedliwa. Płochocki: – Pisanie o naszych firmach, że są „pato”, powoduje, że w człowieku narasta frustracja. Niektórzy patodeweloperką nazywają już niemal wszystko, co dotyczy naszej branży.

Inni – patoinfluencerzy czy patostreamerzy – uczynili z tych określeń element osobliwego marketingu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34400479

DODATEK SPECJALNY: KRYMINALNY CZWARTEK W „WYBORCZEJ”

Porwanie i zabójstwo Marka Kubaczki

Porwany przez kiboli mężczyzna został pobity na śmierć. Śledczym udało się złamać zmowę milczenia pseudokibiców GieKSy. Czego się dowiedzieli?

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

Co ciekawe, określenia w rodzaju „patopraca” to polski pomysł. Choć często cząstka „pato” łączy się z anglicyzmem („streaming”), jednak nie ma swojego odpowiednika w angielszczyźnie.

Patryk Zenon Angielczyk z Uniwersytetu w Białymstoku zauważa, że „»patostreaming« jako termin nie figuruje w anglojęzycznej literaturze przedmiotu. Pojęcie to pojawiło się wśród polskich użytkowników sieci i zostało przejęte przez badaczy tego fenomenu”.

Dziaders

Kogo obraża i stygmatyzuje

„Polowanie na »dziadersa«” – pisze duży portal o „sprawie Bralczyka”, a profesor Matczak pyta, „czy dziaderstwo to wykluczenie, dyskryminacja i nienawiść”. W Teatrze Rampa wystawiano zaś „Testament Dziadersa”.

„Dziaders” to kolejne słowo, które popularność zdobyło podczas protestów po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Agata Hącia w prowadzonym przez Obserwatorium Językowe UW „Słowniku neologizmów polskich” podaje trzy możliwe definicje tego słowa. Wśród nich taką: „Dziadersem potocznie i obraźliwie nazywa się osobę, zwłaszcza mężczyznę (niezależnie od tego, w jakim jest wieku), który protekcjonalnie odnosi się do kobiet (i w taki sposób o nich myśli), przekonanego o własnych racjach”.

Kaja Puto na portalu Krytyki Politycznej pisała: „Dziadersom wydaje się, że »wypierdalać« to nie do nich. Że złość na ulicach dotyczy tylko polityków PiS-u. Owszem, ich również, ale wystarczyłoby posłuchać wznoszonych przez kobiety haseł i poczytać postulaty Strajku Kobiet, żeby wyprowadzić swoje nieomylne ego z błędu”.

Profesor Marek Łaziński, językoznawca i przewodniczący Kapituły Młodzieżowego Słowa Roku, mówił w 2020 roku „Wyborczej”, że „dziaders” jest słowem „z ducha seksistowskim i ageistowskim, czyli stygmatyzującym wiek. Gdyby podobnego określenia użyć w odniesieniu do kobiet, bylibyśmy oburzeni”.

Na ten aspekt uwagę zwróciła też Agnieszka Holland, która pisała w „Wyborczej”, że „dziaders z socjologicznego, nieco żartobliwego narzędzia opisu zmienił się w maczugę, którą można okładać przeciwnika, a jeszcze chętniej sojusznika niespełniającego wyśrubowanych standardów”.

W upowszechnianiu anglicyzmów pomaga marketing, bo angielskie sformułowania upraszczają komunikację (nie trzeba tworzyć polskich odpowiedników), i sugerują, że promowany produkt jest lepszy, bo „zachodni”

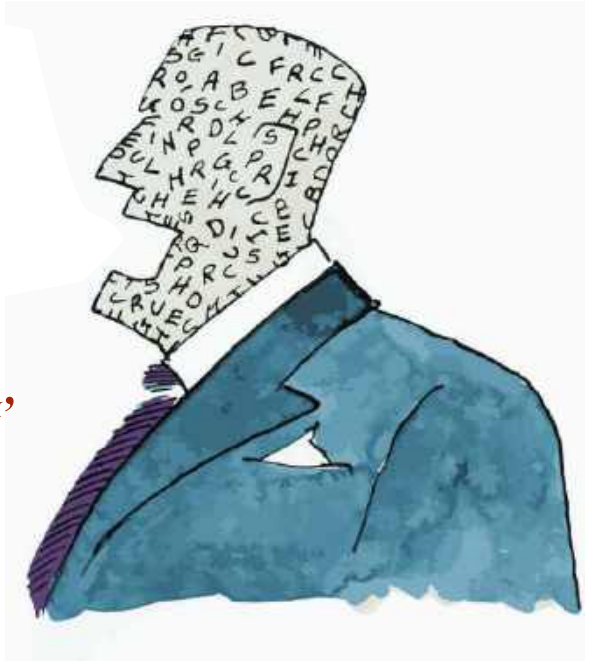

Psiecko

Językoznawczyni Agata Hącia mówiła w rozmowie z „Wyborczą”, że traktuje określenie „psiecko” jako „żart językowy o oczywistej motywacji: chodzi o psa traktowanego z miłością tak wielką, jaką darzy się dziecko”. Jednak – sądząc po temperaturze dyskusji – nie każdemu jest do śmiechu.

O tym, że „psiecko” to „nowa moda wśród singli”, pisze się od trzech lat. – Istnieje duży hejt i stereotypizacja młodego pokolenia, oparta na przekonaniu, że z wygody zamiast dzieci wolą mieć psy – mówiła „Wyborczej” Magdalena Żadkowska, socjolożka z Uniwersytetu Gdańskiego. W rozmowie z „Wysokimi Obcasami” Przemysław Staroń opowiadał, że razem z partnerem na swojego psa mówią „Psynek”. Staroń: – My jesteśmy Małym Księciem i różą, a on naszym ukochanym liskiem.

Zdaniem Żadkowskiej „z braku środków wyrazu w odniesieniu do zwierząt zaczyna się używać słów typu »dziecko«, »wnuczka«, czy neologizmów, takich jak »psiecko«, »psynek« czy »psórka«, które mają podkreślić głęboką więź łączącą nas ze zwierzętami. Tu znowu język stara się pomóc oddać to, co dzieje się wokół nas”.

„Psiecko” budzi emocje, bo tak naprawdę opowiada o ogromnej zmianie społecznej, w której można żyć szczęśliwie poza tradycyjnym wzorcem rodziny z dziećmi. A także o zmianie myślenia o naszej relacji z przyrodą wobec przyrody.

Od lat używam rozróżnienia na „istotę ludzką” i „nieludzką” – mówiła Olga Tokarczuk podczas jednego ze spotkań z czytelnikami. Tokarczuk: – Nadszedł czas, byśmy się ogarnęli i zaczęli patrzeć na zwierzęta w sposób, który z czułością i rozważnością pokazuje nam je jako nie przedmioty czy ciała-maszyny, tylko osobne istoty.

Osoba w kryzysie...

Na koniec warto wspomnieć o zmianach w języku, które polegają na zastąpieniu stygmatyzującego słowa innymi określeniami. Organizacje społeczne apelują, by zamiast „bezdomny”, „wariat”, „żul” czy „śmieć” mówić na przykład „osoba doświadczająca bezdomności” lub „osoba w kryzysie bezdomności”. Jak tłumaczą: „Bezdomność to nie tylko brak dachu nad głową (a więc osoby śpiące na ulicy). To także brak mieszkania (osoby przebywające w schroniskach, noclegowniach), niezabezpieczone mieszkanie (na przykład zagrożone eksmisją) oraz nieodpowiednie mieszkanie (mieszkający w przeludnionych pomieszczeniach)”.

Czy to wyłącznie poprawność polityczna? Tak. Jednocześnie samo pojęcie „poprawności politycznej” jest dzisiaj bardzo nacechowane ideologicznie, a przecież – jak zauważa Dorota Garbicz-Stodolna z Uniwersytetu Wrocławskiego – „w wyniku ścierania się odmiennych światopoglądów i prób obrony własnej racji zatraca się niezwykle ważny aspekt poprawności politycznej, jakim jest cel bliźniaczo podobny do założeń grzeczności językowej”. W ramach obrony przed „narzucaną ideologią” decydujemy się po prostu na niegrzeczność wobec innych. A przecież w grzeczności językowej chodzi o – cytując Garbicz-Stodolną – „zapewnienie rozmówcy poczucia akceptacji i szacunku”.

Może zamiast o poprawności politycznej warto zatem więcej mówić o szacunku?

Czego nie lubimy „na Czerskiej”?

Których słów nie lubią osoby redaktorskie na Czerskiej?

– Sformułowania „dokładnie” i „szpiegini” irytują mnie za każdym razem, gdy je słyszę – mówi Mirosław Maciorowski, redaktor naczelny „Magazynu Wyborczej”.

Agata Żelazowska i Emilia Dłużewska z działu Kultura zwracają uwagą na określenie „apartament” używane przez deweloperów do opisu niewielkich mieszkań, niemających nic wspólnego z tym, czym „apartament” był jeszcze przed dekadą. W redakcyjnej dyskusji dostaje się również „kolaboracji” (w znaczeniu współpracy), „dedykowanemu” (w znaczeniu: specjalnemu, przeznaczonemu) i „książkom od wydawnictwa” (zamiast po prostu książkom).

Piszący te słowa najbardziej zaś nie lubi sformułowania „otwarty gej” używanego na określenie osoby, która publicznie deklaruje własną nieheteronormatywność. „Otwarty gej” to moim zdaniem jest na stole sekcyjnym. O ile wcześniej dokonał coming outu.

REKLAMA
Kraj/34409110

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

LICZENIE KALORII NIE DZIAŁA

Jak jesteś głodny, nie schudniesz

Z PROF. **TIMEM SPECTOREM ***, EPIDEMIOLOGIEM I SŁAWNYM BADACZEM JEDZENIA ROZMAWIA **IZABELA FARENHOLC**

FOT. GETTY IMAGES

Skąd fascynacja fermentowanym jedzeniem?
– Z połączenia nauki o mikroorganizmach z moją miłością do jedzenia.

Kiedy mieszkałam w Anglii 30 lat temu, jedynym fermentowanym jedzeniem była kapusta i ogórki kiszone w polskich sklepach.
– Tak, jeszcze 10 lat temu nasz kraj był strefą bez fermentacji.

Powinien pan przyjechać do Polski, mamy mnóstwo fermentowanego jedzenia. Andreas Viestad, norweski szef kuchni, z którym rozmawiałam, zachwycał się naszym żurkiem – zupą, którą robi się na zakwasie żytnim.
– Powinienem, tym bardziej że mój dziadek urodził się w Polsce. Kiedy jestem w trasie promocyjnej książki, podchodzi do mnie wielu Polaków. Mówią, że podoba im się pomysł moich naleśników.

„Ferment", pana najnowsza książka, właśnie ukazała się w Anglii, a „Jeść zdrowo. Rewolucyjna nauka o dobrym odżywianiu", niedawno wydano u nas. Rok temu rozmawialiśmy o „Podano do stołu". Napisał pan siedem książek, edukuje pan też na Instagramie. To misja?
– Moim zadaniem jako epidemiologa było analizowanie stanu zdrowia wielkich populacji, jednak z powodu incydentu zdrowotnego, który mi się przytrafił, zmuszony byłem przyjrzeć się własnemu organizmowi i diecie.

Pierwszy etap tej podróży zaprowadził mnie do odkrywania mikrobiomu jelitowego. Napisałem „The Diet Myth", w której zająłem się rolą drobnoustrojów zasiedlających nasze jelita, a w „Podano do stołu" wprowadziłem pojęcie spersonalizowanego jedzenia. A teraz właśnie skończyłem trasę promocyjną nowej książki o fermentacji.

„Jeść zdrowo" to rzeczywiście „kompleksowy przewodnik po najnowszej wiedzy na temat żywienia". I przemyśle spożywczym.
– Tak, o tej trwającej od lat wojnie między przemysłem spożywczym a konsumentem. Nigdy wcześniej nie pisałem o poszczególnych produktach spożywczych, a wciąż dostawałem pytania, czy lepiej jeść to czy tamto, czy dana informacja o jakimś produkcie jest prawdą czy mitem. Na przykład: czy ciemny chleb jest dobry, czy dziki ryż jest zdrowy, czy pić mleko sojowe?

Zdarzało się, że pisałem o niektórych produktach, ale nigdy w sposób całościowy. Zdałem sobie sprawę, że nie ma książki, która omawiałaby to wszystko kompleksowo – dając perspektywę żywieniową, zdrowotną, środowiskową i etyczną z uwzględnieniem nowej wiedzy o żywieniu, którą nazywam zdrowiem jelit.

Nie chodzi przecież o to, by mówić ludziom: „to właśnie powinieneś jeść" albo „jedz tylko to", tylko o to, by pokazać całą różnorodność, jaka istnieje i jest dostępna.

Weźmy pszenicę. Pisze pan, że jeśli nie cierpimy na celiakię, to lepiej zjeść spaghetti ugotowane al dente, które nie podniesie tak bardzo poziomu glukozy jak makaron bezglutenowy zrobiony z kukurydzy, z dodatkami chemicznymi.
– Wiele osób demonizuje pszenicę, obawiając się zawartego w niej cukru i glutenu. Osoby chorujące na celiakię (około 1 proc. społeczeństwa) zdecydowanie powinny jej unikać. Nie zapominajmy jednak, że w zróżnicowanej i zbilansowanej diecie pszenica stanowi ważne źródło białka. No i robi się z niej wspaniały chleb na zakwasie.

Każdy produkt i potrawa mają swoją historię, prawda?

eprasa.pl 4d6b712057

Sprawdzaliśmy zdrowie jelit i okazało się, że weganie i wegetarianie mieli lepszy stan mikrobiomu niż mięsożercy. Ale 1 proc. osób z najzdrowszym mikrobiomem to byli mięsożercy, którzy jedli dużo roślin

– Tak i ludzie słyszą ją od swoich matek czy babć – że koniecznie trzeba coś jeść, bo... no właśnie. Część z tych historii jest prawdą, inna nie.

Jeszcze inna część historii została wymyślona przez firmy spożywcze, żeby sprzedać produkty. Na przykład Amerykanie są obsesyjnie przywiązani do owsianki. W latach 80. i 90. firmy spożywcze przeprowadziły wielką kampanię reklamową, że niby obniża ona poziom cholesterolu.

Owszem, obniżała cholesterol o jakieś 1 proc., za to znacząco podnosiła poziom cukru. Kilka badań klinicznych potwierdziło korzystne działanie owsa na profil lipidowy, co związane jest z obecnością beta-glukanu, który wyściela ściankę jelita śluzową otoczką, zmniejszając wchłanianie tłuszczu, oraz działa na mikroflorę jelitową, pobudzając ją do produkcji kwasów żółciowych.

Jednak, by beta-glukan zadziałał, potrzebujemy go 3-4 gramy dziennie, a to półtorej szklanki zwykłych płatków owsianych lub trzy opakowania płatków błyskawicznych!

Przytoczyłem tę historię, bo chodzi o to, żeby prostować mity o jedzeniu i myśleć o nim w sposób całościowy.

Kiedy mówisz o jedzeniu, nie myślisz tylko o cholesterolu. Myślisz o błonniku. Myślisz o pestycydach. Myślisz o poziomie cukru we krwi. Kiedy mówisz o pomarańczach albo soku pomarańczowym, nie chodzi tylko o witaminę C. Chodzi też o błonnik, o chemiczne dodatki w soku, o to, że zawiera on tyle samo cukru co coca-cola.

Nauka o jedzeniu to naprawdę fascynująca dziedzina, której nie uczy się w szkołach. Lekarze też właściwie tego nie studiują. To jak czarna dziura w całym naszym systemie edukacji. A ta luka zostawia pole mediom społecznościowym, firmom spożywczym i influencerom, żeby mówili, co chcą.

To jak przygotować owsiankę, żeby nie podnosiła tego cukru? W Polsce trwa wojna między dietetykami, którzy spierają się o to, czy warto ją uwzględnić w codziennym menu.

– Owies jest zdrowy czy nie? Odpowiedź zależy od twojego organizmu, tego, jak reagujesz na cukry, a także od tego, jakie produkty wybierasz. Oczywiście zawsze można dodać dodatkowy tłuszcz, błonnik i białko do owsianki, aby spowolnić reakcję wyrzutu cukru do krwi, na przykład dodając łyżkę jogurtu greckiego i mieszankę różnych nasion. Co zapewnia również pewną liczbę punktów roślinnych w ramach 30 punktów tygodniowo.

No właśnie, te 30 punktów roślinnych tygodniowo. O co chodzi?

– Pomysł jedzenia 30 różnych rodzajów roślin tygodniowo to coś więcej niż tylko chwilowa moda. Dobre wzorce żywieniowe, takie jak na przykład dieta śródziemnomorska, obejmują szeroki zakres produktów roślinnych i jest to silnie powiązane ze zmniejszonym ryzykiem chorób serca i cukrzycy typu 2.

Ten sposób odżywiania może nawet obniżyć ryzyko zachorowania na raka i pomóc w zachowaniu zdrowia w starszym wieku. Jedzenie różnorodnych produktów roślinnych jest również ważne dla mikrobiomu jelitowego – społeczności bakterii i innych drobnoustrojów żyjących w jelitach. Dzieje się tak, ponieważ rośliny zawierają prebiotyki, które dostarczają pożywienia dobrym bakteriom jelitowym. Prebiotyki w roślinach obejmują różne rodzaje błonnika i innych węglowodanów, a także związki chemiczne zwane polifenolami.

Polifenole są odpowiedzialne za kolor wielu roślin, a ponadto mają właściwości przeciwutleniające i przeciwzapalne. Oznacza to, że spożywanie szerokiej gamy roślin może wspierać różnorodność drobnoustrojów w mikrobiomie jelitowym. Bardziej zróżnicowany mikrobiom, bogaty w korzystne bakterie, wiąże się z lepszym funkcjonowaniem i większą odpornością jelit, a to zdecydowanie pomaga żyć dłużej i zdrowiej.

Niedawno w Polsce mieliśmy aferę podcastową, w której pani profesor od żywienia w większości mówiła rzeczy niezgodne z naukową wiedzą. Jak nie dać się fałszywej narracji dotyczącej jedzenia?

– Musisz znaleźć źródło informacji, któremu ufasz. Profesjonalistom i naukowcom bardziej niż zwykłym influencerom. Czyli ludziom, którzy naprawdę prowadzili badania naukowe i publikowali artykuły recenzowane przez innych naukowców, przeszli przez cały proces weryfikacji naukowej i rygorystycznych ocen.

To też nie daje gwarancji, bo niektórzy z nich na przykład założyli firmy sprzedające suplementy albo jakieś produkty. Ich wizja jest bardzo wąska – nie są w stanie krytykować własnej dziedziny. Jeśli na przykład sprzedają batony proteinowe, to powiedzą, że ten rodzaj białka jest świetny, i zignorują wszystkie informacje, które temu przeczą.

To jest bardzo trudne. Myślę, że musisz po prostu znaleźć jedno źródło, któremu ufasz – jedną osobę albo jeden podcast – i się go trzymać. A jeśli coś wydaje się zbyt prostym wyjaśnieniem, warto być podejrzliwym.

Złożoność zagadnień żywieniowych jest ogromna. Uważa się, że w jedzeniu występuje około 70 tysięcy różnych związków chemicznych, a często jedzenie jest sprowadzane do jednego składnika.

W marchewce lub w ząbku czosnku może być 500-600 związków chemicznych, a ci specjaliści skupiają się tylko na jednym i przekonują, że to powód, by to jeść lub tego unikać.

Sprowadzanie wszystkiego do jednego związku chemicznego jest właśnie problemem. Dotyczy to glutenu, lektyn, azotynów – wszystkiego, czego się tkniesz. W nauce o żywieniu nigdy nie jest tak, że wszystko sprowadza się do jednej substancji chemicznej. No, chyba że to cyjanek czy coś takiego, ale to inna sprawa. Wszystko ma swoje niuanse, bo nie jemy jednej substancji – jemy cały talerz różnych produktów i robimy to trzy razy dziennie. Liczy się więc to, co jemy w ciągu całego dnia. Ciągle słyszymy straszne opowieści o różnych produktach. Dobrym przykładem są lektyny. Słyszałaś o nich?

Tak, doktor Steven Gundry napisał o nich książkę i robi niezły biznes.

– To znakomity przykład tego, jak ktoś wybiera jeden konkretny związek chemiczny w żywności i wokół tego buduje historię.

Nie ma żadnych solidnych dowodów na szkodliwość lektyn poza małymi badaniami w probówkach – jeśli doda się lektynę do probówki z ludzkimi komórkami, to można wyka-

Placuszki z zielonego groszku prof. Spectora

SKŁADNIKI:
- 10 g świeżej mięty
- 10 g świeżej pietruszki
- 10 g świeżego koperku
- 4 dymki, drobno posiekane
- 150 g twarogu
- 1 jajko
- 200 g mrożonego groszku
- 50 g mąki
- skórka z 1 cytryny
- szczypta soli
- extra virgin olive oil do smażenia

DODATKI (OPCJONALNIE):
- jajka na miękko
- plasterki awokado
- jogurt grecki
- chrupiący olej chili

SPOSÓB PRZYGOTOWANIA:
- Drobno posiekaj miętę, pietruszkę, koperek i dymki. Odstaw na bok.
- W blenderze połącz twaróg i jajko. Miksuj do uzyskania gładkiej masy. Dodaj większość mrożonego groszku i krótko zmiksuj pulsacyjnie, zostawiając trochę tekstury w mieszance.
- Przełóż mieszaninę do miski. Dodaj mąkę, skórkę z cytryny i szczyptę soli, dokładnie wymieszaj. Delikatnie wmieszaj posiekane zioła, dymki oraz pozostały groszek. Jeśli ciasto jest zbyt gęste, dodaj trochę wody, aż osiągnie konsystencję, ktorą da się nabierać łyżką.
- Rozgrzej odrobinę oliwy na patelni na średnim ogniu. Nakładaj łyżką porcje ciasta, formując placuszki. Smaż kilka minut z każdej strony na złoty kolor.
- Podawaj placuszki z wybranymi dodatkami: jajkami na miękko, plasterkami awokado, jogurtem greckim i polane chrupiącym olejem chili.

*Tim Spector

FOT. HTTPS://X.COM/TIMSPECTOR/

- profesor epidemiologii w King's College London oraz jeden z czołowych badaczy na świecie. Jego najnowsza książka poświęcona żywieniu i zdrowiu to **„Jeść zdrowo"**. Napisał także: **„Podano do stołu"**, **„Diet Myth"** i **„Ferment"**. Jest współzałożycielem firmy ZOE, która zajmuje się spersonalizowanym odżywianiem i wykorzystuje badania naukowe do oferowania spersonalizowanych wskazówek żywieniowych i testów domowych. ZOE to firma oparta na nauce, którą Tim Spector założył wraz z Jonathanem Wolfem i George'em Hadjigeorgiou.

eprasa.pl 4d6b712057

zać, że rzeczywiście uniemożliwia ona wchłanianie składników odżywczych. To jest prawda w probówce, która też może się sprawdzić w badaniach na myszach. Ale nie ma żadnych dowodów, że ma to jakikolwiek wpływ na ludzi.

W podgrzewanym jedzeniu lektyny ulegają zniszczeniu. Tymczasem ludzie głoszą swoje antylektynowe prawdy i sprzedają suplementy „przeciw lektynom". To jeden przykład z setek podobnych przypadków w dietetyce – jak szybko można zarobić i zdobyć sławę, nie prowadząc żadnych rzetelnych badań.

Ale ludzie są zdesperowani, mają problemy z trawieniem, dolegliwości żołądkowe, refluks. Leki pomagają na chwilę, a dostanie się do gastroenterologa jest bardzo trudne.

– Nie wiem, jak jest w Polsce, ale gastroenterolodzy tutaj też nie wiedzą zbyt wiele o odżywianiu. My, lekarze, nie jesteśmy szkoleni w tym zakresie. W szkole medycznej mamy może trzy godziny zajęć z żywienia przez sześć lat.

Zalecenia udzielane przez lekarzy są więc często przestarzałe albo po prostu słabe. Powstaje coś, co nazywamy próżnią informacyjną.

Jeśli ktoś zna angielski, polecam podcast ZOE Science & Nutrition, który jest teraz wiodącym anglojęzycznym podcastem na świecie o żywieniu. Wiedza tam podawana pochodzi od naukowców i oparta jest na badaniach. I jest za darmo. Instagramerzy nie są tam zapraszani.

Trzeba też pamiętać, że wiele osób próbuje nas oszukać. Jeśli coś brzmi zbyt prosto albo sprowadza się do jakiegoś jednego suplementu, to zazwyczaj jest to nieprawda.

Mięso jest teraz gorącym tematem, zwłaszcza w związku z modnymi dietami keto.

– Tak naprawdę nie ma nic złego w samym mięsie – o ile jest ono dobrej jakości i nieprzetworzone. Przypuszczam jednak, że tak jak u nas, i w Polsce żywność jest mocno przetworzona. Szynki, salami, burgery, kiełbasy, mięso z hodowli przemysłowych.

Badania jasno pokazują, że te produkty zwiększają ryzyko raka i chorób serca. Wynika to najprawdopodobniej ze słabej jakości tłuszczów, które się do nich dodaje, oraz z chemikaliów używanych do ich łączenia – dzięki czemu mięso jest tańsze, ale dużo gorszej jakości niż 50 lat temu.

Ceny mięsa mówią za siebie: tego w supermarkecie i ekologicznego w sklepie ze zdrową żywnością – różnica jest ogromna. Kurczak może kosztować tam dziesięć razy więcej.

– Tak, w Wielkiej Brytanii jest podobnie. Całego kurczaka można kupić za tyle, ile kosztuje kufel piwa. Rosół z takiego kurczaka nie smakuje dobrze.

Dlatego powinniśmy płacić więcej za mięso. Jest ono mocno subsydiowane przez rząd, podatników i Unię Europejską, więc płacimy za nie ukrytymi kosztami. Cena jest więc sztucznie zaniżona.

Ale główny problem polega na tym, że jeśli będziemy jeść niewielką ilość przetworzonego mięsa codziennie, nawet dobrej jakości, to nadal nie jest to zdrowe, bo wtedy na talerzu brakuje miejsca na rośliny.

Twoje mikroby jelitowe nie patrzą, czy masz jedną czy dziesięć porcji mięsa, ale czy na talerzu znajduje się mniej różnorodnych roślin. I to jest moja główna idea – że każdy kawałek mięsa na talerzu jest porażką, bo zmniejsza udział roślin w diecie.

W latach 80. i 90. firmy spożywcze przeprowadziły wielką kampanię reklamową, że niby owsianka obniża poziom cholesterolu

Lepiej dla naszego zdrowia, aby część posiłków była oparta głównie na roślinach. Zrobiliśmy duże badanie z firmą ZOE, w którym porównaliśmy wegan, wegetarian i osoby jedzące mięso – 25 tysięcy osób. To już duża próba.

Sprawdzaliśmy zdrowie jelit i okazało się, że weganie i wegetarianie mieli lepszy stan mikrobiomu niż mięsożercy. Ale 1 proc. osób z najzdrowszym mikrobiomem to byli mięsożercy, którzy jedli dużo roślin.

I to w sumie dobrze oddaje moją filozofię – ja sam jem mięso, nieprzetworzone, raz lub dwa razy w miesiącu. Czuję się świetnie.

A co z alkoholem? To kolejny trudny temat. Teraz panuje przekonanie, że nawet niewielka ilość jest szkodliwa. Szczerze mówiąc, ostatnio boję się wypić kieliszek wina.

– Picie więcej niż dwóch jednostek dziennie byłoby zdecydowanie szkodliwe. Jeżeli pijesz kieliszek wina dziennie, to myślę, że może jedna na tysiąc osób miałaby z tego powodu problemy.

Moje stanowisko jest następujące – jeśli już pijesz, wybieraj czerwone wino albo cydr, bo zawierają mikroby oraz polifenole.

Pamiętam niedawną dyskusję o resweratrolu. Kolejny naukowiec, specjalista od wiecznej młodości zarobił miliony.

– A to kolejny mit. Przecież resweratrol to tylko jeden z około stu związków polifenolowych – świetny przykład tego, jak oszukuje się ludzi. Możemy go wyekstrahować, wymyślić historię o resweratrolu, powiedzieć, że Francuzi żyją dłużej niż Brytyjczycy czy Polacy.

Oczywiście, że to nieprawda i woda na młyn dla wszelkiej maści „specjalistów". Wszystkie te związki razem, polifenole, są dla nas korzystne, służą naszym mikrobom jelitowym i prawdopodobnie właśnie dlatego picie kieliszka czerwonego wina zmniejsza ryzyko chorób serca.

Ale jeśli czujesz się źle po alkoholu, masz kaca czy cokolwiek ci dolega, nie pij. Ja zazwyczaj dwa dni w tygodniu nie piję, ale pozwalam sobie na kombuchę albo piwo o niskiej zawartości alkoholu – są teraz coraz lepsze.

A przez resztę czasu piję jeden lub dwa kieliszki czerwonego wina i czuję się dobrze. Ale wiem też, że jeśli wypiję trzy, to boli mnie głowa, więc tego nie robię.

W moim przypadku ta równowaga działa – ryzyko jest niewielkie, a przyjemność z wypicia dobrego kieliszka czerwonego wina jest dla mnie ważniejsza. Poprawia smak posiłku, sprawia, że moje życie staje się bardziej urozmaicone – to są ważne rzeczy, które trzeba brać pod uwagę, zamiast sprowadzać wszystko do rozmowy o zawartości alkoholu.

Trzeba też pamiętać o innych aspektach jedzenia i picia – o tym, że jesteśmy istotami społecznymi. W krajach śródziemnomorskich wszyscy regularnie piją piwo i wino w gronie przyjaciół, również starszych, na emeryturze. Nie możemy mieć zbyt wielu restrykcyjnych zasad, które zmieniają naszą kulturę.

Akurat naszej kulturze przydałyby się restrykcyjne zmiany dotyczące alkoholu.

Chcę zapytać pana o liczenie kalorii. W Polsce, gdy idziesz do dietetyka, najczęściej otrzymujesz listę produktów z wyliczoną ilością kalorii. I wciąż uważa się to za najlepszy sposób na zgubienie kilogramów.

– Powinniśmy się pozbyć tego systemu już 20 lat temu. Badania naukowe pokazują jasno, że liczenie kalorii nie działa i że jest to najgorszy sposób, by schudnąć. Właśnie dlatego Weight Watchers, firma, która była globalną korporacją – zbankrutowała.

Ludzie, którzy liczą kalorie, tracą na wadze krótkoterminowo, ale ich głód rośnie, metabolizm zwalnia, stają się coraz bardziej głodni, a potem znowu przybierają na wadze, i to zwykle więcej, niż ważyli na początku.

Wiemy już, że kluczowe jest zmniejszenie głodu, a nie jego zwiększanie. A żeby zmniejszyć głód, trzeba zmienić to, co się je – liczy się jakość jedzenia. Jakość jedzenia zawsze wygrywa z kaloriami. Można zjeść dwa posiłki o identycznej liczbie kalorii, ale jeśli jeden jest wysoko przetworzony, a drugi nie, ten przetworzony sprawi, że zjesz o wiele więcej.

Dobrej jakości jedzenie, nieprzetworzone, niezawierające dużo cukru cię nasyci. Jeśli dostarczysz sobie błonnik i twoja dieta będzie przyjazna dla jelit, to uczucie głodu będzie mniejsze. A jeśli zmniejszysz głód, tracisz na wadze.

A co pan sądzi o lekach typu Ozempic? Jego substancja czynna nie tylko pomaga obniżyć poziom cukru we krwi, wspierając kontrolowanie cukrzycy, ale też jednocześnie przyczynia się do obniżenia masy ciała.

– Ma to związek z właściwościami hamującymi apetyt. Ten lek odnosi taki sukces, bo jego twórcy odkryli, co dokładnie sprawia, że się przejadamy. Udało im się przerwać ten łańcuch. Tak działa przetworzona żywność, niskokaloryczne i niskotłuszczowe produkty z supermarketów. My musimy zrobić to samo i zrozumieć, że sygnał apetytu jest najważniejszy.

To dobre leki, tylko nadużywane. Jeśli jednak nie będziemy zapobiegać otyłości u dzieci i będziemy musieli je leczyć jednym z tych leków, to byłoby katastrofą. Powinniśmy zmienić system, żeby za 20 lat nie trzeba było tych leków stosować. Smutne jest to, że zamiast reformować nasz system żywienia i edukacji, oddajemy wszystkie pieniądze firmom farmaceutycznym.

Książka „Jeść zdrowo" jest także o pana osobistych doświadczeniach, problemach zdrowotnych i spersonalizowanych dietach. Podoba mi się zdanie: „Żadne dwa jabłka nie będą identyczne pod względem właściwości odżywczych, a żadne dwie osoby nie zareagują identycznie na ich spożycie". Czy to oznacza, że każdy z nas powinien zwrócić się o pomoc do dietetyka?

– Każdy z nas jest inny. W Wielkiej Brytanii założyłem firmę, która wykonuje spersonalizowane testy zdrowotne. Używaliśmy monitorów glukozy i badaliśmy poziom tłuszczów we krwi, a następnie podawaliśmy uczestnikom standardowy posiłek. Zrobiło to 300 tysięcy ludzi i okazało się, że reakcje na cukry, węglowodany czy tłuszcze różnią się między ludźmi nawet dziesięciokrotnie.

Najlepszy przykład mam we własnym domu. Moje reakcje na węglowodany są bardzo złe – babcia miała cukrzycę typu 2. Kiedy jadłem śniadania bogate w węglowodany – sok pomarańczowy, tosty i musli – to po trzech godzinach byłem głodny, zmęczony i źle się czułem. Musiałem zjeść wcześniejszy lunch, potem znowu kanapki, po czym znów miałem nagły spadek energii.

Kiedy jedliśmy śniadania bogate w węglowodany – sok pomarańczowy, tosty i musli – po trzech godzinach byłem głodny i zmęczony. Moja żona wręcz odwrotnie

Dopiero po wykonaniu testu zrozumiałem, że to właśnie z tego powodu. Z kolei moja żona – zupełnie inaczej. Może zjeść takie śniadanie bez żadnego skoku cukru. Może jeść dużo chleba i nic jej nie jest.

Od tamtej pory całkowicie zmieniłem swoje śniadania. Myślę więc, że personalizacja ma duże znaczenie, ale to tylko kawałek większej układanki.

Poleciłby pan noszenie monitora glukozy każdemu?

– Warto to zrobić raz – żeby zobaczyć, jak dana osoba reaguje na różne produkty, które uważa za zdrowe lub niezdrowe, ale więcej niż jeden raz raczej nie ma sensu.

W Anglii potrafimy przewidzieć, jaka jest reakcja na poziom cukru w jedzeniu na podstawie składu mikroflory jelitowej, więc teraz monitor glukozy nie jest już nawet potrzebny. Można to odczytać z bakterii jelitowych danej osoby. I to badanie polecam, jeśli tylko możesz sobie na nie pozwolić. To coś, co pomoże zmienić podejście do jedzenia i da sygnał do działania w kierunku zdrowego życia.

To podsumowując: jak żyć zdrowo?

– Jeśli źle sypiasz, wpłynie to na twój wybór jedzenia i sposób, w jaki organizm je wykorzystuje. Po przebudzeniu będziesz mieć ochotę tylko na cukier. I na niezdrowe tłuszcze.

Ćwiczenia również wpływają na to, jak organizm reaguje na jedzenie. Aby dieta była skuteczna, wszystko musi być w równowadze. ●

1 RP

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 4d6b712057

GDZIE RENIFER GASI ŚWIATŁO

W samolocie z Helsinek do Rovaniemi jest kilka polskich rodzin z małymi dziećmi. Ekscytacja jest duża, bo przecież lecą na spotkanie ze Świętym Mikołajem. Ale Rovaniemi to nie tylko Santa Claus Village.

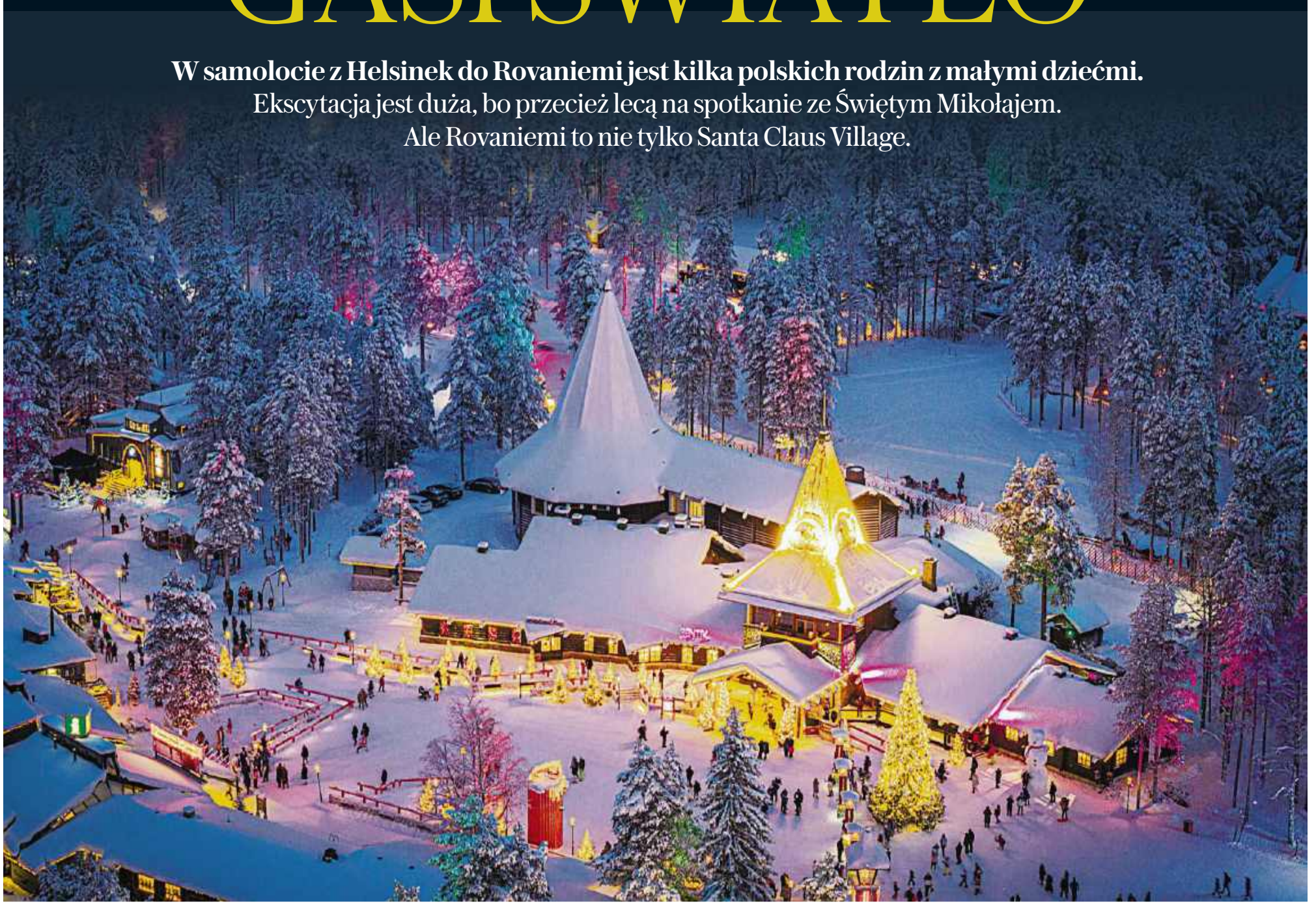

• **Wioska Świętego Mikołaja w Rovaniemi, główny plac przed Christmas House** FOT. ROBERTO MOIOLA / SYSAWORLD / GETTY IMAGES

Grażyna Żabińska

KORESPONDENCJA Z ROVANIEMI

Koniec listopada. Lotnisko w Rovaniemi, stolicy Laponii, nie jest duże. Pierwsze, co widzimy, to wielkie sanie, ustawione na szczycie pasa transmisyjnego do odbioru bagażu. Są wypełnione prezentami, których drugie tyle leży obok, Po wyjściu z lotniska od razu rzuca się w oczy ustawiony na wzgórzu wielki neon z biegnącymi reniferami. Wszystko zasypane. Nie pamiętam, kiedy widziałam tyle śniegu. W Warszawie o tej porze roku plucha.

Wylądowaliśmy o 15, wtedy tu jest już ciemno. Do tego najtrudniej będzie się przyzwyczaić, że czas będziemy spędzać głównie w ciemności. Jakbyśmy żyli tylko wieczorem. Coś, co nazywamy dniem, trwa teraz może 4-5 godzin. Jasno robi się nagle ok. 9 i ok. 13 znowu zapada ciemność.

A poza tym jest tu dokładnie tak, jak we wszystkich opowieściach o dalekiej Północy. Ciszę można kroić nożem, jedzie się kilometrami, nie widząc niczego poza ośnieżonymi drzewami, od czasu do czasu gdzieś pojawiają się kolorowe domki. Tylko ścisłe centrum Rovaniemi to klasyczne miasto z niskimi blokami. No jak w miasteczku Wilanów. I śnieg. Pisałam już, że wszędzie leży śnieg?

Mikołaj zaprasza do biura

Trzeba przyznać, że Finom udało się przekonać cały świat, że to właśnie u nich mieszka Święty Mikołaj. To gigantyczny sukces PR-owy, który Finowie zawdzięczają swojemu refleksowi i wytrwałości.

Santa Claus Village leży 2,5 km od lotniska i 8 km od centrum miasta, ale łatwo się tu dostać specjalnymi autobusami. Sama wioska to po prostu zimowy park rozrywki dla dzieci, tylko na Kole Podbiegunowym (no prawie). Co oznacza możliwość korzystania ze wszystkich zimowych aktywności.

Wstęp jest wolny – płacić trzeba za poszczególne atrakcje i tanio nie jest. Na przykład: krótki przejazd saniami z reniferami to ok. 30 euro, z psami husky od 60 do 110 euro, aż po 199–359 euro za całodzienne snowmobile safari. Cena zależy długości trasy i od tego ile godzin ma trwać wycieczka.

Samego Mikołaja można spotkać w jego oficjalnym biurze lub Christmas House – biuro jest otwarte cały rok, a zimą prezentuje się wyjątkowo urokliwie dzięki świątecznym dekoracjom. Trzeba do Mikołaja stanąć w kolejce, a ruchem kierują elfy i śnieżynki. Spotkanie jest bezpłatne, ale już zrobienie sobie z nim profesjonalnego zdjęcia kosztuje. Na przykład: dla jednej osoby to 25 euro, jeśli od razu chcemy wydruk do ramki to 40 euro, chyba najbardziej opłaca się fotografia zbiorowa, bo pięcioosobowa grupa zapłaci 55 euro.

Na placu przed Christmas House można też symbolicznie przekroczyć koło podbiegunowe [bo prawdziwe jest 6 kilometrów dalej], dostać certyfikat i pamiątkową fotografię.

Atrakcją jest też mikołajowa poczta. Na wielkim regale dzieci zostawiają napisane we wszystkich językach świata listy z prośbami do Świętego (adres: Tähtikuja 1, 96930 Arctic Circle, Finland). Dorośli zaś okupują stoły, żeby usiąść i napisać kartki do bliskich, a potem

Podcast Poznajmy naszą Europę

• Alicja Dąbrowska podróżniczka i redaktorka działu zagranicznego „Wyborczej" w podcaście **Poznajmy naszą Europę** odwiedza ze swoimi gośćmi kraje Unii Europejskiej. Przygląda się kulturze i obyczajom stroniąc od polityki i utartych opinii.

Znajdziecie go na **Wyborcza.pl/podcast i platformach streamingowych.**

Nowy odcinek: rozmowa z **Päivi Laine**, ambasador Finlandii, o szacunku do przyrody, Muminkach i wyjątkowym fińskim wzornictwie.

eprasa.pl 4d6b712057

▲ W Rovaniemi nie zostaje się Mikołajem tak po prostu. Trzeba najpierw skończyć „szkołę dla Mikołajów". W wiosce jest ich kilku, pracują na zmiany i są atrakcją także na prywatnych imprezach

◀ Regał z listami do Mikołaja na mikołajowej poczcie. To jedno z najbardziej obleganych miejsc w wiosce. Szybko się zapełnia listami we wszystkich językach

▶ Normalnie renifery raczej nie pozwolają tak blisko do siebie podejść obcym osobom. Ten w zaprzęgu nie chodził, jego zadaniem było pozowanie do zdjęć z turystami, dlatego mogłam go pogłaskać

FOT. MATERIAŁY DISNEY+ (5)

wrzucić je do jednej z dwóch stojących wewnątrz skrzynek. Jeśli Finlandia słynie z ciszy, to trzeba z tego wyłączyć tę wioskę. Tu gwarno jest jak w ulu.

Jeśli kartki załatwione, to idziemy kupować pamiątki, albo coś zjeść w jednej z wioskowych restauracji i dalej szukać świątecznej atmosfery. Niestety, nie zobaczyłam słynnej lodowej restauracji i baru (Ice Restaurant & Ice Bar) w Arctic Snow Hotel, bo jeszcze były zamknięte (czynne od 15 grudnia do 31 marca). Po wiosce spaceruje się urokliwie oświetlonymi alejkami, między sklepami, kafejkami, lodowiskiem czy szałasami, w których mogą się bawić dzieci. Jest też wybieg z reniferami, no i historyczny domek Eleanor Roosevelt Cottage (za chwilę o tym, skąd nazwa), przy którym koniecznie trzeba się zatrzymać.

Co roku tylko w sezonie zimowo-świątecznym wioskę odwiedza podobno ponad pół miliona turystów, choć czynna jest cały rok. Tylko jeśli przyjedziemy w lipcu czy sierpniu, to zamiast łyżew, kuligów, jazdy psimi bądź reniferowymi zaprzęgami czy łowienia ryb w przeręblu mamy pikniki i grillowanie, rowery, kajaki i saunę nad rzeką.

Najpierw był kozioł

Mikołaj w wersji czerwony kubraczek i biała broda nie ma nic wspólnego z prawdziwymi mieszkańcami Laponii Saamami. Może z wyjątkiem sań zaprzężonych w renifery. Ale w fińskim folklorze Mikołaj był obecny od dawna, tylko powiedzmy, że przez lata przeszedł ogromną metamorfozę.

W dawnych lapońskich wierzeniach pojawiała się postać Joulupukki („Bożonarodzeniowy Kozioł"), związana z pogańskimi obrzędami zimowymi. Joulupukki był początkowo przebranym mężczyzną w masce kozła, który w okresie bożonarodzeniowym chodził po domach, prosił o jedzenie, zbierał datki i czasem straszył dzieci.

W XIX wieku, pod wpływem kultury europejskiej Joulupukki stał się człowiekiem. Już nie straszył nikogo, tylko rozdawał prezenty, a z kozła została mu tylko nazwa. Choć strojem nadal się nie wyróżniał.

Dopiero w latach 50. XX wieku przeszedł amerykański lifting i zaczął przypominać Świętego Mikołaja (Santa Claus) – starszego, brodatego mężczyznę w czerwonym stroju. Fińska wersja zachowała jednak lokalny charakter: Mikołaj – to pomysł fińskiego dziennikarza radiowego Markusa Rautio – mieszkał nie na Biegunie Północnym, lecz na górze Korvatunturi (Laplandia), „Górze-Uchu", skąd „słyszał" dzieci na całym świecie.

Poza tym w przeciwieństwie do Amerykanina nie wchodzi przez komin i nie woła „Ho, ho, ho!", ale puka do drzwi i pyta: „Czy są tu grzeczne dzieci?". Jego renifery nie latają, ale ciągną sanie po śniegu. Fiński święty Mikołaj stanowi zatem połączenie lokalnych pogańskich wierzeń, chrześcijańskiej tradycji Świętego Mikołaja z Miry i amerykańskiej popkultury.

Jak zarobić na Mikołaju

Pomysły, żeby Mikołaja z Laponii uczynić symbolem fińskiej turystyki świątecznej, pojawiały się jeszcze przed II wojną, ale po wojnie pomysł przycichł. Turystyka owszem, miała pomóc w powojennej odbudowie gospodarki, ale stawiano na surową i piękną przyrodę, białe noce czy polowanie na zorzę. Dopiero w latach 60. dziennikarz Niilo Tarvajärvi pojechał na wycieczkę do Disneylandu i tak mu się spodobało, że postanowił podobny park rozrywki urządzić w Laponii.

Ponieważ po II wojnie góra Korvatunturi znalazła się na granicy fińsko-rosyjskiej, trudno było ją zagospodarować i coś tam zbudować, a także w ogóle dojechać, szukano nowego miejsca i tak Święty przeprowadził się do Rovaniemi (choć wciąż na „stary adres" trafiają co roku tysiące listów od dzieci).

Rovaniemi leży na kole podbiegunowym, co już stanowi turystyczną atrakcję. Ponieważ Niemcy całkowicie zniszczyli miasto w czasie wojny, fiński architekt Alvar Aaalto zaprojektował je na nowo – i Rovaniemi z góry przypomina głowę renifera, gdzie drogi imitują poroże, zaś miejski stadion oko.

Tarvajärvi założył firmę Joulumaa Oy, która miała wprowadzić w czyn jego ambitny zamysł – stworzenie krainy Świętego Mikołaja. W realizację parku włożył wszystkie swoje pieniądze, ale jak to bywa z wizjonerami, niestety zbankrutował. I to dość szybko.

Santa Claus Village powstała dopiero w latach 80., kiedy ideę wsparła fińska Izba Turystyczna, a rząd postanowił promować Laponię jako „prawdziwy dom Mikołaja". Założono szkołę dla Mikołajów, żeby uczyli się zawodu, a potem wysłano ich w świat, żeby się pokazywali na wszystkich uroczystościach związanych z zimą i świętami. Dziś Santa Claus Village to oficjalna i globalna fińska marka, a droga, którą stamtąd można dostać się do SantaPark, podziemnego parku rozrywki leżącego nieopodal, na cześć Tarvajärviego nazywa się Tarvantie.

A co z Eleanor Roosevelt? Wdowa po prezydencie USA Franklinie D. Roosevelcie przyjechała do Rovaniemi w 1950 roku, bo chciała zobaczyć odbudowę zniszczonego miasta. W pośpiechu zbudowano dla niej domek, który później stał się początkiem świątecznej wioski. I teraz od niego zaczyna się jej zwiedzanie.

Wszystkiego trzeba spróbować

Kiedy byłam w Rovaniemi, temperatura najczęściej wahała się w okolicach 15-20 stopni poniżej zera. Mróz szczypał w twarz, ale

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

◀ **Jazda skuterami przez zaśnieżony las i po zamarzniętych jeziorach to jedna z atrakcji, której trzeba spróbować. W specjanych kombinezonach i butach nie czuje się, że na dworze jest minus 20 stopni**

▶ **Wiata nad zamarzniętą rzeką Ounasjoki, w której dzielnie przez pół nocy biwakowaliśmy czekając aż pojawi się zorza. Polowanie na zorzę nam się jednak nie udało.**

„nie ma złej pogody, jest tylko złe ubranie". A tu z zimowymi atrakcjami można naprawdę poszaleć – jeśli się ma ochotę i pieniądze. Jeśli chcesz korzystać z jakieś aktywności np. przejechać się skuterami, zaprzęgiem reniferów czy psów husky, pójść na wyprawę na śnieżnych rakietach, czy wybrać się na skitury – przy wypożyczeniu sprzętu zaproponują ci ciepłe kombinezony, buty, dodatkowe rękawice. Przydadzą się też ochraniacze na buty, bo śnieg bywa tak głęboki, że zapada się w nim po kolana.

Nam podczas tych wszystkich wypraw do lasu dopisała pogoda – żadnej zawieruchy. Kiedy jechaliśmy saniami, słychać było tylko skrzypienie płóz na śniegu. Umiłowanie ciszy udzieliło się każdemu. Nikt nie odważył się rozmawiać. Ale prawda taka, że to surowe piękno ośnieżonego krajobrazu w blasku księżyca zapiera dech. Tundra jest magiczna. Podziwiasz, ale czujesz grozę.

Przed wyprawą z reniferami uprzedzono nas, że musimy bardzo uważać z głaskaniem tych zwierząt. Trzeba się tak ustawić, żeby nie potraktowały cię jak wroga. Bo nie będzie miło. Na szczęście nasze były z obcymi, czyli turystami, oswojone.

– Nigdy nie chciał pan stąd wyjechać? – zapytałam po kuligu właściciela farmy reniferów.- Nie. W Finlandii wszystko mamy najlepsze. Szkoły, domy i sauny. Kto by chciał wyjeżdżać? – odpowiedział.

Nie udało mi się tylko jedno: polowanie na zorzę. Aplikacja pokazywała, że prędzej czy później się pokaże, ale cztery godziny koczowania na mrozie na środku zamarzniętej rzeki nie wystarczyły. Niebo było zachmurzone i nic nie zobaczyliśmy. Cóż, jest powód, żeby tam wrócić. ●

W naszym cyklu opublikowaliśmy już opowieści niemieckie i włoskie oraz trzy opowieści fińskie: reportaż o Oodi - niesamowitej bibliotece w Helsinkach, czym dla Finów jest cisza i sauna, a dzisiaj wycieczkę do Rovaniemi. Wszystkie teksty na Wyborcza.pl

Za tydzień – fińska kuchnia, a w numerze wigilijnym (23 grudnia) wyprawa szlakiem Muminków

Ważne informacje

Mikołajowa wioska
- Jest otwarta codziennie, bezpłatnie przez cały rok
- Okres 1 października – 14 listopada: najczęściej godz. 10:00–17:00.
- Sezon szczytowy (1 grudnia – 5 stycznia): wydłużone godziny, np. 9:00–20:00.
- W międzysezonie (np. styczeń–marzec, kwiecień–maj) otwarte zwykle 9:00–18:00 lub 10:00–17:00 zależnie od obiektu.

Rovaniemi
- Leży w północnej Finlandii, przy zbiegu rzek Kemijoki i Ounasjoki, 6 km na południe od koła podbiegunowego (66 30′N). Stolica regionu lapońskiego; piąte co do wielkości miasto w Finlandii (ok. 8 017 km²), ale z niską średnią gęstością zaludnienia – ok. 10 mieszkańców na km². W czerwcu 2025 roku mieszkało tam ok. 65 670 osób.

Popularne miejsca w okolicy:
- Arktikum – muzeum i centrum naukowe
- ArktycePilke – interaktywne centrum lasu
- Ounasvaara – kompleks narciarski, szlaki turystyczne
- Ranua Wildlife Park – park z arktycznymi zwierzętami (niedźwiedzie, renifery)
- Angry Birds Park – park rozrywki inspirowany grą
- Santa Claus Village

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 4d6b712057

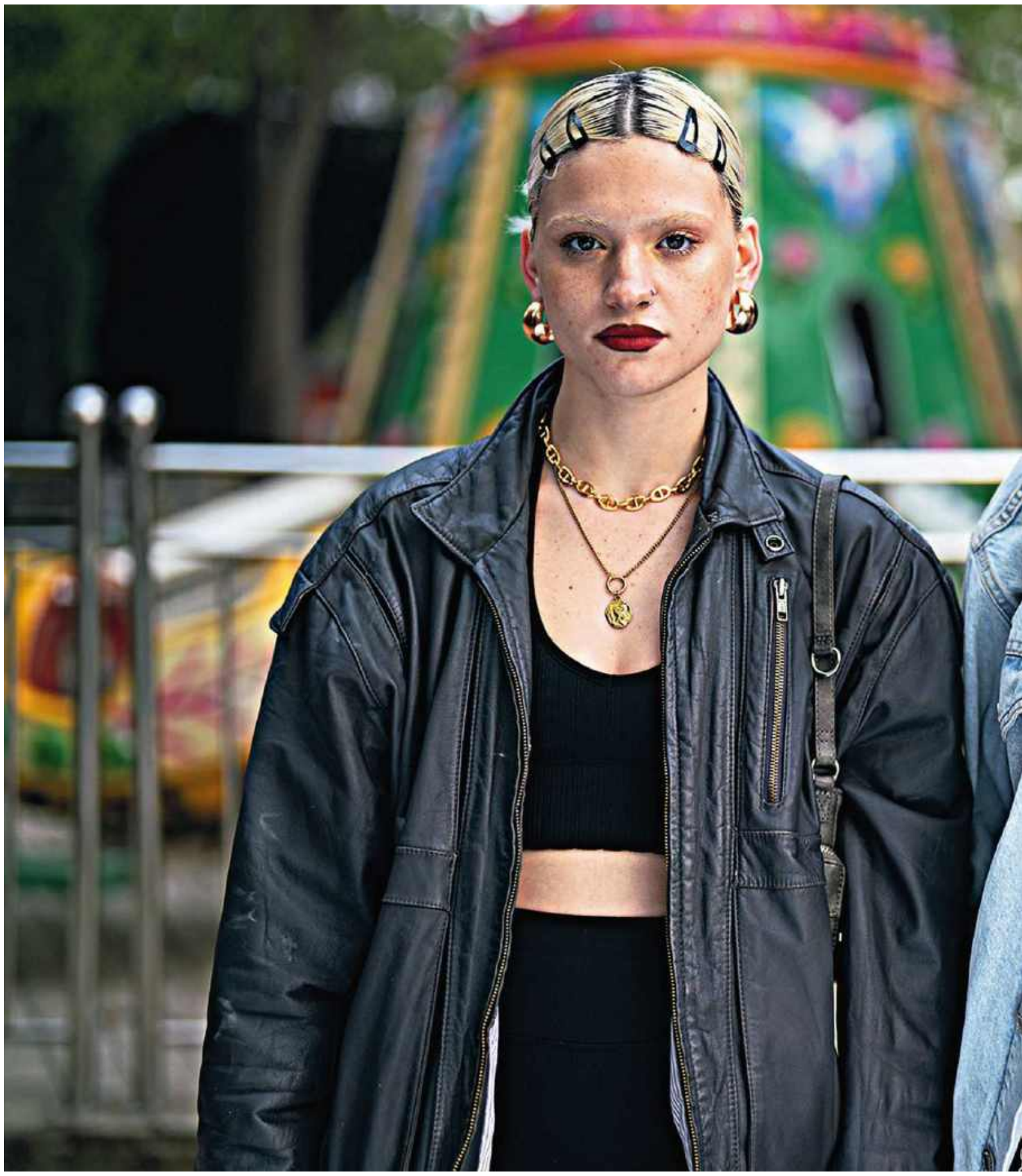

POMÓŻ MI ODNALEŹĆ MOJE DZIECKO

Ano natknęła się na zdjęcie dziewczyny uderzająco podobnej do siebie, w studiu piercingu. **Spotkały się**

1 RP

Edyta Bryła
Agnieszka Urazińska

Przed szarym betonowym budynkiem tłum kobiet. Zmęczone życiem twarze. Posiwiałe włosy. Stoją przed szpitalem położniczym w mieście Gori w Gruzji. Wszystkie rodziły tu dzieci. Żadna nie wyszła ze szpitala z noworodkiem.

Powiedziano im, że dzieci zmarły. – Gdy dziecko traci matkę, mówi się, że zostało osierocone – mówi Jowita Baraniecka, scenarzystka filmu „Skradzione dzieci". – Na matki, które tracą dzieci, nie ma odpowiedniego słowa.

„Od czasów sowieckich setki tysięcy dzieci mogło zostać sprzedanych" – informuje prezenter wiadomości w gruzińskiej telewizji. I nie, to nie sensacyjny serial. Jest 2021 rok. W Gruzji wybucha skandal. Tamuna Museridze, 39-letnia dziennikarka, odkryła po śmierci swoich rodziców, że nie była z nimi spokrewniona. Została adoptowana, co rodzina ukrywała przed nią przez całe życie. Tamuna postanowiła odszukać swoich biologicznych rodziców i dokopała się do szokującej prawdy: adopcja była nielegalna, adopcyjni rodzice za nią zapłacili. I że od czasów sowieckich takich adopcji były dziesiątki, setki, może tysiące. W niewielkim kraju, Gruzji liczącej 3,7 miliona ludzi. Uparta dziennikarka odkrywała kolejne szokujące fakty: wiele dzieci zostało wykradzionych. Matkom mówiono, że noworodek zmarł przy porodzie. Albo że kobieta nie była w ciąży bliźniaczej, tylko pojedynczej.

Tamuna spotyka się właśnie z grupą takich kobiet. Słychać głosy:

– Ja rodziłam w 2006 roku.

– Ja w 2005.

– W 1979,...

– W 1991..

– Powiedzieli, że dziecko jest wcześniakiem i umieścili w inkubatorze. Ja zostałam wypisana. A gdy przyszłam w odwiedziny, powiedzieli, że dziecko nie żyje....

– Urodziłam dużego, zdrowego chłopca z czarnymi włosami. Zważyli, zmierzyli, założyli opaskę. A trzy dni później, gdy spytałam o dziecko, powiedzieli, że nie żyje. Od tego dnia mam złamane serce. Matczyny instynkt podpowiadał, że on żyje. Błagam, pomóż mi odnaleźć moje dziecko.

– To one, te matki są najtragiczniejszymi postaciami w tej historii – mówi Tamuna Museridze, która od czterech lat nagłaśnia sprawę skradzionych dzieci. Dociera do kolejnych okradzionych rodziców. Pośredniczy w robieniu testów DNA. Za pośrednictwem założonej przez siebie grupy internetowej VEDZEB (liczącej już ponad 300 tysięcy osób, notującej ponad 2 miliony odwiedzin w miesiącu) kontaktuje poszukujących rodziców i dzieci, które mogły zostać skradzione. Dzięki temu już ponad 1200 dzieci znalazło biologicznych rodziców.

Scena przed szpitalem to kadry z filmu. Bo przez dwa lata polska ekipa filmowa towarzyszyła Tamunie i tak powstał film dokumentalny HBO Original „Skradzione Dzieci", którego autorkami są Martyna Wojciechowska, dziennikarka i podróżniczka oraz Jowita Baraniecka, producentka. Pisały scenariusz, zajmowały się reżyserią.

– W 2024 roku na naszej grupie, na której wymieniamy tematy z dziewczynami z programu „Kobieta na krańcu świata", zrobiło gorąco – wspomina początki Jowita Baraniecka. – W tym samym momencie wysyłałyśmy do siebie link „Bliźniaczki w Gruzji odnalazły się po 19 latach" i już samo to wydało nam się bardzo ciekawym tematem. Później okazało się, że stoi za tym także historia Tamuny, absolutnie niezwykła, a także jej śledztwo i skandal, który odkryła.

– Już w pierwszym dniu zdjęć, gdy stałyśmy pod szpitalem w Gori, w tłumie matek,

eprasa.pl 4d6b712057

• **Ani i Amy, bliźniaczki, przez lata nie wiedziały o swoim istnieniu, choć je przeczuwały** FOT. MATERIAŁY PRASOWE HBO MAX

które straciły swoje dzieci, wiedziałyśmy, że to czubek góry lodowej, że to historia tak głęboka i niesamowita, że po prostu trzeba ją opowiedzieć – dodaje Martyna Wojciechowska. – To, że Tamuna zgodziła się, by towarzyszyć jej z kamerą w poszukiwaniach biologicznych rodziców, to jest kolejny przywilej w moim życiu.

– Chcę wierzyć, że rodzice adopcyjni, choć płacili i wiedzieli, że adopcja jest nielegalna, to nie mieli świadomości, w jak okrutny sposób się ona odbywa. Zwykle mówiono im, że otrzymują porzucone niemowlęta – mówi Baraniecka. Najbardziej szokująca była dla niej perspektywa biologicznych matek, które traciły dzieci: – Jedna z nich opowiadała, że znajoma położna przestrzegała ją przed szpitalem w Gori, ale nie chciała powiedzieć, dlaczego. Inna, zapamiętała, że nocami pod szpital podjeżdżały samochody. Słychać było krzątaninę. Dramatycznych historii było bardzo dużo i niełatwo było wybrać przy montażu te, które znajdą się w filmie.

Historia bliźniaczek, Amy i Ano, to ważna część filmu i symbol tragedii skradzionych gruzińskich dzieci. Rozdzielone po narodzinach – najbardziej prawdopodobne jest, że gdy matka po porodzie zapadła w śpiączkę, biologiczny ojciec sprzedał córki – trafiły do rodzin adopcyjnych i nie miały pojęcia o swoim istnieniu.

– Byłam dziwnym dzieckiem. Widziałam rzeczy, których nie widział nikt inny. Jako dziecko czułam, że towarzyszy mi mała dziewczynka, która była moją przyjaciółką – mówi Amy.

Ano marzyła, by mieć siostrę bliźniaczkę i nawet, jako trzylatka, oświadczyła mamie, że ją ma. A gdy Amy przez przypadek zobaczyła Ano – tak podobną do siebie – tańczącą w gruzińskim „Mam Talent", czuła, że to nie może być zbieg okoliczności. – Wiedziałam, że jest moją siostrą. Ale rodzice mówili, że nie. Nie mieli pojęcia o bliźniaczce – mówi.

Straciłam matkę trzy razy

Kobiety, które nigdy nie były w ciąży, dowiadują się, że dzieci ich szukają. Wyobrażasz sobie szok tych rodzin?

Z **TAMUNĄ MUSERIDZE** ROZMAWIA **EDYTA BRYŁA**

Nikt inny nie zajmował się tym tematem? Dopiero twój przypadek sprawił, że o sprawie zrobiło się głośno?

Tamuna Museridze: Mnóstwo ludzi wiedziało, ale wszyscy milczeli. Nie wiem dlaczego. Może się czegoś albo kogoś bali. Niektóre kobiety opowiadały, że gdy rodziły w szpitalu, ich mężowie byli blisko, bo wiedzieli, że ich dziecko może zostać ukradzione. Ale nikt o tym nie mówił publicznie. Ja nigdy o tym nie słyszałam, dopiero gdy się dowiedziałam, że jestem adoptowana. Pracowałam w telewizji, prowadziłam programy śniadaniowe, zajmowałam się tematami kulturalnymi i lifestyle'em.

Kiedy zaczęłam szukać biologicznych rodziców, nie myślałam, że będę pomagać też innym. Jednak od mojego przypadku wszystko się zaczęło, bo odkryłam, że adoptowanych dzieci jest zbyt wiele.

Chciałam zrobić o tym program. Ale dyrektorzy mówili mi, że nie, bo nie ma aż tylu dzieci. Zwolnili mnie, bo tak bardzo nie chcieli, żebym robiła ten program.

Chcieli cię uciszyć?

– Tak. Bo niektórzy ludzie, którzy w latach 90. byli na czele struktur związanych z nielegalnymi adopcjami dzieci, nadal byli wpływowi. Niektórzy mają obecnie stanowiska w rządzie. I moi szefowie nie chcieli, żebym się wychylała.

Nie przyszło im do głowy, że się nie zatrzymam i będę ciągnąć sprawę na własną rękę. Ani że skończy się tym, że w Polsce ktoś zrobi o nas film dokumentalny. To dla Gruzji niezwykłe, żeby pokazywać nasze sprawy w innych krajach. Nigdy nie były aż tak nagłaśniane.

Mówisz, że nawet 100 tysięcy dzieci mogło być ukradzionych.

– Tyle matek ich szuka.

Gdyby dodać ojców, rodzeństwo, wnuczęta, babcie i dziadków, tragedie dotyczyć mogły nawet miliona ludzi w Gruzji. To problem narodowy.

– Pytasz, dlaczego w Gruzji skala była tak duża? Jeśli chodzi o sprzedaż gruzińskich dzieci za granicę, to panowała opinia, że są bardzo zdrowe. Zwłaszcza amerykańscy i kanadyjscy rodzice pytali właśnie o nie.

Ale podobne procedery były też w innych krajach, na przykład w Hiszpanii w 2017 roku ujawniono ogromną skalę kradzieży dzieci. Tam zajmowały się tym zakonnice.

Pada w filmie, że na młode pary wywierana jest ogromna presja, aby szybko mieć dziecko.

– Tak, kiedyś w Gruzji uważano, że jeśli przez pierwszy rok kobieta nie zaszła w ciążę, to była to jej wina. Kobiety szukały więc sposobów, by znaleźć dziecko do adopcji. Dlatego mamy w Gruzji tak wiele pierwszych adoptowanych dzieci, a drugie, trzecie i kolejne są biologiczne. Nie uwierzyłabyś, jak wiele jest takich rodzin.

I dlatego matki nie mogą teraz odnaleźć swoich dzieci, bo tym dzieciom nie przyjdzie do głowy, że mogłyby być jedynymi niebiologicznymi wśród tylu rodzeństwa. Dlatego nie robią testów DNA i nie szukają rodziców.

Kto był za to odpowiedzialny?

– Sowieci. Przed upadkiem ZSRR dzieci były sprzedawane i adoptowane w Gruzji, po 1994 roku zaczęto je sprzedawać też za granicę. Zajmowali się tym wciąż ci sami ludzie co wcześniej, bo część z nich wróciła do władzy. Dzieci najpierw zabierano do Rosji, na lotnisko Szeremietiewo, a stamtąd wysyłano do Kanady i USA.

Winni poniosą konsekwencje?

– Przed 2006 rokiem w Gruzji nie istniało w prawie pojęcie „handel ludźmi". W ostatnim czasie aresztowano kilka osób, ale nie za kradzież dzieci, tylko za fałszowanie dokumentów.

Znasz szczegóły działania tego procederu?

– W jednej sprawie, którą zgłosiliśmy do ministerstwa spraw zagranicznych, organizatorka handlu wynajmowała mieszkania, w których nianie opiekowały się dziećmi. Robiono katalog ze zdjęciami dzieci, a cudzoziemcy wybierali z niego dziecko.

Potem przyjeżdżali do hotelu w Gruzji, a handlarze przekazywali ich dane do swoich kontaktów w szpitalu. Tam personel wyrabiał fałszywe dokumenty. Lekarze wpisywali w nich nazwiska i dane z paszportów sąsiadów czy znajomych jako rodziców biologicznych. Według dokumentów w sądzie spotykali się rodzice adopcyjni i biologiczni, notariusz, prawnicy. Ale teraz my rozmawiamy z rodzicami adopcyjnymi i oni mówią, że nigdy nie byli w sądzie i nigdy nie spotkali rodziców biologicznych.

A gdy dzieci zaczęły szukać rodziców biologicznych według tych dokumentów i kontaktowali się z nimi, testy DNA wykluczyły pokrewieństwo. Ludzie, którzy mieli być rodzicami biologicznymi, nic o tym nie wiedzieli. Kobiety, które nigdy nie były w ciąży, dowiadują się, że dzieci ich szukają. Wyobraź sobie reakcję tych rodzin. Były w szoku.

Ministerstwo bada więc tę sprawę?

– Tak twierdzi. Ale nie skontaktowało się dotąd z nikim, kogo powinno przesłuchać. Jak więc prowadzą dochodzenie? Właściwie nie muszą niczego badać, bo wszystko podaliśmy im na talerzu.

Zależy mi nie na aresztowaniach, ale na wyjaśnieniu pewnych spraw.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 4d6b712057

Ale temat wrócił po latach, gdy miały po 19 lat i korzystały z mediów społecznościowych. Ano natknęła się na zdjęcie dziewczyny uderzająco podobnej do siebie – to była Amy w studiu piercingu. Spotkały się. A później odkryły, że przyszły na świat w tym samym szpitalu. I cierpią na tę samą przypadłość o podłożu genetycznym.

Relacja sióstr przechodziła wzloty i upadki – przestały raz rozmawiać na trzy miesiące, blokowały się na portalach społecznościowych. O co poszło?

– To był po prostu czas, w którym nie akceptowałyśmy tego, co się działo, więc nie mogłyśmy zaakceptować siebie nawzajem. Ale dorosłyśmy – mówi Amy.

Co było tak trudne? – Wszystko. Każdy krok. Uświadomienie sobie, że zostałaś adoptowana i sprzedana przez swojego ojca, a teraz masz siostrę bliźniaczkę, a także braci i trzy inne siostry, nie jest łatwe – mówi Ano.

Bo dzięki śledztwu Tamury i badaniom genetycznym odnalazły resztę biologicznej rodziny.

Mówią, że nie mają żalu do rodziców adopcyjnych, że nie powiedzieli im prawdy. Były złe z innego powodu – że w ogóle są adoptowane i nie są biologicznymi dziećmi swoich matek. – Ale to nie była złość na naszych rodziców, ale na sytuację w ogóle – mówi Ano.

Biologiczny ojciec bliźniaczek nie chce ich znać. Groził im, że gdy je zobaczy, to je zabije. Dziewczyny spodziewają się, że po premierze filmu dokumentalnego z ich udziałem groźby mogą się powtórzyć.

Dziewczynom nie jest łatwo ze świadomością, że są ofiarami olbrzymiego spisku. – To jest ta brutalna część. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można zrobić coś takiego? – mówi Ano.

Okazało się, że w życiu Ano jest więcej osób, których spotkała podobna historia. Nauczycielce w szkole też powiedziano, że jej noworodek nie żyje. A jej przyjaciel wyznał, że miał siostrę, która też podobno zmarła w szpitalu. Ano powiedziała mu, że może spróbować znaleźć siostrę, ale on na to, że woli nie wiedzieć.

Dziewczyny uważają, że testy DNA powinni przejść wszyscy w kraju.

Ano: – To jest zadanie rządu. Musi nakazać testy i to szybko, bo może dojść do tego, że rodzeństwa będą się pobierać i mieć dzieci.

Zdaniem bliźniaczek to kwestia czasu, nim wszystkie matki i dzieci, które szukają swojej rodziny, będą się domagać sprawiedliwości. I że im się to uda. Wszyscy razem staną nawet razem przeciwko rządowi, jeśli będzie trzeba. Obie deklarują, że chcą w tej walce wziąć udział.

Bliźniaczkom nie jest łatwo ze świadomością, że są ofiarami olbrzymiego spisku

Amy chodzi do psychologa i psychiatry. – Pomagają mi zrozumieć moje myśli, emocje. Ale finalnie to moje zadanie, by się z nimi uporać.

Ano: – To dla mnie czas nabierania samoświadomości. Trwa to od lat, ale wcześniej blokowałam wszystkie moje emocje. Teraz to się uwalnia. Teraz to mój czas, żeby zdać sobie sprawę z tego, co się stało.

Po czterech latach siostry są dla siebie największym wsparciem, bo, jak mówią, każda z nich najlepiej wie, przez co przechodzi druga. – Nie ma nikogo, kto zrozumiałby nasze uczucia – mówi Amy.

Siostry nawiązały relację z resztą biologicznego rodzeństwa. – To najlepsze rodzeństwo, jakie mogłam sobie wymarzyć. Są dla nas jak najlepsi przyjaciele – mówi Ano.

Z biologiczną mamą jest trudniej. Mają przyjazne stosunki, ale nie ma w nich nic z relacji dziecka i matki.

– Jest bardzo miła. Wszystko by ci dała, ale nie tego potrzebuję, bo mam już matkę i ona o tym wie. Nie naciska na nas, żebyśmy ją zaakceptowały – mówi Amy.

Ich adopcyjne matki się przyjaźnią.

Bliźniaczki podkreślają, że nie mają żalu, że rodzice adopcyjni je kupili. – Robili, co mogli w mrocznych czasach, kiedy legalna adopcja nie była tak trudna, a na zdrowe dziecko trzeba było czekać latami, bo w domach dziecka były niemal wyłącznie dzieci chore – mówią.

– To było desperackie wołanie o bycie matką, więc nie przeszkadza mi, że mama mnie kupiła. To jest w tym najfajniejsze, że rodzice tak bardzo mnie chcieli – podkreśla Amy.

Chcą wierzyć, że adopcyjne matki nie miały pojęcia, w jaki sposób pozyskiwane były noworodki do adopcji.

Ano: – Bo kiedy to lekarze sprzedają dziecko, to wydaje ci się, że to nie może być nielegalne. A nasze mamy są najlepszymi matki, nawet biologiczne matki nie potrafią wychować swojego dziecka w taki sposób.

– To wydaje się ważniejsze niż wszystko inne, co dzieje się w naszym kraju. Znajdziemy siłę i sposób, by sprawiedliwości stało się zadość – mówi Amy.

– Na poziomie osobistym może być ciężko, ale kiedy myślisz, że to jest problem twojego kraju, musisz znaleźć odwagę – dodaje Ano. – Jesteśmy małym krajem, nie jest nas zbyt wielu. Nadszedł czas, aby wszyscy Gruzini, którzy zostali sprzedani za granicę, wiedzieli, że są Gruzinami.

Amy: – Ano, ja i Tamuna byłyśmy pierwszymi, które zaczęły mówić publicznie o tej sprawie. I mam nadzieję, że ta energia nie pójdzie na marne, a wszyscy ci, którzy szukają, będą mogli odnaleźć swoich rodziców.

Nikt z zamieszanych w proceder kradzieży i handlu dziećmi w Gruzji nie został ukarany, konsekwencje ponieśli tylko ci, którym udowodniono fałszowanie dokumentów.

Tamuna Museridze: – Nigdy nie zależało nam na tym, by kogoś karać i wsadzać do więzień. Zależało nam na tym, by połączyć rodziny. Bo Bóg wszystko widzi. Wypłaci tym, którzy, którzy skrzywdzili, oni poniosą karę.

Martyna Wojciechowska: – A mi trudno przełknąć fakt, że nikt nie został ukarany. Po to wykonuję ten zawód i jest to moja pasja, by rzucać światło tam, gdzie jest ciemno i mówić o tym, co zostało przemilczane. Wskazywanie osób, które czerpały korzyści majątkowe z ogromnych tragedii, fakt, że nie zaznają spokoju i świat się dowie, co robili, jest jakąś formą sprawiedliwości.

Tamuna zdradza, że skradzione dzieci są w wielu krajach. Zgłaszają się do niej także adoptowani, którzy trafili do Polski. ●

„Skradzione dzieci” to film dokumentalny autorstwa Martyny Wojciechowskiej i Jowity Branieckiej (scenariusz i reżyseria). Premiera 12 grudnia w HBO Max

Uszczęśliwiłaś już ponad tysiąc matek, które odnalazły swoje dzieci. A twoja własna mama była zła, że odkryłaś jej tożsamość. Znalazłaś dla niej zrozumienie?
– Cóż, próbuję. Wiem jedno, urodziła się i wychowała na wsi. A w gruzińskich wsiach to wielki wstyd urodzić dziecko bez ślubu. Dlatego oddała mnie do adopcji. Ale nie rozumiem, dlaczego teraz nie chce ze mną kontaktu, skoro wszyscy w tej wsi i tak wiedzą, że jest moją matką.

Zarzuca mi, że to ja powiedziałam o tym ludziom i że przeze mnie nie może wrócić do wsi, bo wszyscy o niej plotkują. Wiem, że próbuje też przed plotkami chronić swoją rodzinę. To ona powinna się wstydzić, nie ja. Ale obwinia mnie.

W filmie wydaje się bardzo wroga. Mówi, że nie należysz do rodziny.
– Ona nie wie jeszcze, że te słowa znajdą się w filmie. Dowie się o tym przy okazji premiery, 12 grudnia. Najbardziej boję się reakcji jej rodziny. Myślę, że wybuchnie duży skandal.

Najpierw się dowiadujesz, że twoi rodzice nie są twoimi rodzicami, potem znajdujesz matkę i też ją tracisz. Jak sobie z tym wszystkim radzisz?
– Właściwie straciłam matkę trzy razy. Pierwszy raz, gdy oddała mnie do adopcji, drugi, gdy zmarła moja mama adopcyjna, i trzeci, gdy moja biologiczna matka mnie odrzuciła. Za to spotkanie z moim biologicznym ojcem i jego rodziną przykryło wszystko to, co zrobiła mama. Oni są tacy szczęśliwi, że mnie mają, tacy dobrzy, próbują wynagrodzić te lata, kiedy nie byliśmy razem. Tata stara się dać mi uwagę za ich oboje. To mi wystarczy.

Czujesz, jakbyś znów miała rodziców po śmierci tych adopcyjnych?
– Wiesz, moi rodzice adopcyjni byli wspaniali. Nikt nie mógłby ich przebić. I kiedy znalazłam mojego biologicznego ojca, miałam poczucie, że zdradzam mojego adopcyjnego tatę. Jeszcze nie nazywam biologicznego ojca tatą. Muszę przekroczyć jakąś granicę w sobie i nawet nie wiem, czy chcę. On pewnie tak. Na razie mówię do niego po imieniu.

Kochasz go?
– Tak. I on bardzo kocha moje dzieci. Uczy gruzińskich tańców tradycyjnych, a moje córki też chodzą na te zajęcia – chodziły, jeszcze zanim wiedzieliśmy, że jest moim ojcem. On je teraz też uczy, wysyła im słodycze ze wsi... To piękne patrzeć na ich kontakt.

Towarzyszysz ludziom, którzy dzięki tobie odnaleźli swoich bliskich?
– Tak, jeśli spotykają się w Tbilisi lub w okolicy. A jeśli daleko, to nagrywają spotkania i wysyłają mi filmy. Są bardzo emocjonalne.

To ogromna odpowiedzialność, bo ci ludzie pokładają we mnie nadzieję, że znajdę ich dzieci. A ja nie wiem, czy dam radę znaleźć wszystkie, jeśli one same mi nie pomogą. Bo choć wiele matek szuka, to większość dzieci myśli, że zostały sprzedane przez rodziców, mają żal i nie chcą ich znaleźć.

Ale tam, gdzie rodziny się połączyły, relacje często zaczynają się naprawiać. Rodziny adopcyjne i biologiczne stają się sobie bliskie. Spotykają się, odwiedzają, stają się jedną rodziną, bo naprawdę nią są.

Najbardziej tragiczne jest to, że rodzice adopcyjni nie wiedzieli, że dzieci zostały ukradzione. Lekarze okłamywali zarówno matki biologiczne, jak i adopcyjne. Mówili, że ktoś zostawił dziecko i ono czeka na rodziców.

Za co więc płacili rodzice adopcyjni?
– Żeby nie iść po nie do domu dziecka, bo w Gruzji na adopcję trzeba czekać dziesięć, piętnaście lat. Więcej jest rodzin w kolejce niż dzieci. Więc ci rodzice chodzili bezpośrednio na porodówki, żeby ominąć kolejkę. Jeśli lekarze mówili, że dziecko zostało opuszczone, to je kupowali.

Adopcyjni rodzice nie byli świadomi, że dzieci są kradzione, ale wiedzieli, że je kupują...
– Oczywiście, że wiedzieli, że kupują dziecko i że to jest nielegalne. Wszyscy wiedzieli. Bo legalnie byłoby tylko, gdyby zgłosili się po dziecko do domu dziecka. Ale wiedzieli, że tam nie ma zdrowych niemowląt do adopcji.

A jeszcze ważne było to, żeby dziecko było trochę podobne do rodziców adopcyjnych, bo nie chcieli, aby wiedziało, że jest adoptowane. Jeśli chcesz zadbać o siebie, o swoją rodzinę, o swoje nazwisko, idziesz i kupujesz zdrowe dziecko.

A tobie jak jest ze świadomością, że zostałaś kupiona?
– Zapytałam kiedyś jedną adoptowaną dziewczynę o to samo. Powiedziała, że dla niej to jak kupowanie kurczaka na targu. Wybierasz tego, który ci najbardziej odpowiada. Tak, to bardzo trudne do zaakceptowania. Chyba staramy się o tym nie myśleć.

Ale wiesz, staramy się też znaleźć wytłumaczenie dla naszych rodziców i myśleć, że inaczej się nie dało. Musieli kupić dziecko, bo inaczej by go nie mieli.

Czy rodzice adopcyjni czują się winni?
– Niektórzy bardzo. Zwłaszcza ci z Kanady i USA. Mówią, że nie wiedzieli, że dzieci były ukradzione, dzwonią do nas, prosząc o pomoc w znalezieniu rodziców biologicznych. Zdarza się, choć rzadko, że dzwonią rodzice adopcyjni w Gruzji, bo też próbują pomóc w znalezieniu biologicznych rodziców swojego dziecka. Ale to trudne, bo dokumenty, które dostali, są sfałszowane.

Niektóre dzieci nie wierzą swoim rodzicom adopcyjnym, że nie znają prawdy. Ale oni naprawdę nie wiedzą.

Dotarłaś do lekarzy czy personelu szpitali, którzy zajmowali się handlem?
– Nikt z nich nie chce ze mną rozmawiać. Tylko nowy dyrektor jednego szpitala położniczego, który wtedy tam nie pracował. I była jedna lekarka, która przyznała się, że skłamała matce, że jej dziecko nie żyje, ale tylko dlatego, że żona mężczyzny, który szukał swojej matki, strasznie na nią krzyczała.

Myślisz, że kiedyś inni też wyznają prawdę?
– Nie. Rozmawiałam z kobietą, która została aresztowana za fałszowanie dokumentów, by doprowadzić do adopcji. Powiedziała: „Jestem bohaterką. Dawałam dzieci lepszym rodzinom”. Zapytam: „A skąd wiedziałaś, co jest dla mnie lepsze?”.

Może wolałabym mieszkać na wsi z moimi biednymi rodzicami, ale w miłości, niż w Tbilisi z bogatymi rodzicami i nie mieć biologicznych więzi? Dlaczego próbowała decydować za mnie?
A ona powiedziała, że wszystkie adoptowane i wszystkie skradzione dzieci są w dobrych rękach. Czyli w bogatych. I tak było, bo tylko bogaci mogli kupić dziecko. Ale dla dziecka najważniejsza jest miłość rodziców. Nie zabawki. ●

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

Usta nie chcą się otwierać do śpiewu

Brrrr. Idą Święta, obok rzeczy strasznych trzeba mi (tak czuję) mówić też miłe i twórcze. Choćby dwa słowa o kolędach – gatunku szacownym, lecz dla mnie trudnym. „Ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony." Albo: „Poszli, znaleźli Dzieciątko w żłobie."

Jarosław Mikołajewski

Przy okazji gali Nagrody im. Ferdynanda Wspaniałego* (którą otrzymała Agnieszka Misiak, czego jej gratuluję), byłem na spektaklu, którego inaczej bym nie zobaczył, a chodzi o „Alicję w Krainie Czarów" w Teatrze Groteska w Krakowie. A nie zobaczyłbym, bo akurat książki Lewisa Carrolla nie lubię. A nie lubię, bo wystarczająco już męczą mnie koszmary własne, żeby iść dobrowolnie jeszcze za cudzymi, nawet jeśli bohaterka ma opaskę na włosach i jest uroczą, rezolutną, rozfantazjowaną dziewczynką.

Tak czy inaczej, choć przedstawienie w Grotesce jest wspaniałe, zmęczyło mnie także nadmiarem skojarzeń – głównie z postaciami z naszej polityki, które nasz niemiłościwie panujący suweren powołał do życia. Z tym kiepskim, często strasznym teatrem, w którym jesteśmy równocześnie bohaterami i widzami, jest bowiem tak, że kiedy tylko go oswoimy, wpiszemy w kontur przewidywalności, od razu pojawiają się nowe twarze i czyny, które budzą dyskomfort i strach.

Dziś media – i dobrze nam tak! – przypominają przy okazji procesu epizody z życia i twórczości Grzegorza Brauna, który w obłąkanym tłumaczeniu na język Królowej Kier łatwo wyobrażam sobie, że mógłby uparcie, przez resztę mojego życia, powtarzać rozkaz „ściąć!".

Naprawdę trudno mi wierzyć, że postaci takie jak on są realne. Że nie należą do koszmarnego świata urojeń razem z Jackiem Sasinem, który woli tegoż Brauna od uczciwego humanisty Donalda Tuska, nadając tym samym znamiona godności nienawistnym wypowiedziom i inkursjom tego pierwszego.

Brrrr... Idą Święta, obok rzeczy strasznych trzeba mi (tak czuję) mówić też miłe i twórcze. Powiedzieć choćby dwa słowa o kolędach – gatunku szacownym, lecz dla mnie trudnym. „... Ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony..." Albo: „Poszli, znaleźli Dzieciątko w żłobie..."

Rozglądam się, czy za rogiem pokoju nie czai się człowiek z upiorną gaśnicą, gotowy zgasić moje intymne święto

Piękne. Lecz jakby przykurzone. Wzruszające przez to, że przechowują wspomnienia z dzieciństwa, kiedy śpiewali je nieżyjący już dzisiaj rodzice, ciocie, dziadkowie. A przecież koturnowe. W chwilach napięcia – międzypokoleniowego, międzyludzkiego – często nie jednoczące, lecz zasklepiające różnice i kontrowersje. Narzucające język zastępczy, język ucieczki od uczciwej lub choćby życzliwej rozmowy. Sprawiające, że usta po prostu nie chcą się otwierać do śpiewu.

Wspominając o kolędach, pragnę wytłumaczyć się z tego, że od kilku lat sprzeciwiam się zasklepieniu gatunku i próbuję pisać „narodzeniowe" teksty, które wypuszczam w okolicach Bożego Narodzenia z nadzieją (wcale nie próżną), że ktoś je zaśpiewa.

Tak stało się z „Kolędą dla Tęczowego Boga", którą zaśpiewali Magda Umer i Grzegorz Turnau (do muzyki Grzegorza) – gdzie próbowałem przyjąć do polskiej tradycji kolędowej dramat uchodźców Morza Śródziemnego. Tak stało się ze „Stabat Mater", gdzie (spinając dwa najważniejsze święta chrześcijańskie) starałem się opowiedzieć o niepokojach rodzącej dziewczyny przy obojętności Boga i świata, który nie zezwolił jej na wolny wybór, a nie ponosi za to żadnych konsekwencji.

Tak jest i teraz, kiedy moją „Kolędę Łzę" – o płaczu, który przychodzi, żeby wyzwolić słowo, śpiewa z Żanetą Łabudzką Krzysztof Globisz – wielki aktor dźwigający bohatersko dramatyczne skutki udaru.

Dwa lata temu pewien ceniony kompozytor powiedział, że nie chce pisać kolęd ze względu na przeciążenie gatunku. Przez to, że nie jest już w stanie znieść domowej religijności, rodzinnego rytuału, do ponawiania którego zmusiłoby go zajmowanie się bożonarodzeniowym śpiewem.

Rozumiem, ale Święta są w moim życiu faktem. Mam rodzinę, w której kolęda, czy chcę tego czy nie, jakoś istnieje. I jako poeta czuję, że tematyka kolęd pozwala mówić językiem nie tylko religii, lecz także laickiego współczucia – o dramacie rodzących, o lękach i niedostatkach rodzin, o przyjściu (takie jest w końcu znaczenie łacińskiego rzeczownika adventus, z którego wziął się nasz adwent) wszystkiego, co odnawia, wyzwala, wyprowadza z upokorzenia, poniżenia, niewoli.

Od ponad roku mam wnuczkę i chce mi się o tym wszystkim śpiewać, choć jednocześnie rozglądam się, czy za rogiem wspólnego pokoju nie czai się człowiek z upiorną gaśnicą, gotowy zgasić moje intymne święto. I inny, który wymusza słowa wdzięczności na prezydencie kraju, któremu Herod wypowiedział morderczą wojnę.

**Nagroda im. Ferdynanda Wspaniałego przyznawana jest autorowi/rce i ilustratorowi/rce książki dla dzieci wydanej w roku poprzednim i stanowi zwieńczenie każdej edycji Festiwalu Literatury dla Dzieci.*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34410051

RP

eprasa.pl 4d6b712057

BAZAR POD PAŁACEM KULTURY NIECH WRÓCI!

Wieżowców nie ma w centrach Pragi, Budapesztu, Berlina, Paryża, Wiednia czy Rzymu.
Warszawa jest tutaj wyjątkiem

Arkadiusz Gruszczyński

Czy za 15 lat, kiedy będziemy świętować półwiecze III RP, w Warszawie pojawią się nowe ikoniczne budynki znanych architektów? A może zamiast wieżowców w centrum powstanie niedostępny dla samochodów park zarastający Aleje Jerozolimskie, Marszałkowską i cały plac Defilad?

I czy możemy sobie wyobrazić, że na Plac Defilad wraca bazar?

Grzechy wieżowców

Zanim odpowiem na te pytania, sięgnijmy do przeszłości.

Ikony architektury są stosunkowo młodym wynalazkiem związanym z „efektem Bilbao". W tym hiszpańskim mieście w 1997 roku zmarły w ubiegłym tygodniu Frank Gehry zaprojektował postmodernistyczną bryłę muzeum sztuki nowoczesnej, które przyciąga do dzisiaj tłumy turystów.

Od końca lat dziewięćdziesiątych każde miasto na świecie chciało powtórzyć sukces 300-tysięcznego Bilbao, co wiązało się z rozwojem masowej turystyki, kapitalizmu doświadczeń i twardego pieniądza zostawianego przez turystów.

Wśród nowoczesnych ikon, które przez dwie dekady przyciągały podróżujących z całego świata, można wymienić wieżowiec 30 St Mary Axe w kształcie ogórka w Londynie, powyginany i fikuśny Walt Disney Concert Hall w Los Angeles, niby zachowawczy, ale ostatecznie nudny Phaeno Science Center w niemieckim Wolfsburgu czy najwyższy budynek świata Burj Khalifa w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Te przykłady łączy jedno: każdy z nich mógłby powstać dosłownie wszędzie, żaden z nich nie bierze pod uwagę kontekstu historycznego, urbanistycznego i społecznego miejsca, w którym je zbudowano.

W Warszawie mamy tak naprawdę tylko jeden budynek zaprojektowany przez gwiazdę światowej architektury, to wieżowiec przy ulicy Złotej 44 autorstwa Daniela Libeskinda zwany Żaglem.

W zamierzeniu twórcy miał jak orzeł wzbijający się do lotu symbolizować wolność i dynamikę stolicy Polski.

Ale równie dobrze ten budynek mógłby powstać w Berlinie, Moskwie, Nowym Jorku czy Paryżu. I coś jeszcze: wieżowiec nie stał się ikoną Warszawy.

Mielibyśmy więcej budynków zaprojektowanych przez gwiazdy architektury, ale na przeszkodzie stawała prowincjonalność. W latach dziewięćdziesiątych krytyczka sztuki Anda Rottenberg namówiła Franka Gehry'ego do współpracy przy projekcie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Architekt naszkicował pierwszy projekt, ale 30 lat temu władze miasta nie zrozumiały, dlaczego miałyby wydać setki milionów złotych na siedzibę muzeum prezentującego eksperymentalne filmy czy abstrakcyjne obrazy.

W 2006 roku Zaha Hadid, która miała na swoim koncie wiele ikon architektury zbudowanych na całym świecie, wzięła udział w konkursie na projekt Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, jednak odpadła z powodów formalnych, co skomentowaliśmy w „Wyborczej" jako „obniżenie poziomu". Porównywaliśmy również Hadid i Libenskinda do Madonny i Bono, co doskonale pokazuje atmosferę lat dwutysięcznych.

Nie ma jednak nad czym płakać, bo budynki zaprojektowane przez architektonicznych celebrytów, które najczęściej są wysokimi, przeszklonymi bryłami, przyniosły na świecie więcej szkód niż pożytku. Lista grzechów jest długa:

- wieżowce zamierają wieczorami, wokół nich nie toczy się życie;
- wysokie budynki są niebezpieczne dla ptaków, które masowo giną w wyniku zderzenia z szybami odbijającymi niebo;
- budynki zaprojektowane przez celebrytów przyciągają setki tysięcy turystów, którzy zadeptują miasta,

eprasa.pl 4d6b712057

• Warszawskie wieżowce. Panorama miasta spod z Mostu Siekierkowskiego FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Zaprojektowane po ludzku. Warszawa – miasto bardziej wspólne”

• to redakcyjny projekt poświęcony tworzeniu miasta przyjaznego mieszkańcom. Przyglądamy się metamorfozom miejskich przestrzeni, strategiom zatrzymywania życia w centrum, roli deweloperów w budowaniu zaufania oraz znaczeniu partycypacji w projektowaniu. Szukamy i promujemy dobre praktyki, rozmawiamy z ekspertami i wskazujemy miejsca w Warszawie – choć nie tylko – które dzięki odważnym inwestycjom zmieniły otoczenie. Bo miasto to nie tylko budynki – to relacje, wspólnota i jakość życia. **Czytaj więcej Wyborcza.pl/Zaprojektowanepoludzku**

• mieszkania w centrach stają się częścią rynku najmu krótkoterminowego, co skutkuje wyprowadzką ludzi ze śródmieścia, a także zanikiem codziennych usług takich jak tanie sklepy spożywcze czy kina studyjne;

• wiele z budynków budowały rzesze słabo opłacanych robotników;

• nowe wieżowce, muzea, biurowce i hotele przyczyniają się do katastrofy klimatycznej. Szacuje się, że cała branża budowlana w Polsce odpowiada za emisję 17 procent gazów cieplarnianych.

Oczywiście są też pozytywne aspekty: powstają nowe miejsca pracy, turyści zostawiają gotówkę w hotelach i restauracjach, a popularność miasta na pewno poprawia wizerunek kraju, co było nam potrzebne jeszcze kilkanaście lat temu.

W PRL-u posługiwano się twardymi danymi, do budowy osiedli mieszkaniowych, które stanowiły najważniejszy cel architektoniczny po 1945 roku, angażowano naukowców, urbanistów, architektów, socjologów,

• Warszawa jest zielona m.in dlatego,że każda dzielnica ma swoje ogródki działkowe. Na zdjęciu: Rodzinne Ogrody Działowe na Czerniakowie FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Hala Banach na Ochocie (ul. Grójecka) to popularny bazar z halą spożywczą i przemysłową FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Więc może jest tak, że Warszawa ma wiele ikon i każdy wybiera sobie tę, która mu odpowiada

a więc ważne było planowanie, czyli kontekst.

Natalia Paszkowska, architektka, powiedziała mi kiedyś, że w związku w tym warszawska szkoła architektoniczna jest architekturą kontekstową. Trzeba więc pamiętać, że ikony architektury muszą błyszczeć, a odbudowa Warszawy była związana z wypełnianiem dziur, uzupełnianiem plomb.

Dlatego powojenna architektura nie jest spektakularna, nie licząc oczywiście Pałacu Kultury i Nauki, który stał się ikoną mimo woli społeczeństwa – mówi mi Tomasz Fudala, kurator z Muzeum Sztuki Nowoczesnej i pomysłodawca festiwalu „Warszawa w budowie”.

Takie ładne metro

Nie da się jednak uciec od faktów, a te są bezdyskusyjne: wieżowce, tak krytykowane przez część środowiska architektonicznego, są symbolami nowoczesnej Warszawy. Biurowce to prestiż, sukces, wielkie pieniądze, luksusowe

eprasa.pl 4d6b712057

samochody i drogie zegarki, dopasowane garnitury czy wystawne kolacje.

Gdyby się zastanowić, co jest przeciwieństwem wieżowców i symbolizuje biedę, prowincjonalność czy kotleta mielonego z ziemniakami – to chyba trzeba myśleć o bazarach i dyskontach spożywczych.

Trudno do końca zrozumieć, co ludzie widzą w wieżowcach, które z daleka mogą się ładnie komponować na zdjęciach, ale z bliska są przeskalowanymi budynkami zasłaniającymi słońce. W biurowcach nie ma naturalnego światła, często nie otwierają się okna, więc ludzie siedzą przez kilka godzin w klimatyzowanych pomieszczeniach, a jakość użytych do budowy materiałów nieraz pozostawia wiele do życzenia. Pierwsze wieżowce wybudowane w Warszawie w latach dziewięćdziesiątych są właśnie wyburzane. Trudno też zrozumieć zachwyt wieżowcami, skoro wiemy, ile produkują zanieczyszczeń i jak ich budowa przyczynia się do katastrofy klimatycznej.

Wieżowców nie ma w centrach Pragi, Budapesztu, Berlina, Paryża, Wiednia czy Rzymu. Warszawa jest tutaj wyjątkiem.

Ciekawi mnie jeszcze coś jeszcze: czy muzeum zaprojektowane przez Franka Gehry'ego odmieniłoby Warszawę?

– Trudno powiedzieć, ponieważ nie da się przewidzieć, co zostanie ikoną. Nawet nikt w Bilbao nie przypuszczał, że muzeum stanie się tak wielkim sukcesem. A przecież Frank Gehry projektował też zwykłe domy z blachy falistej i drewna. Zwróć uwagę, że wiele z ikon architektury stało się karykaturami samych siebie, czego najlepszym przykładem są wieżowce nad Tamizą w Londynie, które stały się gadżetami w przestrzeni, błyskotkami, o których zapomina świat, kiedy w okolicy pojawi się nowszy budynek. Te ikony mają wszystkie złe cechy kapitalizmu, w którym nie ma poza tym czasu na długie oglądanie budynków, skoro turyści przeznaczają kilkanaście sekund na podziwianie dzieł sztuki – odpowiada Tomasz Fudala.

Fudala podsuwa mi inne tropy. Jednym z nim jest Biblioteka Uniwersytecka na Powiślu na okrągło oblegana przez turystów. Jest otwarta od 1999 roku. BUW wyróżnia się nieortodoksyjnym podejściem do czytelników, którzy mogą czytać na podłodze i części wspólnej przypominającej miejską aleję, i przede wszystkim tym, że jest obrośnięty ogrodem. – Biblioteka jest doskonałym przykładem budynku kontekstowego, który bierze pod uwagę zieleń sąsiedniej skarpy warszawskiej – dodaje Fudala.

Inną ikoną jest metro. Fudala: – Jako dziecko przyjeżdżałem do Warszawy oglądać schody ruchome w Domach Towarowych Centrum, a dzisiaj ludzie odwiedzają stolicę dla metra, ponieważ jest nowe i czyste. To samo widzę w przypadku Stadionu Narodowego, choć większe znaczenie mają jego funkcje i lokalizacja, a mniejsze dizajn.

Doceniłbym też osiedla mieszkaniowe na czele z Sadami Żoliborskimi, zieloną ścieżkę rowerową nad Wisłą, ale też Bank Gospodarstwa Krajowego w samym centrum miasta, niezwykle charakterystyczny dla Warszawy.

Drzewa czy Igrzyska

Jeszcze dalej idzie Aleksandra Wasilkowska, architektka, która wymienia swoją listę ikon Warszawy:

• warzywniaki osiedlowe. „Dzięki nim mamy pod domem świeże warzywa i owoce. Niestety, znikają wypierane przez dyskonty, które prowadzą nieuczciwą politykę wobec rolników i lokalnych producentów żywności";

• bary mleczne, szczególnie „mi bliski Bar Mleczny Familijny przy Nowym Świecie. Polski fenomen, bezcenny, inkluzywny";

• elektrociepłownie Siekierki i Żerań, bo „dzięki nim mamy ciepło. To infrastruktura krytyczna, nie zdajemy sobie na szczęście sprawy z tego, jak ważna. A poza tym kominy są widoczne z daleka";

• „Cały naród buduje swoją stolicę", czyli była siedziba Biura Odbudowy Stolicy na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich projektu Stempińskiego i Kuzmy. Symbol odbudowy Warszawy;

• toalety warszawskie, a raczej próba odbudowy publicznego systemu WC.

• **Elektrociepłownia Siekierki. Bardzo ważna cześć infrastruktury krytycznej, niezbędnej do funkcjonowania miasta** FOT. DARIUSZ BOROWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wasilkowskiej szczególnie bliska jest idea miasta, które jako priorytet traktuje podstawową infrastrukturę dla mieszkańców. – Nie potrzebujemy ikon dla turystów, ale dobrej architektury związanej z pracą i życiem codziennym mieszkańców. Potrzebujemy więc ikon, które spełniają codzienne potrzeby ludzi.

Szczególnie zaniedbana jest kwestia systemu żywienia miasta i dostęp do taniej i zdrowej żywności. Zdrowe jedzenie jest tak samo ważne jak czyste powietrze – mówi mi architektka, która wprost namawia władze miasta do budowania lokalnych targów spożywczych i hal targowych oferujących lokalnie produkowaną żywność; wynajmowania miejskich lokali usługowych po preferencyjnych stawkach osobom chcącym sprzedawać tanie, zdrowe i lokalne produkty spożywcze.

– Apeluję o dbanie o dobrą politykę żywieniową miasta i suwerenność żywieniową, o bezpośrednie włączenie lokalnych rolników z Mazowsza, którzy są często wykorzystywani przez pośredników i dyskonty stosujących zmowę cenową, na czym tracimy wszyscy. A przecież sporo progresywnych polityk miejskich w Europie idzie w odwrotnym kierunku: zamiast wielkopowierzchniowych sklepów promowane są małe, lokalne sklepy spożywcze i targowiska – twierdzi Wasilkowska.

Wydaje się jednak, że władze Warszawy inaczej myślą o mieście. Co prawda prezydentowi Rafałowi Trzaskowskiemu zależy na zazielenieniu centrum, które staje się bardziej przyjazne dla pieszych, a nieprzyjazne dla kierowców, jednak pomysł organizacji w Warszawie igrzysk olimpijskich pochodzi z innego porządku symbolicznego.

Z jednej strony Trzaskowski kreuje się na progresywnego prezydenta, który sadzi kilkanaście tysięcy drzew w mieście, stara się ograniczyć obecność aut w centrum i poważnie podchodzi do przeciwdziałania skutkom katastrofy klimatycznej, a z drugiej chce skazać Warszawę na gigantyczne inwestycje sportowe, z których potem nie będzie miał kto korzystać, najazd turystów i drastyczny skok cen nieruchomości. Argumenty za są trudne do zweryfikowania, bo jednorazowy zastrzyk gotówki pozostawiony przez turystów może przynieść długofalowe efekty, ale nie musi.

– Wraca myślenie sprzed 2012 roku, kiedy staraliśmy się o organizację piłkarskich mistrzostw w piłce nożnej. Mamy dzisiaj inne problemy do rozwiązania, a pieniądze na igrzyska możemy wydać na infrastrukturę związaną z codziennością, remonty szkół, nowe mieszkania, hale targowe i sklepy z tanią, lokalną i zdrową żywnością czy zdrowe i bezpłatne obiady w szkołach – uważa Wasilkowska.

Lubię przykład Wiednia, który na świecie jest kojarzony ze sznyclem, z jarmarkiem świątecznym, kiełbaskami w bułce oraz systemowym podejściem do polityki mieszkaniowej. W austriackiej stolicy jest 220 tysięcy mieszkań komunalnych i kolejne 200 tysięcy spółdzielczych, co stanowi połowę wszystkich lokali. Dla porównania: w Warszawie miasto ma 81 tysięcy mieszkań. Nie widzę przeszkód, by nową ikoną naszej stolicy stały się mieszkania budowane masowo.

Palma tak, jelonki nie

Po otwarciu nowej siedziby Muzeum Sztuki Nowoczesnej na placu Defilad zacząłem się zastanawiać, czy białe pudełko ze sztuką w samym środku Warszawy stanie się nową ikoną tego miasta. Przecież wyjeżdżając za granicę, jeden dzień zawsze poświęcamy na muzea, lubimy szwendać się po wystawach, w dobrym tonie jest wrzucić zdjęcia na Instagrama z rzymskiego, paryskiego czy londyńskiego muzeum. Ikonami wielu miast są galerie sztuki.

Na razie nie zanosi się na rewolucję, choć MSN jest oblegane przez odwiedzających. W ciągu roku budynek i wystawy zobaczyło ponad 600 tysięcy osób, ale muzeum z premedytacją nie organizuje wystaw z udziałem gwiazd światowej sztuki. Jak mówiła mi w ubiegłym roku Joanna Mytkowska, dyrektorka MSN-u, świadomie nie chcą powtórzyć „efektu Bilbao".

Ze sztuką współczesną mamy spory problem. O ile Palma Joanny Rajkowskiej z Alei Jerozolimskich stała się symbolem Warszawy, o tyle inne przykłady sztuki w przestrzeni publicznej nie zyskały statusu ikon. Kto dziś pamięta o „Dotleniaczu" – też Rajkowskiej – czyli stawie na placu Grzybowskim, z którego unosiła się delikatna mgiełka?

Albo o Domu Kereta na Woli (projekt Jakuba Szczęsnego), który umarł w ciszy i zapomnieniu? Co się stało z różowymi jelonkami znad Wisły, które miały odczarować tę część Warszawy? No właśnie. Efemeryczna i często niezrozumiała sztuka w przestrzeni publicznej została raczej odrzucona przez warszawiaków lub wyrzucona na dalekie Bródno, gdzie założono Park Rzeźby.

Więc może jest tak, że Warszawa ma wiele ikon i każdy wybiera sobie tę, która mu odpowiada. Jedni są zakochani w wieżowcach, które symbolizują ciągły rozwój, inni chcieliby kupować tanie ziemniaki i truskawki pod Pałacem Kultury, kolejni nie wyobrażają sobie stolicy bez Palmy, a jeszcze inni zabierają znajomych na ostatnie piętro jednego z biurowców, żeby podziwiać panoramę Warszawy.

Fantazja podpowiada mi jednak kilka szalonych rozwiązań, co szkodzi je wypowiedzieć na głos: ikoną Warszawy mogą być wspomniane mieszkania komunalne, ale też park w środku miasta. Drzewami można obsadzić cały plac Defilad, przecież nikt szanujący swoje zdrowie psychiczne nie jeździ samochodem do centrum, które jest najlepiej skomunikowanym miejscem w Polsce.

Ikoną może być wielki bazar z warzywami i owocami pod PKiN albo na placu Konstytucji, choć krytycy tego rozwiązania powiedzą, że bazar na Placu Defilad już tam kiedyś był, co skończyło się brudem, wstydem i przestępczością.

A, no i przestańcie budować kolejne wieżowce, bo to obciach. ●

OGŁOSZENIE Kraj/34409267

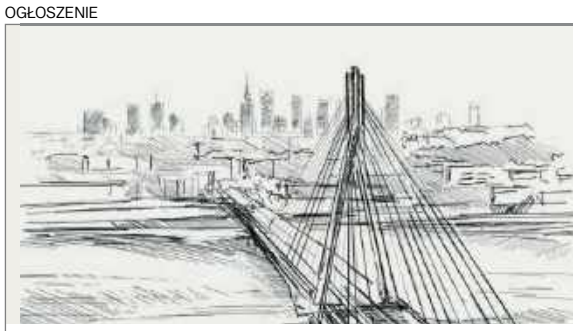

ZAPROJEKTOWANE POLUDZKU
WARSZAWA
MIASTO BARDZIEJ WSPÓLNE

ORGANIZATORZY
wyborcza.pl wyborcza.pl WARSZAWA

SPONSORZY
BBI Development LIEBRECHT & WOOD A DIFFERENT VISION ON REAL ESTATE

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

ADAM MICHNIK POLECA

JASYR.
WAŃKOWICZ NIEZNANY

ODNALEZIONY W ARCHIWACH TEKST SŁYNNEGO REPORTERA

• **Melchior Wańkowicz (1892--1974) w swoim mieszkaniu na warszawskim Mokotowie, marzec 1973 roku**
FOT. PAP/HENRYK ROSIAK

Strzały enkawudzistów sypią się nieustannie. Biegniemy, nie oglądając się, kto pada.

Melchior Wańkowicz

Spotkałem go w jednym z oddziałów [polskiej armii w Iraku w 1943 roku]. Ludzie z tych samych kątów lgną do siebie i zbiegają się jak namagnesowane opiłki. Był ze Święciańszczyzny. Bardzo zielonej, pagórkowatej, pachnącej ziołami, które z niej idą na cały świat, rozświetlonej taflami jezior. Święciańszczyzny tak katolickiej, jak tylko ludzie stamtąd być potrafią, tak swoistej, tak zakorzenionej w polskim obyczaju, jak tylko mogą to sprawić wieki walki i ukochań.

•

Sam on nazywał się Józef Ciepluch, pochodził z Kieleckiego, ale przez 20 lat od tamtej wojny wrósł w Wileńszczyznę, jak wrastały pokolenia przed nim.

Toteż ludzie, którzy wraz koło nas na majdanie irackiego wydmuchu wyrośli, ci ze Świra i z Komaj, i z Hoduciszek, i aż z Postaw – jego – sąsiedzi i kumowie, nie różnili się niczem od niego.

Staliśmy tak kręgiem, kiedy zmrok zapadał, a szakale poczynały niesamowite jęki, i mówiliśmy żarliwie o tych tam kątach.

– Tego pan pamięta?

– A w tej wsi pan był?

I zaraz potem, na zwęglone słupki wspomnień, zawieszali opowiadanie – co było z tą ziemią. Jak się przeciwiali nowemu porządkowi, jak trwali nieustępliwie zamkniętem trwaniem, jak wreszcie wyrywać ich poczęto z tej ziemi, plewić plewieniem straszliwem, straszliwszem niż legendy dawnych lat narosłe od pradziadów.

I dopiero kiedy musiał jechać, wyszło, jako ich gnano w jasyr. Czas naglił. A sprawa nie mogła być pominięta.

Wówczas Józef Ciepluch, ten ongiś spod Kielc, a w ostatnich dwudziestu latach z gminy łyntupskiej, obiecał mi, że na drugi dzień przyjdzie z relacją. Mój obóz był o cztery kilometry. Ciepluch jest sierżantem, ma służbę. Mógł więc przyjść w czasie tak zwanej przerwy tropikalnej, czyli między jedenastą i piętnastą. Kto zna Irak, ten wie, co znaczy marsz w tej porze.

Kiedy się zjawił na drugi dzień, spisałem tę relację, jak przodkowie nasi przed wiekami spisywali relacje wracających z jasyru.

Do głodnej Rosji!...

24 czerwca 1941 roku z więzienia w Starej Wilejce kazano wyjść więźniom. Wychodzili z cel, w których siedzieli długie tygodnie w zaduchu, tak stłoczeni, że nocą mogli się obracać na drugi bok tylko wszyscy na komendę. O twarze ich uderzył świeży wietrzyk. Kazano im klękać wzdłuż drogi z obu stron dwoma długimi liniami i klęczeć ze spuszczonymi głowami.

Klęczeli, patrząc chciwie na zieloną trawę nad rowem.

Słyszeli, klęcząc ze wzrokiem wbitym w ziemię, że spośród nich wywołują policjantów Butrymowicza, Pilczuka, Minkowskiego, pisarczyka Stanisława, inżyniera Pisarczyka Franciszka, leśników Bućkę i Apalkę, komornika Bazylkę, gospodarza Małachowskiego, wiejskiego chłopaka Bepirszcza... Razem 27 nazwisk. Klęczący znali te nazwiska – to byli więźniowie z celi śmierci.

Jakieś kroki. Pewno tych dwudziestu siedmiu odprowadzono do więzienia z powrotem... Słońce czerwcowe dochodzi do zenitu. Zbliża się południe. Pragnienie męczy, plecy i kolana bolą. Głowy podnieść nie można, bo biją kolbami.

Po jedenastej poczynają ich ustawiać w piątki na drodze. Rygor się załamuje nieco. Krewni, przyjaciele tych skazanych, nie bacząc na razy i krzyki z „bocianów", to znaczy z wież strażniczych, wywołują nazwiska dwudziestu siedmiu. Ale ściany więzienia milczą, okna są zamknięte na głucho.

Wzdłuż ogromnej kolumny 1600 ludzi uformowanej do marszu idzie czterech: prokurator, naczelnik więzienia, naczelnik NKWD i bojec, to jest żołnierz bolszewicki. Ten ostatni chowa pod płaszczem karabin maszynowy. Weszli do więzienia.

Teraz przy każdej piątce staje „bojec" z naganem w ręku. Niektórzy mają karabiny i karabiny maszynowe.

Wiedzą już wszyscy o wojnie z Niemcami. Liczyli, że wrócą do domów. Teraz widzą, że zostaną popędzeni do głodnej Rosji.

Z więzienia wyszli ci czterej. Enkawudzista śmieje się głośno.

– Dawaj!...

Kolumna rusza. Patrzą na sapowatą ziemię wilejską, jakby była czemś najcudniejszem. Patrzą na wrzosowiska. Jeszcze idą przez kraj, którego poletka wyrobione nabożnie otaczają domki skomasowanych gospodarzy. Oczy ich łapią resztki polskich napisów na drogowskazach.

Wieczorem nocują w rowie. Otrzymali po bochenku chleba na ośmiu i po 12 kawałków cukru.

•

Na drugi dzień, 25 czerwca, ruszają w drogę, nie otrzymawszy pożywienia. Idą cały dzień. Od czasu do czasu przelatują samo-

eprasa.pl 4d6b712057

loty niemieckie. Wówczas 1600 więźniów i 320 konwojentów leży długie chwile w rowach. Wieczorem po całym dniu marszu bez jedzenia są wyczerpani do niemożliwości. Kraj obfituje w wodę, ale im nie pozwolono pić. Każą im się kłaść ściśle jeden przy drugim. Łańcuch straży otacza stłoczonych ludzi majaczących o wodzie.

Diabelski las

O świcie eskorta każe maszerować. Więźniowie – są to przeważnie ludzie starsi, są i całkiem starzy. Po dwóch dniach marszu nogi są obolałe i przez straszliwe pragnienie nie czuć nawet głodu. Dwa tysiące ust powtarza „pić".

– Nie podochnietie (nie zdechniecie) – mówią enkawudziści i naglą do drogi. Kilku starców nie może nadążyć i biorą ich na kilka furmanek jadących z tyłu.

Koło godziny ósmej przelatuje nisko klucz niemiecki. Enkawudziści zaczynają strzelać. Sprowokowane samoloty zataczają łuk i poczynają zrzucać bomby. Robi się panika. Bomby trafiają w furmanki, konie poniosły, gonią boczną drogą w pole. Jeden enkawudzista zostaje zabity i jeden ranny.

Oszalała eskorta kieruje karawanę niewolniczą w las. Każą biec biegiem, bagnetami z pleców zrzucają ludziom ich nędzne tłomoki. Stary szlachcic zagonowy Rakowski nie może złapać tchu. Stary nauczyciel szkół powszechnych Kończanin, niechcący się pozbyć kożucha, który dźwiga przed sobą, widząc, że Rakowski zatrzymał się, przystanął też przy nim.

Słyszę strzał. Oglądam się w biegu, widzę, jak Rakowski pada, jak enkawudzista fachowym ruchem jedną ręką pochyla głowę Kończanina, a drugą strzela mu w nasadę czaszki.

Odtąd strzały sypią się nieustannie. Biegniemy, nie oglądając się, kto pada. Rzucamy wszystko, nawet marynarki. Przebiegając, widzę rzuconą walizeczkę, która się otworzyła i ukazuje ser i cukierki. Przymierzam się z daleka, aby w biegu porwać ser, bo głód rwie kiszki, ale ręka się ześlizgnęła, a zatrzymać się nie śmiałem, bo z tyłu goniła śmierć.

Sierżant skończył opowiadanie. Twarz ma męską i pooraną, włosy mu zsiwiały w Rosji zupełnie

•

Kiedy za mną zastrzelono Rakowskiego i Kończanina, zebrałem siły i począłem przeganiać innych. Mijam ziemianina Czechowskiego. Stary niedołężnie plącze nogami po korzeniach i widząc mnie, błagalnie powtarza w kółko: „Ratuj, podaj rękę, sąsiedzie!". Strzał go powala. Teraz mijam Czernichowa, adwokata, działacza żydowskiego, któremu nieraz pomagałem w więzieniu. Czernichowowi zsuwają się spodnie. Może chciał je w biegu zrzucić, aby sobie ulżyć. Ale strzał kładzie go trupem.

Staram się słabnących podciąć słowem zachęty:

– Stachowski, bracie, jeszcze trochę, wysil się...

Stachowski, gospodarz spod Kurzenia, pięćdziesięcioletni, krzepki, wypracowany rolnik, staje nagle i mówi głucho:

– Ja już się kończę tutaj. Pamiętaj...

Nadbiegający bolszewik wbija mu bagnet w brzuch. Nie wiem, co mi chciał zwierzyć.

Żydzi Szlinger i Zając siedzieli w mojej celi za nielegalne przekroczenie granicy. Doganiam Szlingera. Biegnie, dysząc ciężko i coraz wolniej. Woła, że Zająca zabili, że z ośmiu Żydów, którzy byli w więzieniu, on tylko jeszcze żyje. „Panie Ciepluch, mnie słabo!" – patrzy na mnie ogromnymi oczami, z których płyną łzy.

– Bój się Boga, człowieku – wołam i już czuję, jak miarkuję, żeby eksponować najmniejszą liczbę słów – równo biegnij, równo...

Szlinger wiesza się na mnie oczami szukającymi ratunku i stara się biec równo, ale biegnie coraz wolniej. Nagle, wiedziony przeczuciem, odwraca w tył głowę. W tej samej chwili czoło przebija mu kula.

•

Zwykle widzę już z daleka, kto przystaje. W śmiertelnym strachu ludzie tracą dystans wolno, bardzo wolno, biegnąc ostatkiem sił. Ale do te...ry [nieczytelne], która znajdowała się gdzieś na czele kolumny, zbliżam się z zatrważającą szybkością.

To Mereczański, nauczyciel ze Świra, prowadzony przez syna, silnego ósmoklasistę. Krzepki chłopak holował ojca, ale stary zwisa mu na rękach. Ojciec usiłuje uwolnić się od syna, syn go rozpaczliwie, brutalnie wlecze.

Trzech enkawudzistów dopada. Jeden kopie chłopaka w brzuch, drugi chwyta starego Mereczańskiego za głowę, pochyla go fachowym ruchem, trzeci strzela w potylicę. Dwóch więźniów chwyta spazmującego chłopca pod ręce, biją go, pchają, biegnie już sam wstrząsany spazmem. Uczeń Siwicki Czesław woła „zwierzęta" i zaciska pięści. Zabijają go.

I jeszcze pamiętam podchorążego Grigorjewa, w cywilu nauczyciela, ślicznego chłopaka, kochanego przez dzieci, przez sąsiadów. Gdy go mijałem, wołał, że nie da rady. Już tylko za sobą posłyszałem strzał.

Wielu nie znałem. Któryś biegł nieco zanadto z boku. Przyskoczył enkawudzista: „Ty udirat'?". Człowiek rzucił się na kolana, z błota patrzył błagalnymi oczami, skamlał, że nie miał zamiaru ucieczki. Kula z góry przygwoździła go do ziemi.

Tak wpadliśmy na cmentarz leżący na skraju lasu. Cmentarz pokryty gęstymi krzakami malin. Gdy w nie wpadli ludzie, enkawudziści nie mogli mieć wszystkich na oku i się rozszaleli. Grzmiały salwy z broni maszynowej, rozlegały się jęki i przekleństwa. Kule świstały tak gęsto, że enkawudziści biegnący przodem poczęli wołać, aby zaprzestać ognia. Wówczas salwy znów zmieniły się w pojedyncze wystrzały, któremi idący w tyle patrol dobijał pojedynczych.

•

Za cmentarzem była rzeka i most, przez który nas skierowała eskorta. Połowa ludzi runęła rzeką w bród. Michałowski z Łyntup, który już wszedł na most, skoczył z niego do wody. Strzelony w locie jak kaczka spadał, wywijając koziołka.

Przebiegającym rzekę ludziom nie pozwolono pić. Woda sięgała pół łydki i była tak czysta... Nikt się nie poważył zatrzymać i zaczerpnąć.

Za rzeką przytrzymano pochód, nim wszyscy przejdą na drugą stronę. Skorzystałem z tego, aby zzuć but i wypić wodę. Drugi but zabrali towarzysze. Więc wyciskałem nogawkę i piłem każdą kroplę.

Sześć kilometrów od rzeki, a było już zupełnie ciemno, zarządzono nocleg. Ludzie starali się popękanemi, skrwawionemi ustami udzielić sobie wiadomości.

– Dziergacz z Niestaniszek...

– Niedroszlański Jan...

W tej ciemności nie wiedzieliśmy, kto żyje.

Terytorium było już sowieckie. Gdzieś koło Pleszczenic. Enkawudziści poszli do kołchozu po wodę. Przyszły baby z wiadrami, nie mówiły nic. Wypadło po pół litra na człowieka. Jeść i przez ten cały trzeci dzień nie otrzymaliśmy. Za nami był las pełen trupów naszych najbliższych. Słychać było wkoło mlaskanie enkawudzistów. Ludzie błagali:

– Towaryszcz, daj kusoczek! (Towarzyszu, daj kawałek!).

– Nie okolajesz (Nie zdechniesz) – odpowiadali pełnymi ustami.

•

27 czerwca był czwartym dniem marszu i czwartym dniem głodu. Samoloty niemieckie dokuczały często i dużo czasu się traciło na przeczekiwanie nalotów. Chcąc straty czasu nadrobić, eskorta popędzała następnie do tem forsowniejszego marszu. Enkawudziści wzięli się na sposób: z najsilniejszych dwunastu więźniów, którym dawali suchary i wodę, sformowali kolumnę marszową idącą na czele i nadającą tempo.

Strzały i w tym dniu padały gęsto. „Bystrej, popłotniej!" – rozlegały się ciągłe krzyki bolszewików. Ludzie szli jak automaty, przekraczając ciała zastrzelonych.

Na przystankach spowodowanych nalotami usiłowali skręcić papierosa, ale nie mogli. Nikt nie miał śliny, aby zwilżyć papier. Znalazłem w kieszeni kawałek cukru pozostały z tych dwunastu otrzymanych w pierwszym dniu. Podzieliłem go na kilka kawałków i rozdałem. Ale żadnemu z nas cukier nie topił się w zaschłych ustach. Wielu oddawało mocz do menażek, cedziło przez chusteczki, studziło i usiłowało pić. Na przystankach rwali kamienie z ziemi i lizali.

Na wieczór czwartego dnia podprowadzono nas do studzienki i pozwolono się napić do woli. Wypiłem trzy litrowe manierki, napełniłem manierkę na zapas, wypiłem, odchodząc od studni, stanąłem ponownie w kolejce i znowu wypiłem dwa litry i napełniłem manierkę. Ktoś litościwy dał mi siedem łyżeczek cukru. Zjadłem i poczułem się silnie. Ale i tego czwartego dnia nie dano nam nic jeść.

•

28 czerwca był piąty dzień naszego pochodu. Wiedzieliśmy, że idziemy do Borysowa, odległego od punktu naszego wymarszu o 250 kl. Wiedzieliśmy, że do Borysowa jest blisko. Samoloty niemieckie nie dokuczały. Tempo więc trzeba było trzymać tem ostrzejsze, bo ci pokarmieni wyciągali na przedzie dobrze nogi i bolszewicy pokrzykiwali również swoje „dawaj skoriej!".

Strażnicy wpadli w jakiś szał – ostatecznie i dla nich to była straszna droga. Szliśmy teraz szosą ciasną stłoczoną gromadą, ciasno otoczoną przez rozjuszonych ludzi z rewolwerami. Nie pozwolono od rana nikomu wyjść z szeregu dla załatwienia funkcji naturalnych i ludzie, spuszczając spodnie, starali się to robić w marszu, nie licząc się z protestami idących ciasno za nimi. Większość cierpiała strasznie.

Na moście przez Berezynę, już pod samym Borysowem, dwu więźniów skoczyło do wody. Jeden zabił się o filar mostu, za następnym posypały się strzały. Spłynął – nie wiadomo, żywy czy umarły.

Rozwścieczona eskorta zaraz za mostem ustawiła kolumnę, odliczyła piętnastu z brzegu, kazała im się ustawić przed karabinem maszynowym i oświadczyła, że będzie rozstrzeliwała po piętnastu. Jacyś wojskowi nadjeżdżający autem od strony Borysowa udaremnili egzekucję, każąc więźniów odstawić jak najprędzej.

Zaledwie znikł samochód, enkawudziści poczęli wołać: „Już ich

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

W Kaliningradzie, 1992

1.
Kucając na obsranych stopach Lenina w akademiku,
w mieście sambijskim, pruskim, niemieckim, rosyjskim,
w którym Kant wątpił o istnieniu i nieistnieniu Boga
(nie chodzi o stwórcę Prus w pikielhaubie, lecz o Jahwe),
martwię się, żebym się nie poślizgnął na resentymentach:
ZSRR przepadł w rurze kanalizacyjnej historii,
ale nie zassało imperium, które cierpi na rozwolnienie niewoli,
ale jak mi tu wszyscy tłumaczą kuracja jest tymczasowa,
biegun północny twardy, a pod lodami Syberii syczy ropa.
Wierzę na słowo, których tutaj na ścianie nie brakuje
zamiast papieru toaletowego, ratuję się, jak mogę, kucając
jak Lenin przyłapany w latrynie rewolucji na lewitacji.

2.
Zraniłem okulary, podpatrując pruskie ruiny,
przy których sowieckie wyglądają jak
opuszczone więzienia: raj krat, kraj rad.
Strefa niepokalanego niewolnictwa:
Białorusinki czerwone jak spalone gotyckie cegły,
Polki i Ukrainki bosonogie jak bałtyckie boginie.
Rosjanie podekscytowani odkrywaną tożsamością miejsca,
złapani w kolejną zasadzkę obcej im pamięci
na improwizowanym weselu pruskiej księżniczki z Sowiecka.
Zraniłem okulary i w piwnicy akademika
znalazłem złotą, chociaż biedną, rączkę,
która zlepiła plastyk, obwinęła rudym plastrem.
„Trzyma się, trzyma", nie oceniam krótkowzrocznie.

3.
Słowo do słowa, złota rączka okazał się lotnikiem
wojennego kukuruźnika; przyleciał na lotnisko pod lasem
w Allensteinie, wybrał się gazikiem z grupą żołnierzy
do centrum właśnie zdobytego na Giermańcach Olsztyna,
i zanim zaczął wynosić z opuszczonych mieszkań trofea,
to najadł się jak nigdy, na stołach stały półmiski ze strawą.
Co za piękne i smaczne to było miasto. A jak teraz wygląda?
Patrzy na mnie z napięciem, ja mam ruiny w okularach.

***Kazimierz Brakoniecki** - ur. w 1952 r., poeta, pisarz, tłumacz, redaktor, animator kultury. Mieszka w Olsztynie. Otrzymał m.in. nagrodę im. Piętaka, paryskiej „Kultury", im. Lindego. Wiersz wcześniej niepublikowany.

FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 4d6b712057

odprowadzimy – po swojemu!...”. Po czem dali komendę: „Biegom!”. Ludzie pochylili się jak do biegu i wówczas poczęto przebijać ich bagnetami. Widać szło o niealarmowanie strzałami bliskiego miasta. Słychać było chrzęst bagnetów o kości.

Dzierżawca majątku Czurlony, Józef Jaroszewicz, począł uciekać do lasu. Zastrzelono go, przywleczono na drogę i pozwolono załatwiać potrzeby naturalne, ale tylko na trupa. Nikt nie skorzystał.

W tej masakrze przed dojściem do celu między innymi padli: Waszkienieb, przodownik P.P., Bondar Piotr, Tomaszewicz wraz z żoną, inż. Boczarski, nauczyciel Kaczan, pdp. Matusiewicz, mierniczy Lipiński, urz. sądowy Burdecki, policjanci Bondar, Jankiewicz, Achronowicz, Smolong, ksiądz Matysiak, kolejarze Drobik i Bondarowicz, uczeń Rusin, osadnik Kamiński.

Z 1600 ludzi, którzy ruszyli ze Starej Wilejki, zamordowano w drodze 400. Potem w Orszy znowu zamordowano kilkudziesięciu. A potem ginęli w Rosji.

●

Sierżant Ciepluch skończył opowiadanie. Twarz ma męską i pooraną, włosy mu zsiwiały w Rosji zupełnie. Wybite w śledztwie zęby mu wprawiono, po dołach szkorbutowych na nogach pozostały tylko pigmentowe plamy. Na ramiona mu włożyli lśniące sierżanckie dystynkcje, znowu ma trzaskać obcasami i meldować się służbiście jak za czasów młodości, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy oczom świata zał [nieczytelne] się spod zalewu wschodniego i zachodniego oceanu ląd Międzymorza nikomu nieznany.

Kiedy rozmawiam z Ciepluchem i patrzę na łańcuszek krzyżyka noszonego pod mundurem, widzę oczami wyobraźni nabożeństwa majowe, ziemię łagodną, lud dobry. Kiedy pokazuje mi wyżarcia szkorbutu, myślę o młocie dziejów, który kuje dusze ludzkie na „ziemi równej nikomu niebronnej”. Kiedy patrzę na krąg tych ocalałych sąsiadów z Łyntup, z Bieniakoń, spod Komajów i spod Hoduciszek, jest, jakbym patrzył w krąg stającego się misterium.

Będziemy wracali szeroką ławą z jasyru w przyszłość pełną nowego stawania się. ●

PS Opowiadanie powyższe skonfrontowałem ze szczegółowymi zeznaniami dwóch innych uczestników makabrycznego pochodu niewolników:

Peruna Romana, chorążego rezerwy, lat 43, nauczyciela szkoły powszechnej w Świrze, pow. święciańskiego.

Jancewicza Bolesława, kaprala, pow. postawski. Jancewicz opowiada, że w czasie masakry pod Borysowem, kiedy kłuto bagnetami leżących ludzi, enkawudzista kłujący dokoła miał postawioną nogę na jego głowie. Potem zamierzył się bagnetem w pierś Jancewicza, co widząc, leżący przy Jancewiczu brat szarpnął go za lewą rękę, tak że bagnet zamiast piersi przebił prawe ramię. ●

Komentarz
Jak odkryto nieznany wcześniej reportaż Wańkowicza

Łukasz Garbal

autor nowej biografii Wańkowicza

Wańkowiczowskie opowieści, sprawiające wrażenie pisanych ot tak – na zawołanie – były owocem wielu żmudnych godzin poświęconych na zbieranie i weryfikację źródeł, z przygotowaniem stanu badań, bibliografii, kartotek.

Podczas wieloletniej pracy nad biografią Wańkowicza nowe znaleziska – nieoczekiwane – wpadały mi niemalże prosto do ręki; wyglądało to tak, jakby Wańkowicz chciał mnie swoimi archiwaliami, nieznanymi wcześniej nikomu poza nim i posiadaczami – zasypać.

Jeden z takich tekstów dzisiaj prezentujemy. To bardzo współczesna dziś, niestety, opowieść o sowieckich zbrodniach.

Tekst – a przynajmniej jego pierwsza wersja – został napisany zapewne w 1943 roku w Iraku, gdzie pisarz rozmawiał z uchodźcami i żołnierzami armii Andersa. (Wiele innych pisanych wówczas przez Wańkowicza reportaży dokumentujących ich losy było cenzurowanych przez Brytyjczyków, aby nie urazić Moskwy, nowego sojusznika; o niektórych dokładnie piszę w biografii).

●

Historia odkrycia tego nieznanego wcześniej badaczom Wańkowicza tekstu jest niezwykła.

Janusz Ruszkowski odnalazł go przypadkowo, podczas kwerend, które prowadził w 1989 roku w Instytucie Hoovera [w Stanford, Kalifornia] na zupełnie inny temat.

Tekst w archiwum nie był opisany jako Wańkowiczowski. Znalazca zamierzał coś o tym napisać – ale to się nie udało; wykonaną 36 lat wcześniej kserokopię odnalazł w toku prac nad moją książką, gdy jako redaktor w Wydawnictwie Czarne pomagał mi w dotarciu do archiwum, w którym szukałem memoriału Wańkowicza z 1930 roku z planem uzależnienia Polaków od cukru...

Ruszkowski zwraca też uwagę, że inny opis więzienia w Starej Wilejce, innego autorstwa, różniący się nieco w szczegółach, opublikowany został w latach osiemdziesiątych w zbiorze relacji „W czterdziestym nas matko na Sibir zesłali...” pod redakcją Jana Tomasza Grossa i Ireny Grudzińskiej-Gross. Co ciekawe, skan pierwszej strony „Jasyru” jest obecnie dostępny także w Narodowym Archiwum Cyfrowym (brak jednak stron kolejnych). Całość prawdopodobnie nadal znajduje się w Hoover Institution Library and Archives (Wladyslaw Anders collection).

Wańkowicz zapewne – jak to miał w zwyczaju – zebrał więcej podobnych relacji; być może znajdują się w innych miejscach tej czy innych kolekcji.

Może ktoś z Czytelników odnajdzie kolejny niedrukowany wcześniej tekst Wańkowicza? Ten niezmożony reporter zdaje się wracać do nas pół wieku po swojej śmierci; jakby pisał dalej; jakby znowu jego pasja dokumentowania moskiewskich zbrodni i mobilizowania opinii publicznej przeciw dezinformacji była potrzebna.

Dziękuję Januszowi Ruszkowskiemu za podzielenie się swoim odkryciem – a Dawidowi Walendowskiemu, prawnukowi Wańkowicza, i całej Rodzinie za zgodę na druk tego tekstu jednocześnie z wydaniem mojej biografii Wańkowicza, w której podobnych historii jest więcej. ●

Łukasz Garbal, **„Wańkowicz. Życie na kraterze”,** Wydawnictwo Czarne, Warszawa 2025

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34409605

DO 20 GRUDNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”

na styczeń 2026 u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl**
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

***W prezencie książka** „Prawdziwe zbrodnie”

*Książka do odbioru od 16 stycznia 2026 w punkcie sprzedaży **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej”: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. ***Cena sugerowana

CENA PRENUMERATY 199,99 zł***

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

ALE HISTORIA

Polscy archeolodzy NIE BYLI KOLONISTAMI

Dziś trudno w to uwierzyć, ale za Gierka inteligenci dyskutowali przy kawie o sukcesach polskich archeologów.

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

Pół wieku po wydaniu legendarnej książki „Od Edfu do Faras” słynnego archeologa Kazimierza Michałowskiego ukazała się kontynuacja „Od Faras do...”

Z PROF. TOMASZEM DERDĄ
ROZMAWIA PIOTR GŁUCHOWSKI

PIOTR GŁUCHOWSKI: Wspomina pan w przedmowie, że w PRL archeologia śródziemnomorska była społecznym fenomenem.
PROF. TOMASZ DERDA, historyk antyku, papirolog, pomysłodawca książki „Od Faras do...”: O jedno miejsce na tym kierunku studiów walczyło ponad 20 kandydatów. W szanującym się inteligenckim domu musiała stać na półkach tak zwana seria ceramowska, czyli PIW-owskie „Rodowody cywilizacji”. Obowiązkowa była również praca nestora polskiej archeologii, zmarłego w 1981 roku profesora Kazimierza Michałowskiego „Od Edfu do Faras”.

Kultowe wydanie z 1974 roku z główką Nefertiti.
– Michałowski pisał dużo dla masowego czytelnika, potrafił się sprzedawać – pod tym względem wyprzedził o dziesięciolecia swoją epokę. Był mistrzem krótkich form, które dzisiaj świetnie by się sprawdziły w internecie. Książka „Od Edfu do Faras” to przystępnie napisany zarys historii polskiej archeologii śródziemnomorskiej, począwszy od francusko-polskich badań w Edfu (1936-1939). Dziś trudno w to uwierzyć, lecz w epoce Edwarda Gierka krajowi inteligenci, czytelnicy Michałowskiego, dyskutowali przy kawie o najnowszych odkryciach archeologicznych. On sam był, mówiąc dzisiejszym językiem, celebrytą, bohaterem masowej wyobraźni. W czasach szkolnych oglądałem profesora w telewizyjnym programie „Wszystko za wszystko” i fascynowałem się zarówno samą archeologią, jak i człowiekiem. Po latach przygotowałem dalszy ciąg rozpoczętej przezeń historii.

„Od Faras do...” składa się z sześciu rozmów z uczniami Michałowskiego, jego następcami. Niestety, jeden z bohaterów książki, najstarszy w tym gronie Stefan Jakobielski (rocznik 1937), wydania książki już nie doczekał, choć zdążył jeszcze autoryzować wywiad.

Profesor Michałowski mawiał: „Mamy ograniczone środki, musimy więc kopać w pierwszorzędnych miejscach”...
– Najlepiej w dawnych stolicach.

...i w książce każdy z bohaterów wiąże się z jakimś stanowiskiem archeologicznym. Zacznijmy zatem od profesora Jakobielskiego. Karierę zaczynał w tytułowym Faras...
– ...które w starożytności i średniowieczu zwało się Pachoras. To miejsce na lewym brzegu Nilu, dwa kilometry na południe od granicy egipsko-sudańskiej. Michałowski wraz z kilkoma współpracownikami, wśród których był Jakobielski – niespełna trzydziestoletni absolwent studiów egiptologicznych na UW – pojawili się tam w 1961 roku.

Michałowski wiedział już, że Faras za trzy lata znajdzie się pod wodami Jeziora Nasera powstającego wskutek wzniesienia Wielkiej Tamy Asuańskiej. Cztery sezony badawcze, ostatni zimą 1963-1964, to był prawdziwy wyścig z czasem. Ale się opłaciło. Polacy odkryli świetnie zachowane pozostałości wielkiej katedry chrześcijańskiej, a na jej ścianach ponad 150 malowideł wykonanych farbami temperowymi na suchym tynku – to są właśnie te słynne „freski” z Faras.

W cudzysłowie, dlatego że prawdziwe freski maluje się na tynku mokrym. Polichromie z katedry zostały wycięte wraz z fragmentami ścian...
– Nie było po co ich zostawiać, katedra i tak była skazana na zatopienie. Jakobielski zresztą pracował w Faras do końca, do samego zalania, pływał nawet łodzią i oglądał mury kościoła pod wodą. To musiał być niesamowity widok...

Przeniesienie malowideł było ogromnym przedsięwzięciem konserwatorskim, na dodatek wszystko robiono w pośpiechu. Dramatyczne momenty zdarzały się aż do ostatniego etapu podróży, gdy w drodze z Gdyni do Warszawy jedna z ciężarówek zawieruszyła się na kilka godzin. Dzisiaj „freski” z Faras można podziwiać w muzeach w Warszawie i Chartumie. Te warszawskie, prezentowane w osobnej galerii, stanowią największą atrakcję Muzeum Narodowego. Ze ścian patrzą na nas postaci świętych, biskupi Faras, władcy i dygnitarze chrześcijańskiego państwa przez niemal tysiąclecie odgrodzonego od świata śródziemnomorskiego morzem islamu. Słynne i piękne przedstawienie św. Anny z palcem na ustach było przez długi czas wykorzystywane jako logo warszawskiego muzeum.

▲ **Prof. Kazimierz Michałowski (1901-1981), egiptolog, archeolog, historyk sztuki, podczas wykopalisk w Palmyrze w 1962 roku**
FOT. WIESŁAW PRAŻUCH Z ZBIORACH MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

Poza freskami coś z katedry przetrwało?
– Sporo rozmaitych artefaktów, które też znajdują się w Warszawie. A na cmentarzu Bródnowskim, niedaleko kościoła św. Wincentego à Paulo, leży mogiła z tajemniczym napisem „Grób kapłański”. Pochowano tam szczątki kilkunastu biskupów Pachoras, których pochówki znajdowały się w zatopionej katedrze.

W Faras ani czas, ani warunki nie pozwalały na przeprowadzenie badań antropologicznych. Dlatego towarzyszący archeologom antropolog Tadeusz Dzierżykray-Rogalski postanowił je przeprowadzić w Warszawie. Kości przewiózł w walizce. O ich godny pochówek zadbał Stefan Jakobielski. Biskupi wprawdzie nie byli katolikami, ale monofizytami, jednak nikt z polskich duchownych nie kwestionował ich sukcesji apostolskiej.

Kolejnym bohaterem książki jest osiemdziesięcioletni dzisiaj profesor Włodzimierz Godlewski, który przez wiele lat kopał w sudańskiej Starej Dongoli.
– Stanowisko to – badane także i dzisiaj – przejął od Jakobielskiego. Dongola była stolicą Makurii, jednego z królestw chrześcijańskich Nubii, historycznej krainy rozciągającej się nad środkowym Nilem. Polacy pracują tu od 1966 roku i mimo niemal 60 lat wykopalisk przebadano zaledwie niewielką część miasta, które w XI i XII wieku dorównywało rozmiarami największym metropoliom Europy. Stało tam kilkanaście kościołów, w większości bogato pokrytych malowidłami ściennymi z wizerunkami królów w towarzystwie postaci opiekuńczych – archaniołów i świętych. Są też polichromie na tematy biblijne, jak choćby popularne w chrześcijańskiej Nubii przedstawienie trzech młodzianków w piecu ognistym. „Fresk” o tej tematyce znamy również z katedry w Faras. To motyw ze starotestamentowej Księgi Daniela: trzej Hebrajczycy zostali wrzuceni na rozkaz króla Nabuchodonozora do pieca, bo nie chcieli oddać czci babilońskiemu bóstwu. Ale Jahwe ich uratował.

10 kilometrów od Dongoli Polacy odkryli także klasztor stojący na prawym brzegu Nilu. A w nim niemal tysiąc w większości greckich inskrypcji wydrapanych na ścianach. Jest wśród nich jeden pochodzący z XIV wieku zapis po prowansalsku, co oznacza, że średniowieczna Europa utrzymywała jakieś relacje z odciętym przez świat islamu chrześcijaństwem środkowoafrykańskim.

Dziś szefem wykopalisk w Dongoli jest profesor Artur Obłuski, dyrektor Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego.
– Tak. Artur nadał badaniom nowy kierunek, interesując się tym, co nastąpiło po końcu chrześcijaństwa. Za datę symboliczną przyjmuje się 1317 rok, w którym dawną salę tronową władców Makurii zamieniono na meczet. I właśnie Obłuski, badając wczesnonowożytną zabudowę z czasów islamskich, niespodziewanie natknął się przed kilkoma laty na pozostałości wielkiego kościoła schowanego w piachu aż po sklepienia! Na razie wiemy tyle, że jest polichromowany, bo tuż pod krawędzią sklepień widać całkiem dobrze zachowane malowidła. Należy się także spodziewać inskrypcji w używanych na tym terenie trzech językach: greckim, koptyjskim i staronubijskim. To istotne, bo słowa na ścianach są najlepszym kluczem do zrozumienia odkopywanych z piachu cywilizacji.

Następnym rozmówcą w książce jest osiemdziesięciopięcioletni letni dziś profesor Michał Gawlikowski.
– Kolejny uczeń Michałowskiego. Pracował na wielu stanowiskach w Syrii, Jordanii, Egipcie. Ale jego miejscem na ziemi jest bez wątpienia Palmyra, dzisiejszy Tadmor na Pustyni Syryjskiej. Tutaj pracowali nie tylko Polacy, ale też Anglicy, Francuzi, Niemcy i Szwajcarzy. Najważniejsze „narody archeologiczne”.

Bo Palmyra to nie byle co: w starożytności była bogatym i silnym miastem-państwem, które karierę zawdzięczało położeniu w oazie na pustynnym szlaku wiodącym ze wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego do Mezopotamii. Z jednej strony sąsiadowała z Imperium Rzymskim, z drugiej – z państwem Partów. Pomiędzy pierwszym a trzecim wiekiem naszej ery wykształciła się tutaj specyficzna cywilizacja łącząca elementy sztuki Wschodu i Zachodu. To była sztuka semicko-hellenistyczno-rzymska. Do momentu, kiedy przed dekadą wdarło się tam państwo islamskie, można było podziwiać dobrze zachowane ulice z kolumnadami, na skrzyżowaniu głównych ulic stał tetrapylon...

...czyli coś, jakby łuk triumfalny otwarty na cztery strony...
– ...dalej mamy, a właściwie mieliśmy, gigantyczną świątynię Baala z pięciohektarowym dziedzińcem wewnętrznym, zachowaną zresztą w bardzo dobrym stanie aż po dach. No i mnóstwo rzeźb, z których najsłynniejsze są odnajdywane w grobowcach wieżowych portrety palmyreńskie...

...realistyczne kamienne popiersia, głowy lub całe postacie wyglądające, jakby je wyrzeźbili starożytni Grecy albo Rzymianie.
– Uważa się, że palmyreńskie popiersia powstawały jako dekoracja symboliczna, a nie wierne przedstawienia wyglądu zmarłego lub zmarłej. W przedstawieniach postaci występuje niewiele indywidualizacji, a rysy twarzy – podobnie jak w większości starożytnych portretów – są idealizowane. Tak czy inaczej są to zabytki bardzo dziś cenione, zdobiące kolekcje największych muzeów na świecie.

Palmyra była, jak mówiłem, potęgą. Zenobia z Palmyry, królewska wdowa rządząca w imieniu małoletniego syna Waballata, odważyła się zaatakować Rzym! W latach siedemdziesiątych III wieku jej wojska podbiły Arabię, Egipt i część Azji Mniejszej. Cesarz rzymski Aurelian musiał się osobiście pofatygować, by pokonać palmyreńskie imperium. W 272 roku rzymskie legiony zdobyły Palmyrę. Jeden z następców Aureliana, Dioklecjan, założył w mieście obóz w formie murowanego miasta, który zresztą odkopywali Polacy.

◀ **Malowidło ścienne, odkopane stanowisku archeologicznym w Faras w północnym Sudanie. Przedstawienie św. Anny z palcem na ustach było wykorzystywane jako logo Muzeum Narodowego w Warszawie**
FOT. REPRODUKCJA: PIOTR LIGIER W ZBIORACH MUZEM NARODOWEGO W WARSZAWIE

Terroryści z ISIS wtargnęli do Tadmoru/Palmyry w 2015 roku. Wysadzili świątynię Baala i rzymski tetrapylon, a w starożytnym teatrze zaczęli pokazowo rozstrzeliwać jeńców.
– Ofiarą terrorystów padł też Chaled el-Asad, emerytowany już wówczas dyrektor muzeum w Tadmorze. Nie tylko wybitny archeolog, ale także człowiek instytucja wspomagający wszystkie misje archeologiczne tam pracujące. Gawlikowski i inni moi koledzy z UW byli z nim zaprzyjaźnieni. 18 sierpnia 2015 roku został publicznie ścięty. Islamiści go zabili, ponieważ nawet na torturach odmówił wyjawienia, gdzie ukrył ruchome zabytki.

A gdzie je ukrył?
– Większą część udało się wywieźć do Damaszku. Terroryści po egzekucji wystawili pozbawione głowy ciało El-Asada na widok publiczny. Metodycznie zniszczyli całe stanowisko archeologiczne.

eprasa.pl 4d6b712057

Czwartym rozmówcą w książce jest przeszło osiemdziesięcioletni profesor Karol Myśliwiec.
– Wybitny egiptolog, jedyny w tym towarzystwie członek rzeczywisty PAN, który kierował przede wszystkim wykopaliskami w Sakkarze. To część nekropoli Memfis, stolicy Egiptu w czasach Starego Państwa. Królów i dostojników grzebano na terenie, który ciągnie się ponad 80 kilometrów po zachodniej stronie Nilu. W tym pasie mamy wszystkie wielkie piramidy: od Meidum na południu, przez Dahszur, Sakkarę i Gizę, aż po Abu Roasz.

Sama Sakkara jest znana przede wszystkim z piramidy schodkowej Dżosera, faraona III dynastii żyjącego w XXVII wieku przed naszą erą. Był pierwszym królem pochowanym w piramidzie. Wcześniejszą formą pochówku były mastaby, po arabsku słowo to oznacza ławę, budowle o formie ściętego ostrosłupa na prostokątnym planie. Piramida Dżosera wzięła się z oryginalnego pomysłu ustawienia mastaby na mastabie. Najpierw ustawiono cztery, a potem sześć – w ten sposób powstała forma, którą nazywamy piramidą schodkową. Stąd już tylko krok – zrobili go następcy Dżosera z IV dynastii – do klasycznej formy egipskiej piramidy, czyli graniastosłupa na planie kwadratu. Na nekropolach memfickich mamy setki mastab. Wzniesiono je wokół piramid, ponieważ dostojnicy budowali swoje miejsca wiecznego spoczynku koło grobowca króla. Żadnemu jednak nie wolno było postawić piramidy – to był przywilej faraona.

Oczywiście Sakkara nie jest stanowiskiem wyłącznie polskim, jak to było w przypadku Faras czy Dongoli. Tutaj, podobnie jak w Palmyrze, pracuje rzesza archeologów z całego świata. To jedno z najważniejszych stanowisk archeologicznych w Egipcie.

Karol Myśliwiec uzyskał koncesję na wykopaliska w Sakkarze i postanowił kopać po zachodniej stronie piramidy Dżosera, chociaż mówiono, że tam akurat pewnie nie znajdzie niczego. Miał jednak dobre rozeznanie i znalazł grobowiec wezyra Merefnebefa, najważniejszego urzędnika, mówiąc dzisiejszym językiem – premiera, z okresu Starego Państwa.

Wcześniej nieodkryty?
– Nieodkryty przez współczesną naukę, ale obrabowany, jak prawie wszystkie mastaby i piramidy, przez starożytnych złodziei. Na szczęście pozostały reliefy i malowidła, których nie dało się wynieść. Przedstawienia figuratywne, inskrypcje... Profesor Myśliwiec mówił po odkryciu, że wyglądały, jakby namalowano je wczoraj.

Natomiast dla mnie osobiście równie ważne albo i ważniejsze były wcześniejsze wykopaliska Myśliwca w Tell Atrib, starożytnym Athribis. Dziś to przedmieścia miasta Benha położonego 50 kilometrów od Kairu przy linii kolejowej do Aleksandrii.

Stanowisko w Benha zostało wybrane osobiście przez Michałowskiego jeszcze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Było jednym z pierwszych stanowisk badanych przez Polaków w Egipcie. Miasto Athribis pełniło funkcję regionalnej stolicy w czasach faraonów, a potem Ptolemeuszy i Rzymian. Prace prowadzono w trudnych warunkach. Wokoło brzydkie, depresyjne przedmieście dużego miasta, bieda, brudno. Stanowisko miało jednak ogromny potencjał, który chyba nie do końca został wykorzystany.

Dlaczego?
– Bo Karol Myśliwiec przeniósł się do Sakkary i Polacy opuścili Tell Atrib. Szkoda, gdyż moim zdaniem można tam było jeszcze wiele osiągnąć.

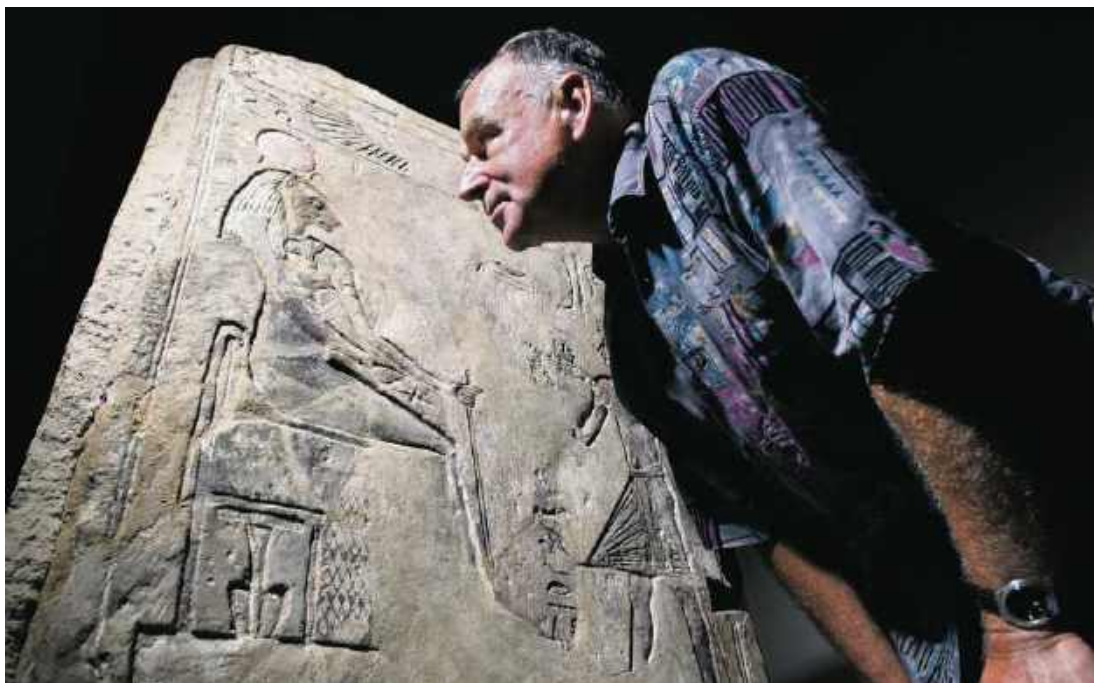

• **Prof. Karol Myśliwiec, archeolog i egiptolog, członek Polskiej Akademii Nauk, zdjęcie z 2007 roku**
FOT. BOGDAN KRĘŻEL / FORUM

• **Fragment galerii Faras w Muzeum Narodowym w Warszawie**
FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ale wcześniej odkopywał tam świetne rzeczy. Wyposażenie bogatych, starożytnych domów, na przykład marmurowe głowy i popiersia – czasem portrety właścicieli, częściej kopie przedstawień postaci mitycznych i historycznych, jak Aleksander Wielki, które tworzyli setki lat wcześniej Lizyp z Sykionu, Fidiasz czy Praksyteles. Ich oryginalne, zaginione prace znamy w większości tylko z kopii – takich jak te odkopywane w Benha.

Oczywiście tego typu odkrycia pięknie wyglądają w muzeach, ale dla archeologów cenniejsze, ponieważ dające większą wiedzę o badanej epoce, są warsztaty. Pożądamy ich bardziej niż złotych skarbów. Bo mamy zachowane obiekty – choćby szkło z czasów rzymskich: doskonałe technologicznie, cienkie, finezyjnie powyginane – ale nie wiemy często, jak je produkowano. Dlatego odkryciami na wagę złota są na przykład piece do produkcji szkliwa. Kadzie i baseny do fermentacji wina. Interesują nas także młyny. W Athribis Polacy odkryli dzielnicę warsztatów czynnych w czasach ptolemejskich, w tym unikalną pracownię fajansu.

Przeszło osiemdziesięcioletni doktor Wojciech Kołątaj to jedyny niearcheolog w książce.
– Architekt, który poświęcił życie badaniom bliskiej także memu sercu egipskiej Aleksandrii. Tę wielką metropolię świata śródziemnomorskiego upatrzył sobie jeszcze Michałowski. W roku 1958, a zatem w czasach, gdy młody Gamal Abdel Naser budował egipski socjalizm, Polacy dostali zgodę na przekopanie dużego terenu w pobliżu aleksandryjskiego dworca kolejowego, gdzie miał powstać rozległy kompleks biurowo-mieszkalny. W zamierzeniu Egipcjan były to badania przedinwestycyjne – archeolodzy w rok zrobią swoje i będzie można wprowadzać sprzęt budowlany.

Michałowskiemu jednak sprzyjało szczęście, a może po prostu wiedział, gdzie wbić łopatę. Już po kilku tygodniach było jasne, że Polacy trafili w pozostałości dobrze zachowanego gmachu wzniesionego z marmuru, którym okazała się budowla teatralna. Marmur wykorzystywany jako materiał budowlany zawsze wskazuje na obiekt ważny i kosztowny. Wyniki prac były na tyle obiecujące, że Michałowskiemu nie bez trudu udało się wymusić rezygnację Egipcjan z planowanej inwestycji. Odsłonięcie budowli teatralnej dało początek rozległemu parkowi archeologicznemu, który dziś przyciąga turystów w Aleksandrii. Miejsce nazywa się Kom el-Dikka.

I do prac przy tworzeniu tego parku Michałowski zatrudnił właśnie Wojciecha Kołątaja.
– Kołątaj połączył kompetencje architekta i znawcy antycznej architektury z umiejętnościami przedsiębiorcy organizującego prace inżynieryjne i rekonstrukcyjne. W ciągu następnych czterdziestu lat zrekonstruował poza teatrem także zespół ogromnych łaźni cesarskich i dzielnicę mieszkalną z Willą Ptaków – nazwa pochodzi od pięknych mozaik przedstawiających śródziemnomorskie ptactwo z dokładnością godną ornitologa.

Kołątaj już w trakcie odkopywania teatru zrozumiał, że budowla ta, wzniesiona w IV wieku naszej ery, pierwotnie otwarta, została dwa wieki później poddana przebudowie. Przykryto ją kopułą i połączono z sąsiednimi budynkami, które jednak zostały odsłonięte przez archeologów dopiero czterdzieści lat po odkryciu budowli teatralnej. Na początku tego stulecia ekipa pod kierunkiem Grzegorza Majcherka odkryła zespół sal wykładowych wzniesionych wzdłuż monumentalnej ulicy kolumnowej. I wtedy się okazało, że przebudowany w VI wieku teatr zaczął służyć jako swoiste audytorium maximum. W Aleksandrii możemy zatem podziwiać pierwszy europejski, choć geograficznie poza Europą, zespół budynków służących dydaktyce, najstarszą znaną nam akademię.

A ta wcześniejsza, platońska?
– Mieściła się w gaju poświęconym herosowi Akademosowi, od którego pochodzi jej nazwa. Faktycznie nie wiemy, w jakich budynkach i czy w ogóle w budynkach Platon spotykał się z uczniami.

Czy wiemy coś o życiu codziennym aleksandryjskich studentów?
– Źródła literackie wspominają, że lubili spędzać czas w łaźniach. Mówimy o czasach późnego antyku, epoce dominującego chrześcijaństwa, które w sferze obyczajowości zmieniło bardzo wiele. A mimo to adepci wiedzy w Aleksandrii, w Antiochii, w Konstantynopolu chodzili do łaźni chętnie. Kom el-Dikka świetnie to pokazuje, bo łaźnie cesarskie znajdują się tuż obok sal wykładowych akademii.

Studenci fascynowali się też widowiskami sportowymi. Chrześcijańscy władcy zakazali ulubionej rozrywki wielkich miast, igrzysk z udziałem gladiatorów. Ale życie nie znosi próżni. Rolę krwawych widowisk przejęły wyścigi zaprzęgów konnych, znane wprawdzie Grekom i Rzymianom od zawsze, ale nigdy tak popularne jak w ostatnich wiekach antyku. W hipodromie, na który Rzymianie mówili „circus", ścigały się zaprzęgi konne należące do klubów, z których w VI i VII wieku najważniejsi byli Zieloni i Niebiescy. Kluby, nazywamy je fakcjami, miały charakter nie lokalny jak dzisiejsze piłkarskie, lecz ogólnopaństwowy. Niebiescy rywalizowali z Zielonymi w cyrkach jak imperium długie i szerokie. Rywalizacji towarzyszyły ogromne emocje. Dochodziło do ulicznych zamieszek, a działalność fakcji nabierała z czasem charakteru politycznego. W chwilach przesileń poparcie fakcji dla kandydata do tronu miało niebagatelne znaczenie.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia do Aleksandrii trafił Zbigniew Borkowski, mój mistrz i nauczyciel papirologii. I to właśnie Borkowski na siedzeniach teatru zamienionego w największą salę akademii znalazł dziesiątki graffiti wyrytych przez kibiców emocjonujących się wyścigami zaprzęgów konnych w aleksandryjskim hipodromie. Kibicami mogli być studenci, wygląda też na to, że aula pod kopułą była miejscem zebrań przynajmniej jednej z cyrkowych fakcji.

Co wydrapywali starożytni kibice?
– Imiona i wizerunki woźniców rydwanów, którzy byli gwiazdami na miarę dzisiejszych herosów piłki nożnej, Lewandowskimi i Messimi tamtych czasów. Do tego hasła w rodzaju: „niech zginie, przepadnie ten a ten (i tu imię woźnicy z przeciwnej fakcji)". Emocje sportowych kibiców niewiele się od tamtego czasu zmieniły.

Kobiety nie brały w tym udziału.
– Zasadniczo świat starożytnej nauki był przeznaczony dla mężczyzn, choć zdarzały się i wyjątki. Właśnie w Aleksandrii na przełomie IV i V wieku nauczała Hypatia, matematyczka, filozofka i astronomka, która zginęła w 415 roku zamordowana przez chrześcijan. To wielka postać antycznej nauki, charyzmatyczna nauczycielka gromadząca wokół siebie krąg ludzi połączonych pragnieniem dociekania prawdy, wśród których byli zarówno poganie, jak i chrześcijanie, często osoby u progu wielkich karier, jak na przykład Synezjusz, późniejszy biskup Ptolemaidy w Cyrenajce. Sama Hypatia była – powiedzielibyśmy dzisiaj – niepraktykującą poganką, co wystarczyło, by ściągnąć na siebie nienawiść aleksandryjskiego biskupa Cyryla. Ten hierarcha – skądinąd subtelny teolog i egzegeta, święty Kościołów wschodnich i zachodnich – doprowadził do zamieszek, w czasie których sfanatyzowany tłum wywlókł Hypatię z powozu przed kościołem, po czym zdarto z niej ubranie, wyłupiono oczy i ukamienowano.

Jak widać, Hypatia to postać wprost skrojona na potrzeby gender studies, co wspaniale wykorzystała Maria Dzielska, zmarła przed kilku laty historyczka z Krakowa, publikując w 1993 roku biografię Hypatii przetłumaczoną na kilkanaście języków, w tym koreański. Ten wizerunek aleksandryjskiej filozofki utrwala też hiszpański film

eprasa.pl 4d6b712057

„Agora” z 2009 roku, w którym Hypatię gra Rachel Weisz.

Hypatia przychodziła do akademii na Kom el-Dikka?
– Nie, bo budynki te wzniesiono co najmniej sto lat później… Hypatia nie mogła przychodzić do budynku teatralnego, gdy jeszcze był teatrem.

Ostatni, szósty bohater książki to blisko osiemdziesięcioletni profesor Piotr Bieliński, także uczeń Michałowskiego.
– Piotra Bielińskiego, najmłodszego z bohaterów książki, trudno połączyć z jednym stanowiskiem archeologicznym. Ten błyskotliwy dydaktyk, jeden z najlepszych, jakich poznałem, specjalizuje się w historii Mezopotamii, kopał w Iraku i w Syrii, a kiedy okoliczności wojenno-polityczne wypchnęły go z tego regionu, ruszył do krajów będących peryferiami Międzyrzecza i podjął badania w Kuwejcie, a potem w Omanie. Zna się osobiście z rządzącym tym krajem sułtanem Hajsamem ibn Tarikiem el-Sa'idem, absolwentem Oksfordu, którego poznał w czasach, gdy przyszły władca był ministrem kultury i owocnie współpracował z wieloma archeologami z Europy.

W Omanie Bieliński badał kulturę Umm el-Nar z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą, odkrywając tajemnicze wieże kamienne mające dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów średnicy i około sześciu metrów wysokości – tyle mierzy najwyższy zachowany fragment, ale niepowiedziane, że nie było obiektów potężniejszych. Problem w tym, że nie wiemy, czemu miały służyć. Kluczowe dla interpretacji znalezisk archeologicznych są, jak już mówiłem, źródła pisane, a Umm el-Nar to była cywilizacja, która nie używała pisma.

Poza tym Piotr Bieliński to człowiek instytucja. Przez dwie kadencje był dziekanem wielkiego Wydziału Historycznego UW, potem dyrektorem wspominanego już Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej słusznie noszącego imię Kazimierza Michałowskiego.

Między sobą czasami mówimy o jego uczniach: diadochowie, nawiązując do macedońskich wodzów, spadkobierców Aleksandra Wielkiego. Michałowski bohaterów książki ukształtował, dał im szansę robienia czegoś niezwykle ciekawego w nieciekawych czasach. Mimo wielu obowiązków i wielu miesięcy spędzanych każdego roku poza Polską bardzo uważnie przyglądał się studentom archeologii śródziemnomorskiej. W rozmowach pojawia się często wątek początku: jak i dlaczego Michałowski wybrał właśnie tę osobę i jej zechciał dać szansę?

Wybitnych uczniów miał oczywiście więcej niż tych sześciu panów. Niestety, niektórych nie ma już wśród nas, nie można więc było z nimi porozmawiać. Z tego powodu w książce brak choćby takich flagowych przedsięwzięć polskiej archeologii jak prace w świątyni Hatszepsut w Deir el-Bahari, które prowadziła po Michałowskim zmarła w 2009 roku wybitna egiptolożka Jadwiga Lipińska. Zabrakło też cypryjskiego stanowiska Nea Pafos, gdzie wykopaliskom szefowali nieżyjący od czterech lat Wiktor Andrzej Daszewski i zmarła niewiele wcześniej Zofia Sztetyłło.

Czytam ich biogramy. Niebywale ciekawi ludzie.
– Tak, rzeczywiście. Archeologia śródziemnomorska przyciągała osoby z bardzo różnych środowisk. Najbliższy mi z bohaterów książki Włodzimierz Godlewski, pod którego kierunkiem przez wiele lat pracowałem, pochodzi z biednej rodziny na Podlasiu, gdzie zaraz po wojnie żyło się naprawdę ciężko. A Piotr Bieliński dla odmiany wywodzi się ze stołecznej elity intelektualnej: jego mama Halina była nagradzaną na festiwalu w Cannes autorką filmów animowanych, zaś ciotka Maria Krüger – pisarką i dziennikarką, autorką popularnej powieści dla młodzieży „Godzina pąsowej róży”. To ona wymyśliła telewizyjną audycję „Miś z okienka”.

Poza wszystkim archeologia śródziemnomorska była trendy, przyciągała młodych ludzi o znanych nazwiskach, na przykład Piotra Parandowskiego, syna Jana i Ewę Holoubek, córkę Gustawa. Zmarły w 2012 roku Piotr – filmowiec i pisarz, pozostawił po sobie kilka naprawdę wartych oglądania filmów dokumentujących pracę polskich archeologów.

Podkreślił pan, że stołeczne centrum archeologiczne słusznie nosi imię Kazimierza Michałowskiego. Ktoś twierdzi inaczej?
– Ostatnimi laty młodzi archeolodzy piętnują swoich wybitnych poprzedników, zarzucając im kolonialne podejście… Przede wszystkim na Zachodzie, w byłych krajach kolonialnych, ale i u nas podnoszą się takie głosy.

Bo wywozili te wszystkie skarby Afryki i Azji do Londynu, Berlina, Warszawy…
– A także źle traktowali lokalnych archeologów, nie chcieli współpracować. W mojej opinii ów nowomodny nurt rozliczeniowy nas nie dotyczy. Polska nie miała kolonii, z wyjątkiem południowoegipskiego Edfu nie prowadziliśmy wykopalisk przed II wojną światową. Michałowski kolonialistą nie był.

A „freski” z Faras, które dzięki niemu trafiły do Warszawy, po pierwsze, zostały wywiezione w porozumieniu z władzami Sudanu, a po drugie, nie miały szans przetrwania w swoim naturalnym kontekście. Były natomiast potrzebne tu, nad Wisłą, by wywrzeć wrażenie na decydentach partyjnych PRL, bo Michałowski potrzebował dolarów na wykopaliska. Musiał więc przynosić państwu ludowemu coś w zamian. Ale miał też poczucie, że stworzona przez niego Galeria Faras w Muzeum Narodowym to coś absolutnie wyjątkowego w skali świata.

Autorem wszystkich rozmów w książce jest Emil Marat – dziennikarz i pisarz, w przeszłości nominowany do nagrody Nike.
– Mój pomysł na książkę był właśnie taki, żeby z archeologami rozmawiał nie archeolog, ale człowiek spoza środowiska, za to z dużym dorobkiem obejmującym między innymi wywiady rzeki ze Stanisławem Likiernikiem, pierwowzorem „Kolumba” z powieści Bratnego, i Stanisławem Aronsonem – również żołnierzem Kedywu AK. Bo ze starymi ludźmi trzeba umieć rozmawiać. Marat widział książkę tak samo jak ja: jako rzecz o społecznym fenomenie archeologii śródziemnomorskiej w PRL.

Jeśli czytelnika rozmowy te zainteresują, może jeszcze lepiej poznać ich bohaterów, zaglądając na profil Wydziału Archeologii UW na YouTubie. Znajdują się tam filmy o bohaterach, które nie są tożsame z wywiadami w książce.

Jej okładkę zdobi rycina przedstawiająca kamiennego lwa chroniącego skuloną gazelę. Co to za obiekt?
– To obecnie symbol graficzny Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW. Kamienny relief ze świątyni Allat w Palmyrze został odkryty w 1977 roku przez polskich archeologów pracujących pod kierownictwem Michała Gawlikowskiego. Do roku 2015 stał przed muzeum w Tadmorze. Został rozbity przez ISIS, a potem odrestaurowany na powrót przez polskich konserwatorów, którzy pojechali do Syrii mimo niebezpiecznej sytuacji już w 2016 roku, gdy wciąż toczyły się walki. Dziś palmyreński lew stoi w muzeum w Damaszku. ●

Książkę „Od Faras do… O wykopaliskach i nie tylko – rozmowy z archeologami (i jednym architektem)” wydały Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Stare dobre czasy

Średniowieczna „posełkini”

Wystawę najstarszych zabytków polskiego piśmiennictwa wpisano we współczesną dyskusję o feminatywach.

Brzezińska

W 1890 roku Aleksander Brückner, jeden z największych historyków literatury i kultury polskiej, czytał rękopisy w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu, gdy jego uwagę przykuła oprawa XV-wiecznego kodeksu skonfiskowanego przez Rosjan po powstaniu styczniowym. Papierowe arkusze wzmocniono w nim paskami pergaminu, na których badacz dostrzegł polskie wyrazy. Pergamin był niegdyś cennym materiałem, więc fragmenty starych, uszkodzonych czy niekompletnych kodeksów wykorzystywano w introligatorstwie. Dzięki tej praktyce po wiekach historycy jęli wydobywać z rozmaitych opraw i przywracać pamięci unikatowe zabytki piśmiennictwa. Kazimierz Piekarski, jeden z najwybitniejszych historyków dawnej książki, nazywał te znaleziska „złotodajną makulaturą”.

Jak się okazało, średniowieczny introligator litościwie nie pociął kart w poprzek, więc każdy z odkrytych przez Brücknera pasków zawierał dwa wersy tekstu. Oczywiście były podziurawione, bo przeciągano przez nie sznurek, i różnej długości, bo zostały poprzecinane, by lepiej pasowały do formatu papierowych zszywek. Trzynaście z tych pasków stanowiło jedną kartę, pozostałe pięć – dół drugiej karty. Na tych pokiereszowanych strzępach pergaminu przed wiekami zapisano sześć kazań. Tylko jedno – na dzień św. Katarzyny – zachowało się w całości.

Razem tworzą „Kazania świętokrzyskie”, uznawane za najstarszy polski tekst prozą. Przyjmuje się, że jest to kopia przepisana ze starszego oryginału pochodzącego z przełomu XIII i XIV wieku. Są tekstem uczonym, objaśniającym i komentującym skomplikowaną teologicznie treść. Zapewne były przeznaczone dla wyrobionych słuchaczy, potrafiących docenić także jego wysmakowaną artystyczną formę. Spisano je piękną, kunsztowną polszczyzną przeplecioną tekstem łacińskim, który ją uzupełnia i wchodzi z nią w dialog.

Po okryciu Brücknera pergaminowe paski wygładzono i zamknięto pomiędzy dwiema szklanymi szybkami, lecz przez długie lata polscy naukowcy dysponowali jedynie ich zdjęciem. Wróciły do Polski dopiero w 1925 roku na mocy traktatu ryskiego kończącego wojnę polsko-bolszewicką.

Setną rocznicę odzyskania tego nieocenionego dla polskiej kultury zabytku upamiętnia wystawa „Jam posełkini jego. Język i emocje polskiego średniowiecza” w Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie. Bezcennym zabytkom piśmiennictwa – niekiedy prezentowanym szerszej publiczności po raz pierwszy – towarzyszą rzeźby Saszy Wiktora inspirowane marginaliami z „Psałterza floriańskiego” i świetlne instalacje Aleksandra Prowalińskiego.

Tytuł wystawy zaczerpnięto z XV-wiecznej polskiej pieśni o zwiastowaniu Maryi, przez co wystawę najstarszych zabytków polskiego piśmiennictwa wpisano w bardzo współczesną i rozpłomieniającą umysły dyskusję o feminatywach. Dla historyków obecność „posełkini” czy „walecznicy” w dawnej polszczyźnie nie stanowi zaskoczenia, choć dobrze, że to zapomniane bogactwo zostało przez Bibliotekę Narodową wydobyte.

Na wystawie przywołano bowiem takie cudowne i budzące emocje drobiażdżki, jak na przykład XV-wieczne zaklęcie zaczynające się od słów: „Zarze, zarzyce, trzy siestrzyce/ Poszła Matka Boża po morzu zbirając złote pianki…”. Dla wielu zwiedzających mogą być one niezmiernie ciekawe, zwłaszcza jeśli ich przekonywano, że żeńskie końcówki są współczesną lewicową aberracją.

„Posełkini” wkracza jednak w polszczyznę jako „służebnica”, gdy odpowiadając aniołowi: „Jam posełkini jego”, Maryja uruchomiła najważniejszą opowieść chrześcijaństwa, przesycającą w średniowieczu wszystkie aspekty życia – historię wcielenia. Późnośredniowieczna religijność odwoływała się do emocji i wykorzystywała je jako narzędzie współodczuwania tajemnic wcielenia oraz kontemplowania Chrystusowej męki. Ale czy nasi przodkowie słuchali tej pieśni z tymi samymi emocjami, jakie towarzyszą nam podczas zwiedzania wystawy w Muzeum Narodowym? Nie jestem przekonana.

Ekspozycja oprowadza nas po marginesach tej wielkiej opowieści i przerzuca emocjonalne mosty w przeszłość przez feminatywy, zaklęcia, kolofony (zapiski) średniowiecznych skrybów czy wreszcie monstra, które okazały się tak inspirujące dla współczesnych twórców. Zaburzając i wręcz odwracając oczywiste hierarchie, pokazuje zmianę zachodzącą nie tylko w języku i wrażliwości emocjonalnej. To interesujący i przewrotny zabieg. Bo przecież ta wystawa zaczyna się od strzępów pergaminu, które dla kogoś były makulaturą, dla nas są cudem najdawniejszej polszczyzny.

Wystawę można oglądać w Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie do 31 maja 2026 roku. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

eprasa.pl 4d6b712057

BYĆ SNEM NICZYIM

Cmentarz Rilke sam sobie wybrał. Ułożył inskrypcję na swój nagrobek.

Pragnę, by mnie pochowano na wysoko położonym cmentarzu obok starego kościoła w Raron" – sto lat później czytam jego testament.

Rainer Maria Rilke – na steli z piaskowca. I trzy wersy, które do teraz zastanawiają.

Jestem na jego grobie. Przede mną był tu Helmut Kohl.

BERLIN STAŁ SIĘ ODRAŻAJĄCY

Skończyła się pierwsza wojna światowa, Rilke jest w Szwajcarii.

Mieszka w eleganckich hotelach albo w rezydencjach bogatych przyjaciół i arystokratycznych wielbicielek – jego sposób na życie.

Berno, Genewa, Zurych, Lozanna, Bazylea, Sankt Gallen, Lucerna – zmienia adresy. Od czasu do czasu wieczór autorski, odczyt.

Szybko znalazł nowych mecenasów. To bracia Reinhartowie – zamożni współwłaściciele firmy tekstylnej. I ich kuzynka Nanny Wunderly-Volkart będzie spełniała jego najzwyklejsze zachcianki – jeśli ubranie albo kamasze nie pasują, wymienia, szuka gosposi, najlepszego rodzaju mydła.

Niemcy pożegnał w połowie czerwca 1919 roku. Z Monachium wyjeżdżał z ulgą – doskwierał mu powojenny chaos. „Berlin stał mi się jeszcze bardziej wstrętny i odrażający" – wyzna trzy lata później, gdy skrajna prawica zamorduje Waltera Rathenaua, polityka i jego przyjaciela.

Ale w Szwajcarii nie ma łatwo. Męczą go przeprowadzki i załatwianie formalności: pozwolenie na pobyt dają mu na krótko – ciągle musi je odnawiać. Sam sobie winien: jest teraz obywatelem Czechosłowacji, a paszportu wciąż nie wyrobił.

„Ład i opieka! Kiedy będzie mi to dane, gwoli wypełnienia moich wyższych zadań, i gdzie?" – skarży się. Trzy lata tak się tuła. Aż znajdzie przystań w kantonie Valais z Doliną Rodanu. Ostatnią w życiu.

WIATR, KOGUT I KROWIE DZWONKI

Na moje „Bonjour" odpowiadają „Grüezi" – „Dzień dobry" w szwajcarskim niemieckim.

– W Raron przeważa niemiecki – powie mi Evelyne. Mówi po francusku, z twardym akcentem. Mijam wiejski teatr, w którym Rilke też kiedyś był. Dziesięć minut wąską uliczką na sam szczyt – drogowskazy pokazują po niemiecku, jak dojść na grób.

Odezwał się kościelny dzwon, pieje kogut. A tak – cisza. Czasem tylko z oddali wiatr przyniesie dźwięk krowich dzwonków.

Zaczynam wspinaczkę. Gorąco – trafiłem na czerwcowe upały. Zastanawiam się, jak on się tutaj wdrapał.

– Rilke lubił spacerować, ale po płaskim terenie – usłyszę od Evelyne.

Przy jednym z domów pną się po murze czerwone róże – byłby zadowolony.

Blisko już. Wiatr przyniósł teraz woń krowiego nawozu. Na zielonych poletkach pastwiska z bydłem i owcami albo winorośle – lubił na nie patrzeć. Na ostatnim zakręcie dwie stare lipy, na pewno starsze od niego. Pod nimi Chrystus rozpięty na drewnianym krzyżu poczerniałym od starości.

Czy krzyż był już sto lat temu?

LITERAT, CO SIĘ ZOWIE

Spieszno mu na świat. Urodził się czwartego grudnia 1875 roku w Pradze – dwa miesiące przed terminem. Jedynak.

Ojciec: niespełniony wojskowy, rzucił służbę z powodu choroby gardła, został urzędnikiem na kolei. Nudny, grubiański.

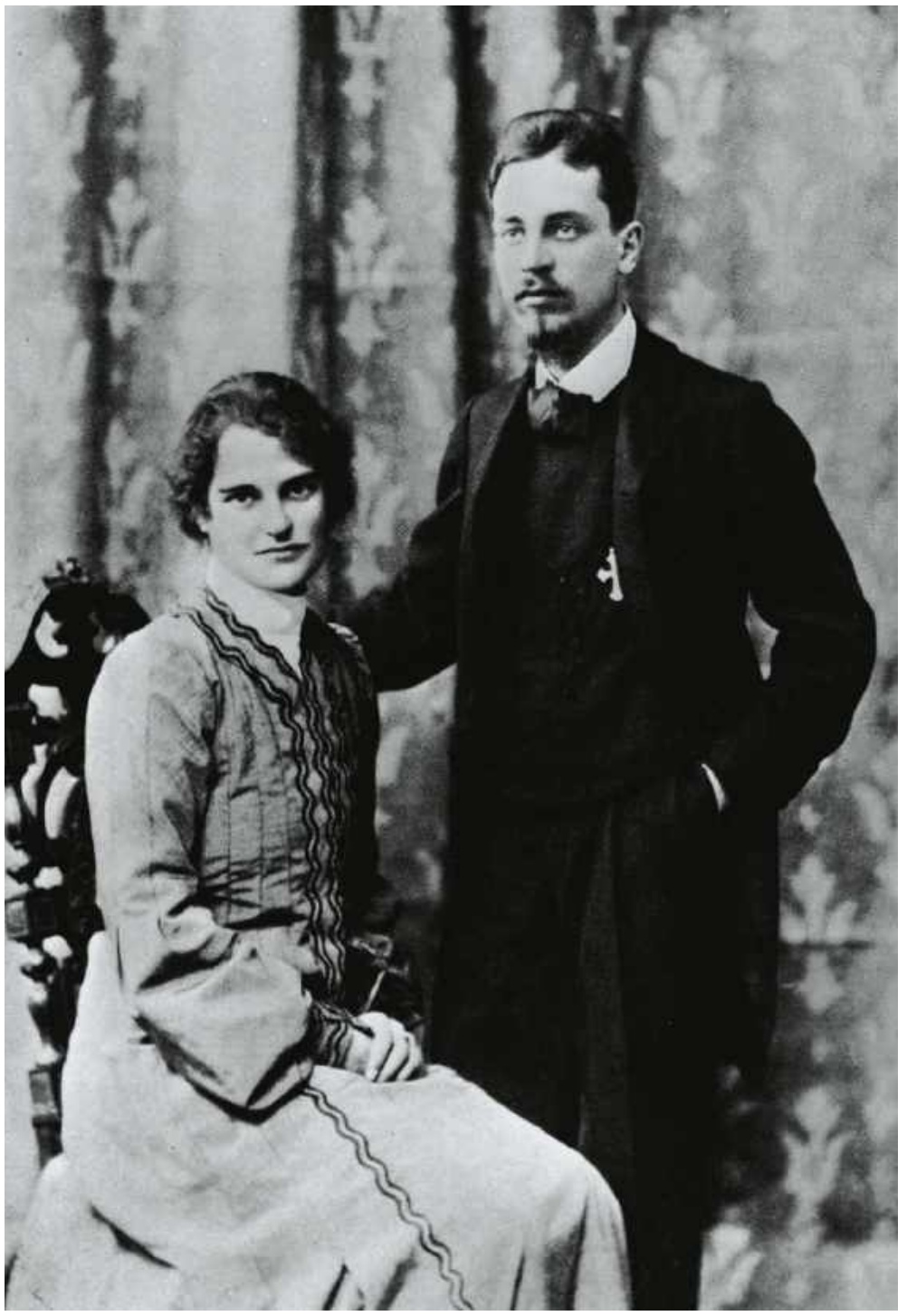

Matka: romantyczna marzycielka, świętoszkowata, czuje się niespełniona. Mówią, że to o takich kobietach jak ona ten wiersz młodego Rilkego. Dał tytuł „Los kobiecy":

„I stała obca, jak na zawsze pożyczona,
aż zestarzała się i oślepła w ciemności,
nigdy nie będąc niezwykłą i drogą".

Jej ukochany synek. Czasem przebiera go w dziewczęce sukienki, nie znosił tego.

Ojciec wymarzył dla syna karierę wojskową. Ale szkoła artylerii w Sankt Pölten to męczarnia: buntuje się przeciwko żołnierskiej tresurze. Pragnienia ojca nie spełni.

Studiuje literaturę, historię sztuki, filozofię. Żadnych nie skończy.

Publikuje pierwsze utwory. Zostaje „literatem, co się zowie" – chwali się matce.

O rodzinnej Pradze nie zapomni:
„Nie, z mej pamięci nie uleciał
dzieciństwa dawny dom znajomy".

RÓŻANE KOLAŻE

Wernisaż dopiero co był.

„Spotkanie: Raron, Rilke, Róże" – tytuł wystawy. Rosa Lachenmeier stworzyła kolaże z fotografii, obrazów i jego ulubionych róż. Czerwona róża na starym zdjęciu panoramy Raron, na tle starego kościółka, na obrazie z mostem przerzuconym przez Rodan – patrzę na kolaże.

– Świętujemy sto pięćdziesiąte urodziny Rilkego – Evelyne oprowadza turystów po Muzeum Zamkowym w Raron.

Rilke ma dwie sale. Listy, książki, mapa z jego podróżami, zdjęcia – jak mały stoi w sukience, w którą przebierała go matka; tutaj w krótkich spodniach opiera się o starą komodę; dorosły czyta książkę.

Przy wyjściu wielki portret poety, na sekretarzyku w wazonie biała róża. W pamiątkowej księdze wpisy po angielsku, francusku, niemiecku, włosku. „Piękne miejsce z duszą" – po polsku napisali Ania i Łukasz. Ktoś różę narysował.

Przed muzeum rozsiadła się wycieczka młodzieży. Grób jest dalej.

ROSJA

Wciąż w drodze.

W dwie podróże życia do Rosji zabierze go kobieta. Nauczy się rosyjskiego, czyta w oryginale Puszkina i Lermontowa.

„Christos woskres!" (Chrystus zmartwychwstał), „Woistinu woskres!" (Zaiste zmartwychwstał) – słyszy w moskiewskiej cerkwi w czasie prawosławnej Wielkanocy. „Noc niezwykła, osobliwa, niezapomniana" – będzie pod wrażeniem nocnej liturgii.

Zaprzyjaźni się z malarzem Leonidem Pasternakiem, który po śmierci Rilkego namaluje jego portret. Spotkanie z nim na zatłoczonym Dworcu Kurskim tak zapamięta dziesięcioletni Borys, syn malarza: „mężczyzna w czarnej tyrolskiej pelerynce", „cień wśród ciał, fikcja w gąszczu rzeczywistości". Pod koniec życia Rilke będzie cenił wiersze młodego poety Pasternaka.

W Jasnej Polanie pozna Tołstoja, wstydzi się podarować mu książkę. W Kijowie zwiedza monastery, cerkwie, chodzi po ciasnych katakumbach Ławry Peczerskiej.

„Owo doświadczenie Rosji stanie się częścią mojego istnienia" – napisze matce.

ISTOTA RZECZY

Co dalej? Niemcy: w Berlinie studiował, pisał; niedaleko Bremy poznał żonę; w Monachium spędził kilka lat. Francja: od kanału La Manche: „musisz posłuchać jeszcze o Mont Saint-Michel i o gotyckim kościele Archanioła, który wznosi się na północnym wybrzeżu Normandii, niemal całkowicie oblany morzem", aż po Prowansję z Marsylią i Awinion: „Niemal codziennie przez siedemnaście dni oglądałem olbrzymi pałac papieski".

I „Paryż, ten niezrównany". Tutaj pozna Rodina, będzie jego sekretarzem, napisze esej. Podpatruje jego pracę, rzeźby. Jak Rodin z kamieniem, tak on będzie zmagał się ze słowem, stanie się poetą rzeczy – chce pojąć ich istotę.

W Ogrodzie Botanicznym wystaje godzinami przed klatką z panterą, nim wiersz ułoży:

„Jej kroki giętkie jakby się łasiły
kręcąc się ciągle w tym najmniejszym kole,
tworzą jak gdyby taniec siły
wokół środka, co więzi ogłuszoną wolę".

Paul Cézanne – drugi mistrz. W Salonie nie może oderwać się od jego jabłek, jakby w życiu jabłka nie widział.

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

Zachwycają go bukiniści nad Sekwaną. „Siedzą i czytają, bez kłopotu; nie troskają się o jutro, nie boją się niepowodzeń”.

Na ulicy spotyka Marthę, ładną i bardzo biedną osiemnastolatkę; kilka dni nic nie jadła. Będzie jej pomagał, zadedykuje kilka wierszy.

Dalej: Egipt z Kairem i wycieczką po Nilu. Hiszpania z Toledo i obrazami El Greca. Włochy wiele razy. Rzym: „Nie zapomnę nigdy odlanego z brązu pomnika Marka Aurelego na Kapitolu”. Neapol: „wszystko tak niezwykłe, nawet odgłosy żołędzi pękających pod moimi stopami”, Asyż, Florencja: „Długo zwiedzałem dzieła sztuki”, Padwa: „Wczoraj freski Giotta, dzisiaj ten wspaniały Prato della Valle”, Wenecja.

Do tego Belgia, Dania, Szwecja.

Był też we Wrocławiu – miał wieczór autorski: „Nawiązał się nawet większy kontakt z publicznością”.

I w Sopocie – przyjechał spotkać się z kobietą życia, która kiedyś zabrała go do Rosji. W altance Parku Oliwskiego mieli ułożyć wiersz.

CZYTUJĄ TU JEGO WIERSZE

Gdzieś tutaj stała trumna.

Kościół Świętego Romana jest z szesnastego wieku. Czemu tak wysoko? Podobno mieszkańcy chcieli uchronić świątynię przed wylewającym potokiem.

W głównym ołtarzu obraz diakona Romana, którego za wierność Chrystusowi kazał zabić rzymski cesarz. Na ścianach podniszczone stare malowidła.

Evelyne mówi, że czasem czytają tu jego wiersze; w rocznicę urodzin albo śmierci.

SAMOTNOŚĆ

„Zagłębić się w siebie i całymi godzinami nikogo nie widywać”. Wtedy jest sobą.

„Być samotnym tak, jak było się samotnym, będąc dzieckiem, w otoczeniu dorosłych i ich spraw, które wydawały się ważne i wielkie, ponieważ ci duzi wyglądali na bardzo czymś zaabsorbowanych i ich poczynania były dla nas zupełnie niepojęte” – trzydziestoletni niespełna pisze w „Listach do młodego poety”.

„W końcu, to zawsze i wciąż ta sama sprzeczność – dla mnie nieprzejednana – sprzeczność pomiędzy życiem a pracą” – wyzna dużo starszy.

„Dziś powinna powrócić moja samotność” – pod koniec życia.

Cmentarzyk przy kościele, nagrobki sprzed kilkudziesięciu lat i sprzed kilku.

Rilke po śmierci też chciał być samotny – miejsce ustronne wybrał.

KOBIETY

Najpierw Lou Andreas-Salomé – rosyjska arystokratka, pisarka, znajoma Freuda, pod jego wpływem studiowała psychoanalizę. Nie przejmowała się ówczesnymi konwenansami. Oświadczył jej się filozof Nietzsche, odrzuciła go.

Gdy Rilke ją poznaje, ma 22 lata, ona – 36, mężatka. Romans przetrwał kilka lat, przyjaźń – całe życie.

Rozumieją się. „Byłam przez lata Twoją żoną, boś Ty stał mi się najpierwszą, najrzeczywistszą rzeczywistością, prawdziwym tworem życia” – Lou będzie go wspominać.

To ona zabrała go dwa razy do Rosji. Za nią pojechał do Sopotu.

◀ **Rainer Maria Rilke (1875-1926) z żoną, rzeźbiarką i malarką Clarą Westhoff (1878–1954) w Rzymie w 1903 roku**

FOT. AKG-IMAGES/EAST NEWS

Clara Westhoff – niemiecka rzeźbiarka i malarka. Poznał ją w kolonii artystycznej Worpswede koło Bremy, szybko się pobrali, urodziła im się jedyna córka – Ruth.

Przez chwilę doznaje rodzinnego szczęścia. Jak wtedy w Brugii z żoną i córeczką: „Nasza mała dziewczynka wszędzie z nami chodziła. W muzeach rozsiadała się na posadzce i bawiła muszelkami zebranymi nad brzegiem morza”. W Gandawie przyglądają się maryjnej procesji.

Rozstali się po trzech latach – Rilke słabo nadawał się do życia rodzinnego. Pozostali w przyjaźni. Pod koniec życia będzie na ślubie córki, wyśle prezent po narodzinach wnuczki.

Evelyne z muzeum w Raron mówi, że dziadek jej męża jako chłopiec widywał Rilkego, jak spacerował po Sierre.

Miejscowi mieli się dziwić, że całymi dniami nic nie robi.
Nie rozumieli, gdy tłumaczył, że pisze

Księżna Marie von Thurn und Taxis-Hohenlohe – niemiecka arystokratka, znawczyni sztuki, patronka artystów, 20 lat starsza. „W pierwszej chwili wydał mi się niezbyt urodziwy, acz nad wyraz sympatyczny. Szalenie nieśmiały” – wspominała. Zaprosi go do swojego zamku w Duino koło Triestu. Rilke zacznie tam pisać „Elegie duinejskie”, tytuł zawdzięczały miejscu, gdzie się narodziły.

Eleonora Duse – włoska aktorka, starsza kilkanaście lat. Poznał ją w Wenecji, ale adorował od dawna, podpatrywał na scenie, napisał dla niej kilka wierszy, dedykował sztukę, znosił kaprysy. „Byliśmy jak para, co bierze udział w jakowymś misterium dawnym, a każde z nas mówi swą cichą rolę jakby z nakazu legendy”.

Baladine Klossowska – poznał ją w Szwajcarii, młodsza. „Jesteś całym moim życiem” – wyzna mu. A innym razem zastanawiająco: „Kocham cię tak, że mogłabym cię zostawić!”.

Też mężatka, matka dwóch synów. Jeden to słynny malarz Balthuz, malował młode wyzywające dziewczęta. Baladine też malarka. Sportretuje go kilka razy. Raz akwarelą: poeta leży wyciągnięty na sofie, cały na biało, założył czerwone pantofle. Na akwareli Rilke skreśli wiersz. „Zgryzota to ciężka gruda ziemi” – zaczyna się.

Nanny Wunderly – bez niej nie poradziłby sobie w Szwajcarii.

Marina Cwietajewa – miłość ostatnia. Nigdy się nie spotkali.

Ona do niego: „Rainer, kocham Cię i chcę do Ciebie”, „Kocham Cię i chcę z Tobą spać”.

Będzie pisała nawet po jego śmierci: „Rok kończy się Twoją śmiercią? Koniec? Początek!”. I jeszcze: „Rainer, widzisz, płaczę”.

REKLAMA

Kraj/3440917 7

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

UNIWERSALNY

– Europa, Chiny, Japonia, Stany Zjednoczone, Argentyna… – przewodniczka wylicza miejsca, skąd wielbiciele twórczości Rilkego odwiedzają jej muzeum. – To poeta uniwersalny.

Rilke Museum jest w kamienicy z osiemnastego wieku w centrum Sierre.

Małe miasteczko w Dolinie Valais, nad Rodanem. Czterdzieści lat temu powstała tu Fundacja Rilkego. Urządzają wycieczki śladami poety, seminaria. Jest biblioteka. W kilku salach wystawa.

– Pisał o wszystkim, co dotyczy życia, miłości, choroby, sztuki – przewodniczka też lubi jego poezje. Oprócz wierszy i prozy pokazuje tomy korespondencji. – Jego listy to też poezja.

Zobaczmy:

„Dzieła sztuki są zawsze owocem życia w zagrożeniu, wynikiem podążania za doświadczeniem aż do ostatecznego końca, tam, dokąd żaden człowiek nie jest już w stanie dotrzeć" – do żony.

„Miłość żyje dzięki słowom, lecz zamiera wobec czynów" – do Cwietajewej.

RÓŻE, WINNICE I SZCZYTY ALP

„Na sprzedaż albo do wynajęcia" – czyta ogłoszenie w witrynie zakładu fryzjerskiego. Na zdjęciu zamkowa baszta z trzynastego wieku. W sam raz miejsce na jego samotnię.

Jest 28 czerwca 1921 roku. A on jest w Sierre. Towarzyszy mu Baladine Klossowska. Szukają dla niego odpowiedniej siedziby. Już mają wyjeżdżać, gdy w witrynie widzą to ogłoszenie.

Trzy dni później Rilke zwiedza wysoką, czworoboczną budowlę. W ogrodzie na treliażach pną się róże, u podnóża winnice, w oddali szczyty Alp. Czuje się jak w Prowansji albo w Pirenejach.

„Moja Droga, to być może mój Zamek w Szwajcarii, być może" – pisze do Nanny Wunderly.

Miesiąc później się wprowadzi. Na wysokim parterze jadalnia ze starym dębowym stołem, sypialnia i salon z balkonem, z którego widać Dolinę Rodanu. Na piętrze pracownia. Nie ma elektryczności, wodę trzeba nosić ze studni, ale jest zadowolony.

Zamierza spędzić tu pracowitą zimę. „Kto wie, może poddawszy się opiece tego schronienia, zdołam ukończyć pracę nad moimi dziełami, przerwaną wskutek zamętu lat wojny" – zastanawia się w liście do Wernera Reinharta, który za wszystko płaci.

Na razie zamówił dużo papieru z adresem Muzot. Pisze listy. Sporo w nich wymagań: zamawia odpowiednie rodzaje mydła, guziki mają być obleczone, buty w odpowiednim odcieniu, bibuła do atramentu – zielona.

PISANIE TO NIE PRACA

Zakłady fryzjerskie co chwilę mijam.

– Ale tamtego już nie ma – przewodniczka Rilke Museum w Sierre nie zostawia złudzeń.

Tutaj już francuski. W jego czasach też tak było.

Evelyne z muzeum w Raron mówi, że dziadek jej męża jako chłopiec widywał Rilkego, jak spacerował po Sierre. Miejscowi mieli się dziwić, że całymi dniami nic nie robi. Nie rozumieli, gdy tłumaczył, że pisze. – Mężczyzna musi pracować – upierali się. Byli rolnikami, rzemieślnikami, dziadek męża został kowalem.

Sto lat temu zatrzymywał się tutaj „Simplon-Orient-Express". Ze stacji do Muzot poeta miał pół godziny. Znów musiał się piąć pod górę.

• **Kościół zamkowy św. Romanusa w Raron w Szwajcarii. Na przykościelnym cmentarzu spoczywa Rainer Maria Rilke**

FOT. GUNTER FISCHER/ UCG/UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES

ELEGIE

„Nareszcie!" – w lutym 1922 pisze do wydawcy: skończył „Elegie duinejskie". Ukażą się w następnym roku w Lipsku w Insel Verlag.

Wysyła entuzjastyczne listy.

Do Marie Taxis: „Nareszcie, księżno, nareszcie, błogosławiony, jakże błogosławiony dzień, w którym mogę donieść o ukończeniu – jak mniemam – Elegii".

Do Lou: „Teraz o d n a l a z ł e m s i ę na nowo. Dopóki nie było Elegii, czułem, jakbym miał serce okaleczone".

Dziesięć poematów. Trudnych.

O znikomości człowieka w obcym, obojętnym na jego los świecie: „Któż, gdybym krzyknął, usłyszałby mnie z zastępów anielskich?" – zaczyna „Pierwszą elegię". Bo „nie jesteśmy bezpiecznie zadomowieni w świecie, który chcemy zrozumieć".

A w kolejnych o przemijaniu:

„Nigdzie kochana nie ma świata prócz wewnątrz. Nasze
życie umiera w przemianie. I wiecznie malejąc
ginie świat zjawisk".

Śmierci:

„Zaprawdę, to osobliwe nie przebywać już odtąd na ziemi,
wyuczone zaledwie porzucić zwyczaje…".

„Od bytu ziemskiego odwyka się lekko".

To znów o pochwale życia:

„Ale że ziemski byt znaczy wiele i że wszystkiemu tutaj
jesteśmy na pozór potrzebni, całej tej znikomości,
co nas przedziwnie dotyczy. Nas, najbardziej znikomych".

Wziął się za nie dziesięć lat wcześniej – na zamku w Duino. Warunki miał wymarzone: spokój, z okna widział Adriatyk. Ale napisał tylko dwie pierwsze.

ROZBITE LUSTRO

Wybucha Wielka Wojna. Przestał pisać, jest w szoku. „Czy znajdzie się kiedykolwiek jakiś bóg, który będzie miał dość dobroci, aby zaleczyć tę okropną ranę, jaką jest dzisiaj cała Europa?" – pyta Marthę, francuską dziewczynę, którą kiedyś głodną spotkał na paryskiej ulicy.

Dostaje powołanie do wojska – ma służyć w oddziałach landszturmu, dają mu znoszony, źle dopasowany mundur. Po trzech tygodniach przeniosą go do Archiwum Wojennego – sporządza wykazy żołdu. Nawet po zwolnieniu nie umie się odnaleźć: „Od czasu służby wojskowej moje wewnętrzne lustro jest rozbite", „jestem jak martwa natura na płótnach Cézanne'a".

Zdruzgotany pisze do wydawcy: „Po cóż człowiek znał Toledo, po cóż ujrzał Wołgę, pustynię – by teraz stać w miejscu, przygwożdżony najsurowszym wyrzeczeniem się świata, pełen z nagła nieprzydatnych wspomnień". Oddaje Krzyż Oficerski Orderu Franciszka Józefa – ostatni władca Austro-Węgier cesarz Karol I przyznał mu go tuż przed abdykacją.

Połowa stycznia 1922 roku, Muzot. Postanowił zachować „post od listów", „pogrążył się zupełnie w pisaniu". W trzy tygodnie skończył „Elegie". Do tego ponad pół setki „Sonetów do Orfeusza": napisał je po śmierci Wery – córki swojej przyjaciółki.

„Ledwie mogę utrzymać w ręku pióro" – donosił wydawcy po wszystkim.

NIE MAM OJCZYZNY

Na zdjęciu wydawał mi się większy. Żaden zamek – skromna, surowa budowla.

Na Château du Muzot patrzę z wąskiej drogi. Na zamkniętej bramie napis: „Privée". Żeby nikt się nie łudził.

Za życia poety dwa dni spędził tu Witold Hulewicz, jego młodopolski przyjaciel i tłumacz. Miał spytać Rilkego, czy nie tęskni za ojczyzną. Poeta odparł, że ojczyzny nigdy nie miał. Za tamtych nacjonalizmów takie słowa wywarły skandal w prasie środkowoeuropejskiej, musiał się tłumaczyć.

Gdy przyjechał Paul Valéry, na balkonie wywieszono flagę Francji, w ogrodzie zasadzono wierzbę.

Po śmierci Rilkego przyjeżdżali tu malarze, poeci, muzycy.

RÓŻE

Marzy o nich…

Jak w Ogrodzie Luksemburskim, gdy widzi klomb z różami La France. Pragnie, „by przed nią usiąść, gdy już będę stary, i przemienić ją w słowa, w których tkwi wszystko, co wówczas poznam".

Każe obsadzić nimi ogród, szuka pnących, które obrosną wieżę. Do Nanny Wunderly pisze, że potrzebuje „sędziwego, czcigodnego, nadzwyczaj doświadczonego nawozu".

Spełnia się to paryskie marzenie z Ogrodu Luksemburskiego. Jest zdjęcie: przysiadł na trawie, za nim dwa treliaże porośnięte kwitnącymi różami.

Pisze o nich wiersze:

„Gdzie jest do tego wnętrza
zewnątrz? Na jaką ranę
kładzie się takie płótno lniane?
Jakie w głębi odbijają się powietrza
w śródziemnym morzu
tych otwartych róż,
tych róż beztroskich, spójrz:
jak w luźnym luźne
leżą tak, jakby już nie
mogła ich rozsypać drżąca ręka".

Wspomni w „Elegiach":

„różom i innym odrębnie obiecującym rzeczom
nie dawać znaczeń ludzkiej przyszłości, już nigdy".

O róży ułoży epitafium na własny nagrobek.

ZSTĘPOWANIE

Testament pisze rok przed śmiercią.

„Pragnę, by mnie pochowano na wysoko położonym cmentarzu obok starego kościoła w Raron. Tam, w jego otoczeniu, po raz pierwszy odczułem wiatr i światło tego krajobrazu".

Choruje od kilku lat: stracił apetyt, „jedynie trochę owsianki", jeździ na kuracje, coraz bardziej cierpi.

Pięćdziesiąte urodziny spędza samotnie w Château de Muzot. Następne w klinice w Val-Mont nad Jeziorem Genewskim. Lekarz nie mówi mu, że to białaczka.

W połowie grudnia 1926 roku pisze ostatni wiersz „Czy to ja jeszcze płonę bezimiennie?".

„Przed nim już tylko zstępowanie" – notuje 27 grudnia Lou. Dwa dni później Rilke umiera.

„Zaprawdę, to osobliwe nie przebywać już odtąd na ziemi…".

Na pogrzebie grają mu Bacha.

W Raron jest drugi stycznia 1927, niedziela.

Sanie musiały jechać tą samą drogą, którą szedłem pod górę. Krótkie nabożeństwo, złożenie trumny do grobu wykopanego w zmarzniętej ziemi, przemowy.

„Adieu, grand poète" – żegna go miejscowy dramaturg.

Ktoś kładzie wieniec laurowy od księżnej Marie, na szarfie: „Niezrównanemu poecie, drogiemu i wiernemu przyjacielowi".

„Od bytu ziemskiego odwyka się lekko" – ktoś czyta nad grobem fragment „Pierwszej elegii".

W Raron tego dnia świeci słońce, jest mroźno.

ADIEU

Wiatr gasi jedną zapałkę, drugą, trzecią…

„Tam po raz pierwszy odczułem wiatr tego krajobrazu".

Żeby zapalić znicz, muszę osłonić knotek.

Grób otoczony murkiem i żelazną furtką, zadbany. Krzyż: na poziomej poprzeczce inicjały: RMR, na pionowej daty: 1875 i 1926.

Obok na pamiątkowej tablicy mieszkańcy Raron dziękują kanclerzowi Kohlowi za wizytę na grobie Rilkego. Był tu siedemdziesiąt kilka lat po śmierci poety.

Przy murze kościoła pną się czerwone róże. Na odnowionej steli z piaskowca:

„Różo, och czysta sprzeczności, rozkoszy,
być snem niczyim pod tak wielu powiekami".

Nie mam róży. Adieu, grand poète. ●

Korzystałem z książek: Donald Prater „Dźwięczące szkło", Fritz J. Raddatz „Rainer Maria Rilke", Mieczysław Jastrun „Rainer Maria Rilke. Poezje" oraz serwis Rilke.pl.

2 RP

eprasa.pl 4d6b712057

Okruchy historii

Porządkowanie faktów

W ukraińskiej historiografii pisze się, jakoby Polacy mścili się w 1939 na ukraińskiej ludności za porażki na froncie. Fakty temu przeczą.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Niedawno opublikowana monografia autorstwa zespołu prof. Igora Hałagidy „Ukraińskie ofiary polskich zabójstw podczas niemiecko-polskiej wojny 1939 r. (wrzesień-październik)” zgodnie z oczekiwaniami potwierdza dotychczasowe ustalenia polskich historyków, porządkując jedynie dotąd rozproszoną faktografię.

Według wyliczeń zespołu Hałagidy w czasie kampanii polskiej 1939 roku zginęło z polskiej ręki 996 Ukraińców, pojawiająca się w przekazach medialnych informacja o 1360 ofiarach jest błędna, wlicza bowiem do zabitych również rannych. To dane zgodne z szacunkami polskich historyków, którzy już 20 lat temu pisali, iż w 1939 padło przynajmniej kilkaset Ukraińców, mając przy tym na myśli cywilne ofiary przypadkowego odwetu.

Tymczasem, jak wynika z przedstawionych wyliczeń, aż 193 zabitych było członkami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, którzy zbrojnie wystąpili przeciwko polskiej władzy. Nie byli to bynajmniej jedyni zaangażowani w akcje dywersyjne. W książce co chwila pojawia się informacja o członkach „samoobrony” próbujących rozbrajać pododdziały Wojska Polskiego i policji lub delegacjach wychodzących z czerwonymi flagami na powitanie „wyzwoleńczej” Armii Czerwonej, natrafiających ku swojemu zdumieniu na polskie oddziały. W takich sytuacjach żołnierze WP otwierali ogień do ujawnionych dywersantów.

Jeśli sytuacja na to pozwalała, przypuszczano szturm na opanowane przez OUN lub KPZU wsie, niekiedy poprzestawano na ich ostrzale.

W ukraińskiej historiografii często się pisze, jakoby Polacy mścili się na ukraińskiej ludności za porażki ponoszone na froncie w walkach z Niemcami. Fakty podane w książce zdecydowanie temu przeczą (nawet jeśli w części interpretacyjnej bywa to bezrefleksyjnie powielane). Przykładowo, w Piatydniu, jak czytamy: „polscy żołnierze odmówili złożenia broni i z zemsty zaczęli zabijać chłopów”. W opracowaniu nie wyjaśniono niestety, że we wszystkich konfliktach zbrojnych nieumundurowani dywersanci, zwłaszcza schwytani z bronią w ręku, są bez zwłoki skazywani na karę śmierci i rozstrzeliwani. Tak traktowano we wrześniu 1939 roku członków niemieckich Freikorpsów na Śląsku, co dramatycznie opisał Melchior Wańkowicz, taki los spotykał również zabitych na ziemiach wschodnich.

Liczba podanych w książce cywilnych ofiar niepodlegających pod to surowe prawo wojny jest mała. Na 996 zabitych doliczyłem się raptem 41 kobiet, co stanowi 4 proc. wszystkich ofiar. Jak wynika z opisu, zginęły w większości w wyniku tragicznego przypadku, a nie celowych egzekucji, np. w Pukowie, gdzie cztery dziewczęta zaczadziały w chacie podpalonej w czasie strzelaniny. Spośród mężczyzn wyraźna mniejszość, zapewne kilkudziesięciu, zginęła w wyniku ślepej zemsty lub przypadkowo. W tym wypadku za szczególnie tragicznie i w mojej ocenie wręcz zbrodnicze należy uznać rozstrzelanie księdza grekokatolickiego Romana Bożejki, proboszcza ze zbuntowanych Nadiatycz. Jego egzekucja była barbarzyństwem.

W opracowaniu Hałagidy nic nie wspomniano o napadach OUN na polską ludność cywilną. Dowiadujemy się natomiast, że w powiatach Brzeżany i Podhajce zginęło z ręki Wojska Polskiego 62 Ukraińców, samych mężczyzn. Warto uzupełnić obraz sytuacji w tych powiatach fragmentem znanego dokumentu OUN:

„18 IX przyszedł rozkaz »wystąpienia«, czyli wyrżnięcia Polaków i Żydów. Ze względu na to, że nadchodzili bolszewicy, Żydów pozostawiono w spokoju. Chłopcy wyrżnęli wszystkich mężczyzn od 10 lat w górę i te kobiety, które mogą rodzić”.

W tak potraktowanych czterech osadach zginęło w tym rejonie we wrześniu 1939 roku prawie 200 Polaków. Na temat liczby polskich ofiar zespół Hałagidy nie opublikował dotąd choćby artykułu. Wieść gminna jednak niesie, że ustalono, jakoby było ich „nieporównywalnie mniej”, niż się podaje w Polsce. Takie opinie może tłumaczyć metodologia pracy przyjęta w projekcie. W katalogu internetowym Biblioteki Narodowej po wpisaniu hasła „kampania polska 1939” wyskakują 6444 pozycje bibliograficzne. W „Ukraińskich ofiarach...” tymczasem wykorzystano... 15 (!) polskich publikacji. Takie wybiórcze wykorzystywanie polskiej literatury przedmiotu tłumaczy prognozy wyników badań. Nieśmiało zwrócę uwagę, że ma ono tyle wspólnego z metodologią naukową, co powiedzenie „stłucz, pan, termometr, nie będziesz miał gorączki” z medycyną. ●

REKLAMA

Kraj/34405268

KRAJ KWITNĄCEJ WIŚNI

KUP TERAZ

148 stron

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

1 RP

eprasa.pl 4d6b712057

weekendówka 183

W RYTMIE HAKI

Na pokładzie holenderskiej fluity „Zeehaen" 13 grudnia 1642 roku rozległ się okrzyk „Land ho!" oznaczający, że któryś z marynarzy dostrzegł ziemię. Jaką ziemię? Ano brzegi dzisiejszej Południowej Wyspy Nowej Zelandii. Marynarze zobaczyli prawdopodobnie tereny dziś określane jako West Coast.

Był to pierwszy raz, kiedy Europejczycy dotarli do Nowej Zelandii, której jednak uważany za jej odkrywcę Holender Abel Tasman wcale tak nie nazwał. Nawigator potężnej Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej (VOC), która wysłała go na te wody z wyprawą odkrywczą, określił odkryte ziemie jako „Staten Land" przekonany, że są częścią lądu, który rodak Tasmana Jacob Le Maire nazwał tak właśnie, a który miał być południowym krańcem Ameryki Południowej. Kiedy rychło, bo w 1643 roku za sprawą kolejnego Holendra, Hendrika Brouwera okazało się, że Staten Land jest w rzeczywistości niewielką wyspą u wybrzeży dzisiejszej Argentyny, niderlandzcy kartografowie nadali Tasmanowemu odkryciu nazwę Nova Zeelandia – od holenderskiej prowincji. I tak oficjalnie Nowa Zelandia pojawiła się na mapie.

Co ciekawe jej odkrywca nigdy na nowozelandzkiej ziemi stopy nie postawił. Jego statki – oprócz „Zeehaen" w skład ekspedycji wchodził flagowy „Heemskerck" – najpierw zakotwiczyły nieopodal przylądka Foulwind (Tasman nazwał go Skalistym Przylądkiem). Następnie rzuciły kotwice przy dzisiejszej Golden Bay, ale wtedy miejscowe plemię maoryskie, Ngāti Tūmatakōkiri, uznało, że Tasman i jego ludzie nie mają przyjacielskich zamiarów. W kierunku szalup wiosłujących między holenderskimi statkami ruszyły łodzie tuziemców, którzy zaatakowali przybyszy i uśmiercili czterech z nich. Tasman, któremu VOC postawiła zadania odkrywcze, nie kolonizacyjne, odpłynął, a miejscu starcia nadał ponurą nazwę Zatoki Morderców.

Pierwszym Europejczykiem, który faktycznie postawił stopę na nowozelandzkiej ziemi, był James Cook, w 1769 roku.

Skąd taka przerwa w „wizytach"? VOC uznała NZ za mało rokującą, niezbyt dogodną do lądowania no i zaludnioną przez średnio przyjaźnie nastawionych tubylców.

Dziś wiemy, że jest inaczej – sprawdziłem i szczerze polecam – więc zapraszamy do „Weekendówki" po nowozelandzku, w rytmie haki, słynnego maoryskiego tańca, którego jedną z odmian (haka peruperu, „wojenna") tradycyjnie wykonują przed meczami rugbiści reprezentacji Nowej Zelandii, jednego z towarów eksportowych kraju.

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

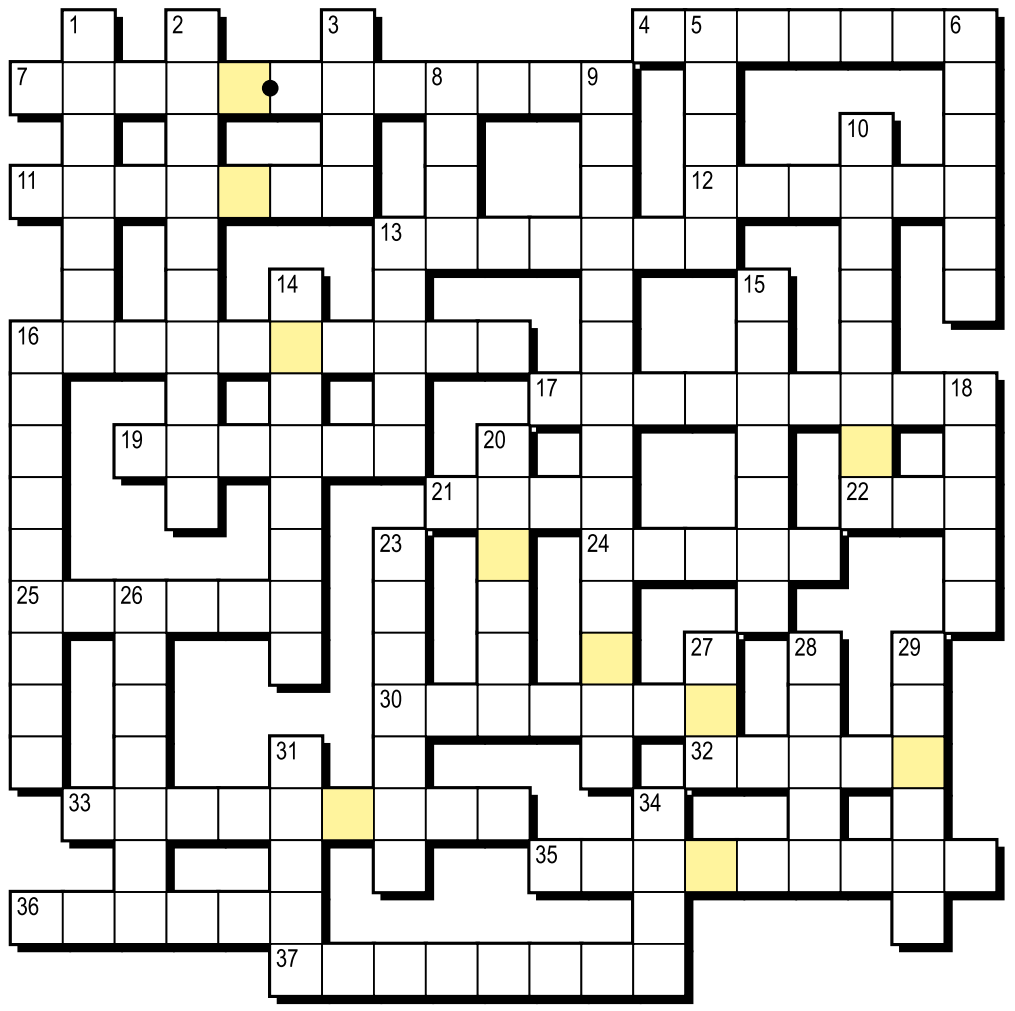

NOWA ZELANDIA (NZ)
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) Nowozelandzki ... Rugby, utworzony w 1892 r.
7) nowozelandzki reżyser „Władcy Pierścieni"
11) Nowozelandczyk Edmund ... i Szerpa Tenzing Norgay, pierwsi zdobywcy Mount Everestu
12) ptak taki jak kea
13) ptaki takie jak 6 pionowo i 8 pionowo
16) mieszkaniec kraju leżącego między NZ a Hawajami
17) impreza sportowa w Paryżu (2024 r.), podczas której nowozelandzkie rugbistki obroniły mistrzowski tytuł
19) NZ Post
21) Neil, lider zespołu Crowded House
22) ... wolne od pracy, np. 6 lutego (święto narodowe) i pierwszy poniedziałek czerwca (urodziny monarchy brytyjskiego)
24) NZD lub USD
25) Abel, holenderski żeglarz, odkrywca NZ
30) autochtoni z NZ
32) Tasmana – między Australią a NZ
33) zasiada w nim 120 reprezentantów
35) wschodnia część Oceanii
36) Eleanor, uhonorowana Bookerem za powieść „Wszystko, co lśni"
37) obszary leżące po przeciwnych stronach kuli ziemskiej

Pionowo:
1) Taupō to największe ... NZ (akwen)
2) stolica NZ
3) obszary zielone zajmujące ponad 10% kraju
5) dwie największe to Północna i Południowa
6) endemiczna papuga o zielonkawym upierzeniu
8) ptak, którego łacińska nazwa to Apteryx
9) rodak polityczki Jacindy Ardern, koszykarza Stevena Adamsa
10) największe miasto NZ
13) ... własna, np. „Nowa Zelandia"
14) NZ dla Lucy Lawless, aktorki z serialu „Xena: wojownicza księżniczka"
15) ... James Cook, w 1769 r. zbadał NZ (szef statku)
16) ważna gałąź gospodarki kraju
18) „... przy moim stole", powieść Janet Frame
20) Christchurch lub Hamilton
23) Christopher Luxon (objął urząd w listopadzie 2023 r.)
26) trzecia pod względem wielkości wyspa NZ (jak Rod, piosenkarz)
27) muzyk grupy Split Enz, brat 21 poziomo
28) nowozelandzka piosenkarka, autorka przeboju „Royals"
29) Janet Frame – proza, Allen Curnow – ?
31) ogół zwierząt występujących na danym obszarze
34) Południowe, z Górą Cooka (3724 m n.p.m.)

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 182 z 6.12:

Poziomo: 7) Wojownicze Żółwie 10) zło 11) bohater 12) pułapki 14) Lego 16) Boży wojownicy 18) gwiazdki 19) najemniczka 22) Siekiera 25) wiking 26) Allach 29) tatuaże 30) skrytobójca 32) mordobicie 34) noże 36) robot 37) oczy 38) akrobacje 40) kamuflaż 41) rycerze.
Pionowo: 1) pobojowisko 2) Temudżyn 3) góra 4) aikido 5) dzieci 6) topory 8) opaska 9) niewidzialność 13) piosenka 15) ubiór 17) noc 20) ninja 21) księżniczka 23) etapy 24) Achajowie 27) Dudikoff 28) samuraje 30) Sonja 31) ryż 33) droga 35) epos 39) asy.

HASŁO:
KODEKS HONOROWY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34392298

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

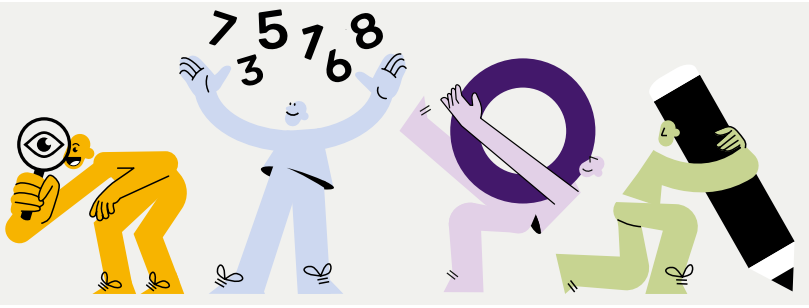

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 4d6b712057